

ALEK ROGOZIŃSKI

„Nie potrzebujesz nic więcej
do szczęścia – nawet randki
z Ryanem Goslingiem”.
Monika Finotello, *Cosmopolitan*

„Księżę komedii kryminalnej
wraca w wielkim stylu!”
Paweł Płaczek, *Flesz*



**JAK CIĘ
ZABIĆ,
KOCHANIE?**

FILIA
MROCNIA
STRONA

ALEK **ROGOZIŃSKI**

**JAK CIĘ
ZABIĆ,
KOCHANIE?**

FILIA

Dla Kasi, Maniuty i Pawła, którzy dzielnie przez lata znoszą mój ciężki charakter

OŚWIADCZENIE

Uroczyście oświadczam, i w razie czego nawet kołem łamany będę się przy tym upierał, że wszystko, co znajdziecie na kolejnych stronach niniejszej książki, jest wynikiem działania mojej rozszalałej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo stworzonych przeze mnie postaci do osób chodzących po tym padole jest dziełem przypadku, a zbieżność przedstawionych tu wydarzeń z faktami – zbiegiem okoliczności.

POSTACIE

Kasia Donek – spadkobierczyni bajecznego spadku, której wydawało się, że wysłanie jej męża na tamten świat będzie banalnie łatwym zadaniem, ale szybko okazało się, że nie do końca miała rację

Darek Donek – mąż Kasi, ofiara własnych popędów oraz niecnym zakusów swojej żony

Danusia Janicka – lekarka, najbliższa przyjaciółka Kasi, mimowolnie wciągnięta w jej mordercze plany

Adam Kowalski – ksiądz prowadzący podupadłą polską parafię w Los Angeles i mający nadzieję, że uratuje ją nieswoimi pieniędzmi

Patrick Harris – siostrzeniec księdza, zmuszony wbrew własnej woli do odwiedzenia kraju swoich przodków

siostra Mary, siostra Alma – wyjątkowo specyficzne zakonnice z parafii księdza Adama

Jacek Pawulski – fantazyjnie uczesany, a właściwie nieuczesany, młodzieniec, który dla swojej ukochanej gotowy był na wszystko, łącznie ze złamaniem prawa

Agnieszka Ross – obiekt westchnień Jacka, niezłe ziółko

Tygrys Złocisty – szef półświatka, uroczy człowiek, acz tylko w chwilach, kiedy akurat nikogo nie morduje, porywa albo nie wymusza haraczu

Kazik – nieco ciapowaty podwładny Tygrysa

Diana Wasilak – sekretarka Darka, mająca nadzieję, że go uwiedzie i tym samym stanie się miliarderką

Basieńka – mama Kasi, mistrzyni domowych przetworów, kobieta – swoim zdaniem – po dwudziestu dwóch ciężkich zawałach

Sprzedawca – człowiek zaopatrzony w podobną ilość broni co amerykańska i rosyjska armia razem wzięte

Mark Redford, George Nowaczek – właściciele kancelarii prawnej, przechowującej

dość oryginalny testament

pani Klementyna – bogaczka, której ostatnia wola skomplikowała życie kilkunastu osobom

ROZDZIAŁ I

Pewnego chmurnego i deszczowego wieczoru Kasia Donek postanowiła zabić swojego męża. Na pomysł ów wpadła w czasie przygotowywania kotletów schabowych, złapawszy się nieco wcześniej na myśli, że zamiast do mięsa chętnie użyłaby dzierzzonego w dłoni tłuczka do zadania kilku mocniejszych ciosów w potylicę swojego małżonka. Wyobraźnia z miejsca podsunęła jej usłudze wizję nieco zmasakrowanych zwłok jej, jeszcze do niedawna ukochanego, mężczyzny, rozłożonych malowniczo w kuchni, bo takie miejsce mordu logicznie pasowało do narzędzia zbrodni. Nieco przerażona tym obrazem, Kasia najpierw trzeźwo pomyślała, że chyba musi przestać oglądać serial „Gra o tron”, w którego każdym odcinku bohaterowie ginęli śmiercią gwałtowną i krwawą w ilościach hurtowych, bo najwyraźniej szkodzi jej on na głowę, a następnie doszła do wniosku, że oto przez przypadek wpadła na epokowy pomysł.

Swojego męża Kasia nienawidziła bowiem z całego serca od jakiegoś czasu. I miała ku temu liczne powody. Przede wszystkim zaraz po ślubie z czarującym gentlemannem, gotowego uchylić jej nieba, sypać kwiatki do stóp i nosić na rękach, zamienił się w tyrana. Nie dość, że stanowczo kazał jej porzucić pracę, którą Kasia w sumie lubiła, to jeszcze zaczął oczekiwać, że jego małżonka zmieni się w jakąś dziwaczną hybrydę gejszy i Perfekcyjnej Pani Domu. O ile jeszcze ten pierwszy wymóg dało się jako tako znieść, to od drugiego Kasi cierpła skóra. Nigdy bowiem nie miała specjalnego talentu ani nabożeństwa do prac domowych. No dobrze, ugotować jeszcze coś mogła, bo zabawa w Nigellę Lawson sprawiała jej nawet trochę przyjemności. Ale przecież tylko od czasu do czasu, a nie codziennie! Tymczasem bezduszny potwór u jej boku oczekiwał, że dzień w dzień, świętek, piątek i niedzielę, będzie miał w łóżku perfekcyjną kochankę, gotową na wszelkie erotyczne ekscesy, a w domu – wszystko uprane i posprzątane. Mało tego! Zostanie też, rzecz zrozumiała, uraczony daniami godnymi co najmniej trzech gwiazdek Michelina. Dwie gwiazdki absolutnie nie wchodziły w rachubę i takie kalające jego podniebienie potrawy z miejsca czekała krytyka w stylu tej, jaką amerykański furiat Gordon Ramsey uprawia w swojej „Piekielnej kuchni”. Kiedy doszło do tego, że przygotowywany przez Kasię w pocie czoła przez pół dnia boeuf bourguignon został przez jej męża określony mianem „przesmażonych krowich placków, które wpadły do błota” i dla dobitnego podkreślenia owej opinii pyrgnięty do kosza na śmieci, Kasia wreszcie się zbuntowała. Następnego dnia zaczęła po kryjomu zamawiać dania u swojej przyjaciółki, przygotowującej prywatnie catering dla pracowników jednego z banków. Pracownicy, podobnie jak mąż Kasi, mieli nie po kolei w głowach i wymagania godne członków angielskiej rodziny królewskiej, więc żeby sprostać ich oczekiwaniom przyjaciółka przygotowywała menu godne złotych medali na konkursach kulinarnych i mąż nijak nie mógł się do nich doczepić. Po kilku tygodniach wygłosił nawet łaskawą uwagę, że kuchnia jego połowicy nie przypomina już tego, co podaje się w co gorszych więzieniach. Tym sposobem Kasia zyskała odrobinę spokoju.

Oczywiście, to nie kwestie kuchenne sprawiły, że nagle odczuła potrzebę usunięcia męża z tego padołu, a fakt, że nie mogła się z nim ot tak po prostu rozwieść. To znaczy, owszem, mogła, tyle że wtedy straciłaby szansę na dostatnie życie i to po wsze czasy. Tuż przed kasinym ślubem, jej zamożna babcia zza oceanu sporządziła dość osobliwy testament. Cały swój majątek, określane nieco na wyrost w rodzinnych legendach jako taki, na widok którego „i Onassis z miejsca kojfnąłby z zawiści na zawał”, zapisała jedynej wnuczce i jej mężowi. Pod takim jednak warunkiem, że ci w ciągu pięciu lat swojego – jak to określiła – „świętego związku małżeńskiego” uraczą ją wymarzoną prawnikiem. Jeśli zaś tego żądania nie spełnią, rodzinne skarby i gotówka miały zostać przekazane na potrzeby kilku amerykańskich parafii, na czele z tą, do której należała sama testatorka. Nikt się temu nie dziwił, jako że babcia na starość zaczęła zdradzać coraz większe skłonności do dewocji wyrażające się między innymi w tym, że raz na miesiąc zapraszała po koledzie miejscowego proboszcza, z pochodzenia Polaka, który musiał do niej przychodzić w asyście kilku ładnych ministrantów i święcić kropidłem każdy nowo zakupiony mebel. Błogosławieństwa doczekała się takim sposobem nawet kuchenka mikrofalowa i wysadzana szlachetnymi kamieniami szkatułka, w której babcia trzymała swoją sztuczną szczękę. Ponieważ jednak starsza pani zawsze miała przygotowaną na wizytę duchownego dość pękata, bo wypełnioną sporą ilością „prezydentów”, kopertę, zawsze przybywał on do niej w radosnych podskokach. Teraz cały ten z góry pobłogosławiony dobytek oraz spora ilość zielonej gotówki i papierów wartościowych miał szansę trafić do Kasi, bo na jej rodziców babcia obraziła się jakiś czas temu po tym, gdy ze zgrozą odkryła, że mimo składanych jej wiele razy obietnic nie wzięli ślubu kościelnego. Zrozumiała, że takim jawnochrześcijanom nie zamierzała dać nawet pół centa! Na szczęście wnuczka nie poszła w ich ślady, ślub miała tradycyjny, z pompą, mszą, śpiewaczką wykonującą „Ave Maria” głosem, od którego o mało co nie popękały witraże w oknach, oraz sypaniem monet i ryżu przed kościołem. I nawet w podróż poślubną pojechała do Portugalii, który to kraj w głowie babci składał się wyłącznie z rozciągniętego od granicy do granicy sanktuarium w Fátimie i niczego więcej. W testamencie starsza pani zawarła tylko jeden jedyny dopuszczalny wyjątek od swoich postanowień i miał on zadziałać wtedy, gdyby Kasia albo jej mąż umarli przed upłynięciem wyznaczonego terminu. W takim przypadku pobabcina scheda przypaść miała w całości osobie, która nie pospieszyła na spotkanie ze świętym Piotrem. Sporządziwszy tak dowcipną ostatnią wolę, babcia pożyła jeszcze pół roku, po czym sama dołączyła do zastępów niebieskich ku niekłamanej rozpaczy proboszcza, który z zawartości jej kopertówek już prawie uzbierał sobie na wymarzonego maybacha. Majątek starszej pani został zabezpieczony przez prawników, którzy z cierpliwością wyczekiwali stosownego momentu, aby przekazać go spadkobiercom. O ile, rzecz jasna, ci spełnią wszystkie zawarte w testamencie warunki. I tu na nieszczęście Kasi zaczynały się schody... Od chwili sporządzenia testamentu mijał właśnie czwarty rok i szanse, że uda jej się wypełnić ostatnią wolę zamożnej antenatki, zaczynały z wolna stawać się tak samo prawdopodobne jak to, że ta zmartwychwstanie i zmieni swój testament. Główną przeszkodą był ów cholerny potomek, którego nijak nie

udało jej się spłodzić. W czasach, gdy jeszcze kochała swojego męża, starali się o niego z całych sił, szybko jednak okazało się, że na przeszkodzie stoi im biologia.

– Z osobna każde z was może mieć dziecko i to bez specjalnych trudności – powiedział im po kolejnej serii badań zasmucony ginekolog. – Ale szanse na to, że doczekacie się wspólnego, są właściwie zerowe. Pana plemniki są zdechłe jak staruszek po czwartym zawale, a pani potrzebuje już nawet nie sprinterów, a raczej takich, którzy potrafią przemierzać przestrzeń z szybkością światła. Żadne inne nie mają nawet czego u pani szukać... Sami więc państwo rozumiecie, że raczej nic z tego nie będzie. Oczywiście, takich kwestii nigdy nie da się ostatecznie przesądzić, ale myślę, że jedyne, co możecie zrobić, to modlić się o cud.

Zrozpaczona Kasia usiłowała się dowiedzieć, czy otrzyma spadek, gdy razem z mężem adoptuje dziecko albo skorzysta z matki zastępczej. Niestety, zapisy testamentu jej babci były stanowcze i jednoznaczne: wnuk albo wnuczka muszą być „z krwi i kości naszej rodziny”. Żadna obca, przygarnięta albo urodzona przez kogoś innego dziatwa nie wchodzi w rachubę – koniec-kropka. Starsza pani była na tyle przezorna, że umieściła nawet w swojej ostatniej woli punkt, że przed przekazaniem Kasi i jej mężowi majątku oboje mają przejść badania, weryfikujące, czy faktycznie są biologicznymi rodzicami dziecka. W rachubę nie wchodził więc nawet skok w bok. Klasyczny szach-mat!

Po mniej więcej trzech latach, od kiedy powiedzieli sobie sakramentalne „tak”, Kasia i jej mąż zaczęli się od siebie oddalać. Jeszcze do niedawna zazdrosny o nią niczym Menelaos o Helenę Trojańską małżonek przestał jej robić karczemne awantury o każdego faceta, na którego – nawet przez przypadek – spojrzała. A potem, co Kasia jak większość kobiet od razu wyczuła, poszukał sobie nowych podniet. Narady w firmie znienacka zaczęły mu się przeciągać do późnych godzin nocnych, a potem doszła do tego konieczność weekendowych wizytacji w terenie. Kasi nie chciało się weryfikować tych wieści, a nawet odetchnęła z ulgą, że takim sposobem rzadziej musi znosić humory swojego niedawnego ukochanego. Tym bardziej, że ten, odkąd stracił nią zainteresowanie, z wolna zamienił się z tyrana w rozkapryszoną primadonnę, wiecznie ze wszystkiego niezadowoloną i strojącą nieustanne fochy. O ile jeszcze męża-macho Kasia znieść mogła, o tyle od jego pozy „ja tu rządę, ale jestem przy tym taki nieszczęśliwy” trafiał ją potężny szlag. Poza tym czas biegł nieubłaganie, wyznaczony przez babcię termin zbliżał się wielkimi krokami i coś trzeba było z tym zrobić.

I wtedy właśnie w głowie Kasi zaświtał TEN pomysł.

Choć początkowo wzbraniała się, aby go w ogóle rozważać, raz zasiany w jej umyśle, bardzo szybko zapuścił tam korzenie i zaczął kiełkować. Ba! Błyskawicznie wypuścił liście, pąki, kwiaty i wszystko, co tam jeszcze mogą dać z siebie rośliny. Oczyma duszy Kasia zobaczyła kolejne piękne obrazy... Identyfikację zwłok męża w kostnicy. Swoją, udawaną z talentem godnym Oscara, rozpacz na jego pogrzebie. Ukryty za czarną woalką pełen satysfakcji uśmiech w chwili, kiedy rzuci garść ziemi na jego trumnę. Moment, kiedy amerykańscy prawnicy oświadczą jej, że oto stała się właścicielką majątku godnego Grace Kelly. Zakupioną zaraz potem luksusową willę w Hollywood, na widok której

nawet gwiazdy kina blednąć będą z zawiści. Wspólne barbecue z jej nową najlepszą przyjaciółką Jennifer Aniston i zakupy w ekskluzywnych butikach u boku jej drugiej najlepszej przyjaciółki – Julii Roberts. Ogniste wieczory w ramionach Brada Pitta. Nie, zaraz, Pitt odpada, bo choć oczywiście zmieniona przez hollywoodzkich specjalistów w seksbombę Kasia poderwałaby go bez najmniejszego kłopotu, to przecież nie będzie zabierała ojca siedmiuset adoptowanym dzieciom. W takim razie wieczory w ramionach... W tym miejscu wyobraźnia zastrajkowała, nie mogąc na poczekaniu wymyślić ani jednego wolnego hollywoodzkiego przystojniaka poza Leonardo DiCaprio, którego Kasia nie cierpiała, bo od czasów „Titanica” kojarzył się jej tylko z fioletowymi zwłokami, znikającymi w lodowatym oceanie. Jednak nawet i dotychczasowe obrazy wystarczyły do tego, aby Kasia umocniła się w przeświadczeniu, że męża należy czym prędzej się pozbyć. Nieodwołalnie!

No dobrze, ale właściwie jak? Oczywiście, w taki sposób, aby jego śmierć wyglądała na naturalną albo dzieło przypadku, z którym Kasia nie będzie miała nic wspólnego. Cień podejrzenia nie może na nią paść! Na przykład wypadek samochodowy. Ewentualnie skręcenie karku w wyniku poślizgnięcia się i zlecenia na łeb z bardzo wysokich schodów. Śmiertelne zatrucie pokarmowe też pasowałoby idealnie... Mimowolnie Kasia skierowała wzrok w stronę ciągle rozbijanego przez siebie w zapomnieniu schabu. Mięso było już cienkie jak bibuła, a w niektórych miejscach porobiły się w nim nawet dziurki. Z pewnością nie nadawało się już na kotlety, ale może zdałoby egzamin jako śmiertelna trucizna? Gdyby tak potrzymać je z dzień dwa w jakimś ciepłym miejscu, a potem przygotować z niego gulasz? Chyba jakoś by mężowi zaszkodziło, ale czy śmiertelnie...? Kasia poczuła, że do popełnienia zbrodni brakuje jej fachowej wiedzy. Odłożyła tłuczek na kuchenny blat, umyła ręce, przeszła do pokoju i sięgnęła po laptopa. W wyszukiwarce wpisała „zepsute mięso”. Na ekranie pojawiło jej się wiele ilustracji, na widok których z miejsca zrobiło jej się niedobrze, oraz spis artykułów o tym, czym grozi zjedzenie takiego specjału. Niestety, nie dawały one jednoznacznej odpowiedzi na gnębiące ją pytanie. Zniecierpliwiona Kasia sięgnęła po telefon i wystukała numer do swojej najbliższej przyjaciółki, która szczęśliwym trafem była internistką, z zamiarem dyplomatycznego wyciągnięcia od niej potrzebnych informacji.

– Słuchaj Danusiu, chyba zjadłam jakieś trefne mięso... – powiedziała, przebrnąwszy przez powitania i tradycyjne „co u ciebie?” – Nieświeże albo popsute. Czy myślisz, że czymś mi to grozi?

– Jakie mięso? – zapytała zaskoczona nieco przyjaciółka – Skąd je wytrzasnąłeś? I jak dawno je zjadłeś?

– Schab. Od podejrzanego chłopca na targu – odparła Kasia, zastanawiając się jednocześnie, jak odpowiedzieć na trzecie pytanie. Nie będzie jej oczywiście w czasie, gdy mąż spożyje zatruty posiłek i dla uniknięcia podejrzeń chyba powinna wrócić, gdy już nie będzie żył od jakiegoś czasu. Tylko jakiego? Dwie godziny? Trzy? – Jakoś tak koło południa...

Dochodziła właśnie szesnasta.

– Jest ci niedobrze? Masz gorączkę? Boli cię brzuch? – po tonie głosu Danusi słychać było, że nieco się przejęła, więc być może to mięso dawało jakąś nadzieję. – Co się dzieje?!

– Jest mi tak jakoś trochę nijako – powiedziała ostrożnie Kasia. – Gorączki chyba nie mam...

„Kurczę, może powinnam mieć?”, pomyślała jednocześnie.

– To znaczy, być może mi dopiero rośnie – sprostowała szybko. – Nie mogę sprawdzić, bo synowie koleżanki stłukli mi ostatni termometr. Chcieli sprawdzić, czy faktycznie z rtęci robi się kuleczka i czy to prawda, że jak ją połknie kot, to będzie chodził tylko do tyłu.

– I prawda? – mimowolnie zaciekawiła się Danusia.

– Nie wiadomo, bo kot na sam ich widok czmychnął na szafę i zaczął na górze udawać dla niepoznaki pluszaka – wyjaśniła Kasia. – To jego stały numer, kiedy tylko widzi jakiegoś niedorostka. Czy ja mogę umrzeć?

– Tak w ogóle to kiedyś na pewno – powiedziała Danusia nieco filozoficznie. – Ale od tego mięsa, to nie za bardzo. Za to możesz prawdopodobnie dostać rozwolnienia albo nudności. Weź nifuroksazyd, działa przeciwbakteryjnie. Jak go nie masz pod ręką, to leć szybko do apteki, masz ją przecież pod nosem, w następnym bloku na dole.

– I na pewno nie umrę? – zapytała Kasia, starając się ze wszystkich sił zamaskować rozczarowanie wywołane tą, jakby nie patrzeć, optymistyczną wiadomością. – Naprawdę nie ma takiej możliwości?! W żadnym przypadku?

– Jedyne, jaki potrafię sobie wyobrazić, to że zejdiesz z nudów, spędzając niezliczone godziny w ubikacji – powiedziała stanowczo Danusia. – Jakbyś ewentualnie poczuła się gorzej, to wezwij pogotowie. Przetransportują cię do szpitala, zrobią płukanie żołądka, potrzymają parę godzin na kroplówce, poobserwują i już. A na przyszłość nie kupuj niczego od chłopca. A już zwłaszcza podejrzanego...

– A co mogłoby mnie zabić? – Kasia wypowiedziała tę myśl głośno, zapominając na chwilę o dyplomacji, po czym szybko się zreflektowała. – To znaczy... Jadłam nie tylko ten schab. Ziemniaki też wyglądały jakoś tak dziwnie i kapusta nie była specjalnie smaczna...

– Gdzie ty chodzisz na zakupy?! – zdziwiła Danusia. – Natychmiast zacznij je robić gdzie indziej! I po co to jadłaś?! Następnym razem wywal takie rarytasy za okno. A na razie się uspokój. Po jedzeniu rzadko kiedy się umiera. Chyba że zjesz grzybki kupione wcześniej od ślepej handlarki, która własnoręcznie zbierała je w lesie...

„Oczywiście, że grzyby! Jak można było być taką debilką?!", pomyślała olśniona Kasia. Zapewniwszy przyjaciółkę, że od tygodni nie tknęła żadnych grzybów poza pieczarkami i że na pewno zaraz kupi polecany jej lek, zakończyła czym prędzej rozmowę. Grzyby! Trzeba się będzie jak najszybciej zaopatrzyć w jakieś trujące. Pytanie tylko, skąd je zdobyć? Przecież nie w sklepie albo na targu! Głupie pytanie, oczywiście – z lasu. Tylko jak tam rozróżnić jadalnego od trefnego? Próbować czy jak? Oczywiście wyobraźni w miejsce meża, padającego trupem po spożyciu ładnie ozdobionej listkami bazylii sałatki z muchomorów, Kasia ujrzała swoje własne zwłoki rozłożone malowniczo na poszyciu leśnym po próbnej degustacji krowiaka podwiniętego, o którym przeczytała, że zbiera nie

gorsze żniwo niż muchomor, tylko nie miała pojęcia, jak się prezentuje. Znów sięgnęła po laptopa i wpisała do wyszukiwarki hasło: „grzyby trujące”. Niestety, efekt tego jej nie zadowolił, bo na fotkach w internecie większość grzybów wyglądała prawie identycznie i nijak nie dawało się ich na pierwszy rzut oka odróżnić. Jedynym, który wyróżniał się fikuśnym kapeluszem w kolorze czerwonym jak usta Dody, był strzępiak ceglasty. Z daleka jednak wyglądał tak podejrzanie, że Kasia nijak nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach dał się namówić na jego zjedzenie. Ewentualnie można by z niego zrobić zupę albo spróbować go przemycić w jakimś innym pożywieniu. Tylko czy w mniejszych ilościach w ogóle zadziała? Niezadowolona Kasia, plując sobie w brodę, że zamiast dziennikarstwa nie studiowała mikologii, postanowiła czym prędzej zaopatrzyć się w fachową literaturę i przy najbliższej okazji kupić sobie dzieło pod tytułem „Atlas grzybów trujących”. Może tam znajdzie jakieś natchnienie... Porzuciwszy kwestie kulinarne, wróciła myślą do pozostałych pomysłów. Co jeszcze mogłoby wyglądać na wypadek? Na przykład – porażenie prądem. W ich poprzednim mieszkaniu, z którego wyprowadzili się niecały miesiąc temu, instalacja elektryczna poprowadzona była tak idiotycznie, że przez pierwsze tygodnie, zanim to poprawili, co jakiś czas odwiedzających ich gości „pieściła” klamka do drzwi wejściowych, niepojętym sposobem podpięta pod przewody dzwonka umieszczonego tuż obok. Śmierć od tego nikomu nie groziła, bo napięcie było minimalne, ale trop wydał się Kasi całkiem niezły. Gdyby tak znaleźć jakiś sposób na złączenie klamki z głównym przewodem elektrycznym, to efekt mógłby być imponujący. Albo takie radio w łazience... Stało co prawda na półeczce nad pralką, ale równie dobrze mogłoby się nagle znaleźć na tej umieszczonej koło wanny, a potem nieco zsunąć i wpaść do wody w czasie, kiedy mąż będzie swoim zwyczajem wylegiwać się tam z książką w ręku. Sposobu, w jaki odbiornik miałby zażyć kąpieli, przy okazji rażąc męża prądem, Kasia co prawda nie wymyśliła, ale pomysł zapisała w pamięci, po czym z łazienki przeniosła się myślami do piwnicy. O, to było coś! Przede wszystkim schodziło się do niej po wielu mocno sfatygowanych i nadszarpniętych zębem czasu drewnianych schodkach, pod którymi znajdował się schowek z narzędziami. Gdyby tak nieco jeszcze podniszczyć owe schodki, coś tam lekko nadpiłować, wyjąć z nich kilka gwoździ, to być może złamałyby się pod, jakby nie patrzeć dość słusznym, prawie 100-kilowym ciężarem męża. A wtedy by w nie wleciał i może jeszcze nadział na znajdujące się poniżej w schowku grabie, stare noże i inne śmiercionośne narzędzia. Tak, piwnica to idealne miejsce zbrodni. Podobnie jak garaż, a przede wszystkim samochód... Sygnał odebranego SMS-a przerwał rozmyślenia Kasi. Wiadomość pochodziła od potencjalnych przyszłych zwłok, które informowały, że znów wrócą dzisiaj późno w nocy, bo muszą „rozliczyć zaległe faktury”. Pewna, że owe „faktury” zalegają na świecie od osiemnastu lat i z pewnością posiadają wyjątkowo atrakcyjne liczby w stylu 90-60-90, Kasia z błogim uśmiechem odpisała, że w takim razie nie będzie czekała i położy się wcześniej spać. Po czym otworzyła butelkę martini, naląła trochę do kieliszka, dodała ginu, wrzuciła oliwkę i wróciła do rozmyślań. Po dwóch godzinach butelka była już w połowie pusta, a Kasia miała kilka idealnych pomysłów na perfekcyjne morderstwo. Nad głową jej męża zaczęły

się gromadzić gradowe chmury...

ROZDZIAŁ II

W tym samym czasie, kiedy po jednej stronie globu blondwłosa trzydziestolatka dumiała z kieliszkiem martini w dłoni, jak rozpocząć karierę w stylu słynnej seryjnej morderczyni Belle Gunness, po drugiej świat dopiero z wolna budził się do życia. W kancelarii Redford & Nowaczek, znajdującej się w starej kamienicy przy Douglas Park w samym sercu Los Angeles, dwóch starszych prawników próbowało, ze średnim zresztą skutkiem, wrócić do świata żywych za pomocą podwójnego espresso i przeglądu porannej prasy.

– Nie rozumiem już nic z tego, co się wyprawia na tej planecie – powiedział z niezadowoleniem zażywniejszy z nich Mark Redford, z wyraźnym niesmakiem patrząc na trzymany w ręku „Los Angeles Times”. – Pamiętasz tego lekkoatletę, Bruce’a Jennera? Widzieliśmy kiedyś, jak zdobywa medal na olimpiadzie. Jakoś tak w połowie lat siedemdziesiątych, bodajże w Monachium. Był na straconej pozycji, a mimo to walczył jak lew. Mówiłem ci wtedy, że ten chłop ma jaja jak melony...

– I co się z nim stało? – zapytał George Nowaczek, którego imię w czasach wspomnianych przez jego przyjaciela i współnika brzmiało dla każdego Polaka nieco bardziej swojsko – Jerzy. Choć był trochę starszy od swojego biznesowego partnera, nadal zachował znakomitą sylwetkę i bujne włosy.

– Nie ma już jaj! – wykrzyknął bez mała Mark.

– Jakiś wypadek? – zaciekawiał się George. – Choroba?

– Nie, sam je kazał sobie obciąć – z wyraźną zgrozą odpowiedział Mark. – Teraz jest kobietą! Zmienił sobie imię na Caitlyn. Caitlyn Jenner. Ma długie włosy, cycki, nosi perły i pieprzoną torebkę od Hermesa za kilka tysięcy dolarów. Dobrze sobie! Kobieta! Wygląda wypisz-wymaluj jak moja ciotka Harriet. Wszyscy w rodzinie podejrzewali, że też była kiedyś mężczyzną. Miała szczękę jak bokser i bary jak Rocky. Jak się wkurzyła, to nawet wujek schodził jej z drogi, choć pracował jako szeryf i swego czasu zastrzelił więcej ludzi niż Buffalo Bill.

George przez ostatnich czterdzieści lat słyszał opowieści o wujku szeryfie już tyle razy, że teraz czym prędzej postanowił zdławić je w zarodku.

– Ten Jenner to ojczym Kim Kardashian? – upewnił się. Seksowna brunetka była jedyną celebrytką poniżej czterdziestego roku życia, którą rozpoznawał. Głównie dlatego, że kojarzyła mu się z jego pierwszą śląską miłością Marylką, też mającą tyłek jak dwa jaśki i dorodne piersi, o których żartowano, że przychodzą na randkę kwadrans przed swoją właścicielką. – Nic dziwnego, że sfiksował, skoro spędzał tyle czasu z tą rodziną. I tak dobrze, że tylko sobie obciął kuśkę, a nie skoczył na łebka z dachu Bank Tower.

– A jego była żona prowadzi się teraz z jakimś młodym Afroamerykaninem, który do tej pory nosił deskorolki za tym kanadyjskim gnojkiem, jak mu tam? A, wiem Justinem Bieberem! – doczytał Mark. – Jest młodszy od niej o ćwierć wieku. Też niezła patologia...

Do ogromnego gabinetu, który od niepamiętnych czasów dzielili wspólnicy, dyskretnie wszedł niepozorny, drobny blondynek. Miał na imię Patrick i został dopiero co przyjęty na

praktyki. Wychowany na kryminałach Earla Stanleya Gardnera, marzył, że kiedyś będzie prawnikiem na miarę bohatera jego książek – Perry’ego Masona. Na razie jego kariera prawnicza zatrzymała się na porządkowaniu sterty starych i nikomu już od dawna niepotrzebnych papierów, co szumnie zwało się archiwizowaniem akt. Zajęci rozmową panowie w ogóle nie zwrócili na niego uwagi.

– Pokaż no tego Bruce’a – powiedział George.

Mark, któremu nie chciało się wstawać, zrolował gazetę i rzucił w jego stronę. George złapał ją w locie. Mimo ósmego krzyżyka na karku wciąż był w niezłej formie fizycznej, co zawdzięczał swojemu ojcu, który wpoił mu za młodu, że prawdziwy mężczyzna „rozpoczyna i kończy dzień na stu pompkach” i zawsze dba o to, aby „plemniki nie gromadziły się w jądrach zbyt długo”.

– W tych perłach przypomina mi jedną z naszych starych klientek – stwierdził George, wpatrując się z zaciekawieniem w zdjęcie byłego lekkoatlety, który, jak głosił podpis, „znalazł w sobie kobietę”, choć periodyk nie precyzował dokładnie gdzie. – Moją rodaczkę. Tę, która dorobiła się na nieruchomościach. Pamiętasz ją?

– Tę, która zostawiła najbardziej oryginalny testament w historii naszej kancelarii? – upewnił się Mark – Trudno ją zapomnieć. Zawsze odwiedzała nas z księdzem i usiłowała przy okazji wyświęcić kserokopiarkę. Czułem się, jakbym przyjmował Matkę Teresę. No owszem, jest między nimi jakieś podobieństwo...

– A swoją drogą, jej testament nadal jest niewypełniony... – zamyślił się George.

Stojący tuż za jego plecami Patrick wziął głębszy oddech i wypuścił z rąk trzymane w nich papiery. Panowie jednak nadal nieświadomie ignorowali jego obecność w gabinecie.

– Ile jeszcze ci ludzie mają czasu? – zapytał Mark.

– Chyba rok, albo nawet mniej, poczekaj, zaraz sprawdzę – odpowiedział George, wstając z miejsca i podchodząc do imponującego, zajmującego całą ścianę regału, kryjącego w swoim wnętrzu wszystkie niezakończone sprawy, jakimi zajmowała się kancelaria. Spośród setek skoroszytów bezbłędnie wybrał ten właściwy i przez chwilę studiował uważnie jego zawartość. – Termin mija w lipcu przyszłego roku. Ostatnia wiadomość à propos spadkobierców jest z przedwczoraj, Gerda do nich dzwoniła. Nadal nie spełniają warunków, aby zgłosić się po majątek.

– Czyli mają dziesięć miesięcy... – stwierdził Mark.

– Nie. Tak naprawdę mają już niewiele ponad miesiąc... – sprostował George, lustrując uważnie strony testamentu. – Tu jest wyraźnie napisane, że w chwili przekazania spadku dziecko musi być na świecie. Jest już październik. Za moment będzie po terminie.

– Ciekawe, czy im się uda... – zamyślił się Mark. – Inaczej wzbogaci się zupełnie kto inny. A propos wzbogacenia się. Pamiętasz, że mamy dzisiaj sprawę Liona Scoopa? Tego tenisisty? Żona oskarżyła go, że zdradzał ją z dwunastoma aktorkami porno. Dzisiaj się z tymi damami spotykamy. Pierwsza przychodzi już za kwadrans...

– Czasami uwielbiam naszą pracę – mruknął zachwycony George, starając się przyglądać niesfornej tego ranka koafiurę, nadającą mu wygląd ofiary tajfunu. Zamknął skoroszyt, nie odnotowując nawet, że wypadła mu z niego na podłogę mała kartka

papieru.

Niezauważony przez nich Patrick wyszedł z gabinetu. Zamknął za sobą drzwi i przez chwilę porządkował w głowie to, co usłyszał. Następnie wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer.

– Wujek Adam? – powiedział ściszym głosem – Właśnie usłyszałem coś, co może nam się przydać. I chyba już wiem, jak zdobędziemy brakujące nam pieniądze!

ROZDZIAŁ III

Szef warszawskiego półświatka przestępczego, noszący dość niewinnie brzmiącą, ale wśród jego wrogów i większości współpracowników budzącą zgrozę, ksywkę Tygrys Żłocisty, patrzył na jednego ze swoich podwładnych nieco zdziwionym wzrokiem.

– Jak to nie zapłacił? – powiedział łagodnym tonem, od którego jego rozmówcy zrobiło się nieco słabo, choć na co dzień zawodowo zajmował się włamaniami i kradzieżami, a prywatnie cichym sutenerstwem i w związku z tym raczej nie należał do strachliwych. – Mógłbyś, rybko mordziasta, powtórzyć, bo chyba nie zrozumiałem...

– Poprosił o przedłużenie czasu... – wyjaśnił zamierającym głosem podwładny. – I na dowód dobrej woli oddał dziesięć tysięcy. O, tu je mam...

Drżącą ręką podał swojemu szefowi nieco sfatygowaną kopertę. Tygrys wziął ją z wyraźnym obrzydzeniem. Przez chwilę przenosił spojrzenie z koperty na spanikowaną twarz swojego pracownika i z powrotem.

– Czy ty sobie, Kazik, robisz ze mnie jaja? – zapytał wreszcie tonem, po którym każdy, kto go znał, odgadłby bez trudu, że świadczy o jego narastającej furii. – Wysyłam cię do jakiegoś palanta w garniturku od srolcze kabana, rozbijającego się nową beemką dziewiątką, żeby mi oddał moje pół miliona złotych, a ty wracasz z dziesięcioma tysiącami? Co ja mam z tym zrobić? Kupić sobie trzy rogaliki u Magdy Gessler?!

W oczach podwładnego pojawił się wyraz skrajnego przerażenia. Najwyraźniej zaczął już kombinować, jak uwolni się z dna Wisły, mając skute łańcuchem wszystkie kończyny, dodatkowo do jednej z nich dołączony potężny kawał betonu i nie wymyśli jeszcze żadnego sposobu. W końcu nie był Copperfieldem, a do tego, żeby uniknąć ewentualnej zemsty Tygrysa, potrzebne byłyby takie zdolności.

– Ja... – zaczął, ale musiał urwać, bo nagle potężne łapsko Tygrysa znalazło się na jego szyi i, wgniatając mu mocno jabłko Adama, sprawiło, że głos uwiązł mu w krtani.

– Mam nadzieję, że dalszy ciąg tego zdania miał brzmieć: „w ciągu tygodnia grzecznie przyniosę w zębach całą kwotę albo na tacy głowę tego cienkiego Bolka”, prawda, moja ty krówko pastewna? – powiedział bandzior bardzo spokojnym tonem, nawet przez chwilę nie starając się podnieść głosu czy zaakcentować czegoś dobitniej. Kazik, czując, że oczy wychodzą mu z orbit i za chwilę się udusi, wycharczał pospiesznie potwierdzenie. Tygrys popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym zwolnił uścisk. Kazik złapał szybki oddech i parę razy odkaslnął.

– A teraz zrób grzecznie w tył zwrot i zamknij za sobą drzwi – polecił jego przełożony. – Aha, i pamiętaj, misiu polarny, że jeśli w ciągu siedmiu dni nie pokażesz mi się tu głosząc dobrą nowinę niczym tłuściutki cherubinek z obrazu Rafaela, to nawet tortury w Guantanamo wydadzą ci się słodką pieśczętą wobec tego, co dla ciebie wymyślę. Zrozumiano? Chcę tu mieć moją kasę albo odstrzelony łeb tego pajaca...

Kazik, trzymając już rękę na klamce, skinął tylko głową. Po sekundzie w dużej hali, w której miało miejsce spotkanie obu panów, pozostał po nim już tylko zapach wyjątkowo

paskudnej wody kolońskiej. Tygrys westchnął i odwrócił się, spoglądając na podchodzącego do niego mężczyznę, który przez cały czas towarzyszył jego rozmowie z Kazikiem, ukrywając się w głębokim cieniu i nie zdradzając swojej obecności, acz trzymając w ręku przygotowany do użycia pistolet. Tygrys, choć pewny władzy nad podwładnymi, na wszelki wypadek zawsze wolał się dodatkowo zabezpieczyć.

– Skąd ty bierzesz te zoologiczne porównania? – zapytał mężczyzna z uśmiechem. – Jak gadałeś z tym palantem, to wymieniałeś z pół listy obecności przeciętnego zoo.

– Serio? – szczerze zdziwił się Tygrys. – Patrz, nawet nie zauważyłem. Jakoś mi tak naturalnie wychodzi. Może dlatego, że moja córka zawsze nazywa mnie swoim lewkim albo kłapouszkiem. Zuch dziewczyna, mówię ci, wzorowa uczennica, harcerka, na szczęście prawie żadnej cechy charakteru nie odziedziczyła po mnie, więc jest nadzieja, że wyrośnie na ludzi. A poza tym lubię zwierzaki, o wiele bardziej niż ludzi. Człowiek to najgorszy gatunek, który łązi po ziemi.

– Nie sposób się nie zgodzić – powiedział mężczyzna, spluwając na podłogę. – Wierzysz, że ten półmózg odzyska twoje pieniądze?

– Powoli przestaję... – mruknął Tygrys. – A swoją drogą, to padalec ma niezły tupet. Nie ten, który się tu pocił jak sześćdziesięciolatek w czasie seksu, tylko ten, który mi wisi szmal. Myślałem, że jest cienki jak dupa zaskrońca, a tymczasem się stawia. Zastanawiające...

– Może po prostu nie zna cię zbyt dobrze? – podsunął mężczyzna.

– Nie, nie – Tygrys pokręcił głową w zamyśleniu. – Mylisz się. Akurat on zna mnie jak mało kto... Dlatego jestem zdziwiony. Bo jeśli nawet nie ma kasy, to powinien po prostu do mnie przyjść. Wyjaśnić, pogadać. Przecież wie, że te pół miliona to dla mnie tyle, co dla innych dziesięć groszy. I wie też, że skoro już wysłał do niego coś w rodzaju pocztówki z widokiem na Atlantyk, czyli tego debila z pluszczącym oceanem zamiast mózgu, to znaczy, że się lekko wkurwiłem. To mu powinno dać do myślenia. A tymczasem on mi oddaje dziesięć tysięcy... Nie rozumiem. Ale na szczęście zabezpieczyłem się z wielu stron. Tak czy tak jego pieniądze będą moje!

– Tak się zastanawiam... – zapytał mężczyzna, chowając pistolet do skórzanej torby i lustrując uważnie pomieszczenie, w którym się znajdowali. – Co cię właściwie obchodzą motywy jego postępowania?

– Niby nic – przyznał Tygrys. – Ale z drugiej strony lubię wiedzieć, co kieruje ludźmi. Takie, wiesz, skrzywienie zawodowe. A właściwie, odruch wyuczony. W końcu studiowałem psychologię.

– Serio? – zdziwił się mężczyzna. – To czemu nie pracujesz teraz w poradni?

– Bo wymuszenia, haracze i morderstwa na zlecenie są o wiele bardziej opłacalne niż słuchanie, jak ludzie na kozetce bredzą o problemach z kotkiem i znęcającymi się nad nimi w dzieciństwie rodzicami – wyjaśnił Tygrys. – Przy okazji, świetna miejscówka.

– Jedna duża hala i kilkanaście małych boksów, mam tu sklepik z bronią zaopatrzoną tak, że nawet siedziba KGB i Pentagon mogłyby mi pozazdrościć – wyjaśnił z wyraźną dumą w głosie mężczyzna. – A wszystko z dala od jakiegokolwiek cywilizacji i na lipne

nazwisko kacyka partyjnego, którego nigdy nikt z prokuratury nie odważy się skontrolować. Niebawem zrobimy z tego użytek...

* * *

W tym samym czasie kilka kilometrów dalej w przydrożnej restauracji, nazwanej szumnie Trattoria Venexiana, serwującej takie smakołyki jak rozmiękłe buły ze starą goudą, która już prawie kwalifikowała się do zaliczenia do kategorii serów pleśniowych, hot-dogi z parówkami, z racji koloru nasuwającymi skojarzenia z kaszanką, oraz flaki, wyglądające jak trociny w brudnej wodzie i do kompletu tak samo smakujące, siedziały dwie młode osoby. Jedna z nich, bardzo szczupła, płci męskiej, miała mocno zmierzwiony ciemny kołtun na głowie i bardzo zmartwioną minę, druga, dla odmiany płci żeńskiej, krótkie blond włosy, obcisły zamszowy kostium i wyraźnie wściekły wyraz twarzy.

– Ale jak to się mogło stać? – zapytała dziewczyna. – Powiedz mi, jak?!

Wpatrzony w nią młodzieniec z zakłopotaniem podrapał się w głowę, czyniąc ze swojego i tak niedbałego uczesania coś na kształt kopki rozrzuconego grabiami siana.

– Przeprowadzili się o tydzień wcześniej – powiedział przepraszającym tonem. – A potem to babsko przez cały czas siedziało i gapiło mi się na rękę. Nie dało jej się pozbyć. Ona nie pracuje, chyba nie ma też żadnych znajomych. Jak niby miałem to wydobyć?

– No i co teraz?! – w głosie dziewczyny wściekłość mieszała się z rozpaczą. – Jak sobie wyobrażasz odzyskanie tego?

– Nie wiem – odpowiedział młodzieniec, nie przestając się czochoać po głowie, co w obserwującej go z daleka kelnerce wzbudziło podejrzenie, że być może załęgły mu się na niej jakieś żyjątko. – Trzeba chyba tam wrócić...

– I co niby im powiesz? – dziewczyna popatrzyła na niego z politowaniem. – „Bardzo państwa przepraszam, ale muszę rozłupać trochę kafelków w państwa łazience?” Już widzę, jak się na to godzą. W podskokach i z ukłonami. Może nawet przyniosą ci kilof, żeby ci łatwiej poszło! Daj spokój i lepiej mi powiedz, co my właściwie jemy...

– W menu było napisane, że to pizza rzymska – przypomniał sobie młodzieniec. – Jedyne, co tu znalazłem włoskiego. A co, niedobre?

– Świetne – powiedziała z obrzydzeniem dziewczyna. – Smakuje całkiem tak, jakby ktoś zmieszał mysie bobki z obornikiem i rozłożył na dopiero co przypalonej dętce samochodowej...

– Aż tak źle? – zdziwił się młodzieniec i sięgnął po kawałek rarytasu, znalezionej nieco wcześniej w menu pod obiecującym hasłem „La specialità della casa”. Spróbował i z obrzydzeniem odłożył z powrotem na talerz. – Faktycznie, rzadkie świństwo. Masz rację, po dobroci nas tam nie wpuszczą. Zostaje tylko włamanie...

– Ale przecież sam mówisz, że ta baba siedzi tam ranki i wieczory – przypomniała dziewczyna.

– Każdy kiedyś wychodzi – powiedział młodzieniec. – To kobieta i wygląda w sumie na dość zadbaną. Musi chodzić do fryzjera czy tej tam, co to likwiduje dzioby na twarzy...

– Kosmetyczki – odpowiedziała dziewczyna. – No owszem, każdy gdzieś wychodzi. Tylko nie wiadomo kiedy. Chcesz tam czatować całą dobę? Jak długo?!

– Tyle, ile będzie trzeba – powiedział stanowczo młodzieniec. – Nawaliłem, to teraz zrobię wszystko, żeby to naprawić. Choćbym miał tam zapuścić korzenie! A ty...?

– Co ja? – zdziwiła się dziewczyna, próbując strząsnąć z pizzy trochę nadzienia i wypróbować, czy może jadalne jest choć samo ciasto. – Nigdzie się nie będę włamywała. Mowy nie ma!

– Pytam o to, czy nie będziesz miała problemów? – młodzieniec sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. – Nikt nie będzie miał pretensji?

– Po pierwsze, nikt mnie o nic nie podejrzewa – powiedziała dziewczyna, odkładając na talerz niezjadliwy kawałek ciasta i ostatecznie porzucając myśl, że w tym przybytku kulinarnym zaspokoi swój głód. – To znaczy, jeszcze nie podejrzewa. Kontrola zaczyna się za trzy dni. Tak długo jesteśmy bezpieczni. Kłopoty pojawią się, jeśli do tego czasu nie wydobędziesz tego, co tak mądrze ukryłeś. I zapewniam cię, że wtedy będziemy mieli przekichane. I to tak, jak jeszcze nigdy w życiu!

– Nie mam więc wyjścia – westchnął młodzieniec. – Po prostu muszę się włamać do tego mieszkania...

ROZDZIAŁ IV

Ksiądz Adam patrzył z niedowierzaniem na swojego wyraźnie zaaferowanego siostrzeńca.

– Powtórz to jeszcze raz... – poprosił.

– Spadek, o którym myśleliśmy, że nam przypadł, ciągle może być nasz – powtórzył grzecznie po raz drugi Patrick. – To polskie małżeństwo nadal go nie dostało.

– Jak to możliwe? – ksiądz najwyraźniej nadal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. – Przecież ta stara szantrapa, przepraszam, pani Klementyna, odeszła już kilka lat temu. Trzy? Cztery? Jakoś tak. Przez ten czas powinni już dawno przepuszczać jej kasę, taplając się w luksusach...

– Ale nie przepuszczają! – powiedział triumfalnie Patrick. – Z tego, co zrozumiałem, żeby położyć rękę na majątku, potrzebują dorobić się potomka, a wciąż go nie mają. I jeśli w ciągu miesiąca go nie zmastrują, to kasa jest nasza. Sam mówiłeś!

Ksiądz przez chwilę przestał go widzieć. Przed oczami pojawiła mu się bowiem dramatyczna scena, kiedy to pewnego wieczoru odebrał telefon, wzywający go do natychmiastowego przyjazdu do jego ulubionej, z racji datków przeznaczonych na zawiadywany przez niego kościół, parafianki. Na miejscu zastał zapłakaną pokojówkę i lekarza, który oświadczył mu, że nie jest nic więcej w stanie zrobić dla swojej pacjentki, domagającej się teraz już tylko ostatniego namaszczenia. Starsza pani leżała na łożu zwieńczonym baldachimem w ogromnej, ciemnej sypialni. Adam nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został wezwany do jakiejś monarchini. Królowej Bony na przykład, albo Elżbiety I. Gospodyni tego domu przeżyła kilkadziesiąt lat w luksusie i najwyraźniej zamierzała także w nim pożegnać się z tym światem. Ku zdumieniu księdza, który przygotował się duchowo na spotkanie z osobą ledwo co dychającą i oderwaną już od rzeczywistości, starsza pani była w pełni świadoma. Zdawała się być nawet w niezłej formie. Adam chciał przystąpić do sakramentu, ale powstrzymała go władczy gestem.

– Ksiądz zawsze był dla mnie taki dobry – powiedziała słabym głosem, ale bez żadnych trudności. – Chciałabym się jakoś za to odwdziaczyć...

– Ależ ja zawsze tylko wypełniałem moją powinność i czyniłem to z największą radością – zaprotestował ksiądz, w duchu zastanawiając się, jaka kwota zasili jego konto. A może starsza pani zapisze mu też któreś z posiadanych przez siebie dzieł sztuki? Taki obraz Moneta, wiszący w jej gabinecie, musi być wart niezłą sumkę. Albo Picasso z salonu. I jeszcze ze dwa Kossaki...

– Chciałabym... – zaczęła starsza pani, rozpraszając trochę tworzącą się właśnie w głowie Adama wizję miejscowego kościoła w roli amerykańskiego odpowiednika Luwru. – Podarować księdzu mój medalik, który kupiłam kiedyś w Santiago de Compostella. Ma dla mnie wyjątkową wartość.

Oczami pokazała mu, aby skorzystał z dzwonka, umieszczonego na szafce przy jej łożku. Ksiądz wypełnił nieme polecenie. W drzwiach pojawiła się pokojówka. Bez słowa podeszła

do Adama i przekazała mu trzymane w dłoniach małe pudełeczko. Ksiądz otworzył je i oto przed jego oczami pojawił się istny koszmarek. Tandetny łańcuszek wykonany z jakiejś paskudnej plastikowej masy, starającej się nieporadnie imitować perełki, ozdobiony medalikiem z wizerunkiem kogoś, o kim trudno nawet było zawyrokować, jakiej właściwie jest płci.

– Ksiądz ma łzy w oczach? – zdziwiła się starsza pani, patrząc uważnie na swojego gościa.

Adam, w duchu żegnający się właśnie z wizją kościelnego muzeum, dzięki któremu wreszcie zobaczyłby swoje zdjęcie na okładce miesięcznika „Catholic People” i pod które zajeżdżałaby własnym maybachem, nawet nie próbował się opanować.

– To ze wzruszenia, córko... – powiedział, z trudnością hamując chęć szlochania i wyrywania sobie włosów z głowy. – Ten medalik zostanie w moich zbiorach jako najcenniejsza pamiątka.

Klementyna westchnęła z zadowoleniem i uraczyła go uśmiechem. Adam przez chwilę zwalczał w sobie ochotę uduszenia jej poduszką.

– Ale to nie wszystko, co ksiądz może ode mnie dostać... – oznajmiła po chwili milczenia. „Ciekawe, co teraz”, pomyślał Adam. „Porcelanowa zastawa z obrazkami krówek i pastuszków? Zestaw koronkowych obrusów łowickich? Komplet starych reform? Ta cholerna szkatułka ze sztuczną szczęką?”

– Być może kiedyś to wszystko będzie księdza... – powiedziała starsza pani, czyniąc słaby gest ręką, tak jakby głaskała niewidoczną kulę.

W pierwszym odruchu Adam zrozumiał, że Klementyna chce mu zostawić swoje łóżko i nawet zdążył się zastanowić, co właściwie zrobi z taką kobyłą, która nawet nie zmieści mu się w pokoju, ale po chwili zaczęło do niego docierać, co jego parafianka ma na myśli.

– Jeśli moi bliscy mnie rozczarują, jeśli nie okażą się ludźmi pobożnymi i godnymi nagrody – dokończyła starsza pani – to cały mój majątek dostanie ksiądz. I ufam, że będzie wiedział, jak nim gospodarzyć i pomnażać go ku uciesze swoich owieczek... A teraz, proszę już zaczynać to, po co ksiądz przyjechał. Czuję, że nie mam zbyt wiele czasu, aby wyznać wszystkie swoje grzechy...

– To cudowne! – głos Patricka oderwał Adama od wspomnień. – Wszystkie nasze problemy skończą się jak nożem uciął! Jeszcze tylko parę miesięcy...

– Nie bądź taki pewny – powiedział ksiądz. – Mówisz, że ci ludzie mają jeszcze czas. A my nie za bardzo... Dostałem właśnie nowe pismo z banku.

Patrick przestał się uśmiechać i popatrzył na swojego wuja z niepokojem.

– Jak bardzo jest źle? – zapytał.

– Fatalnie – Adam pokiwał głową z rezygnacją. – Jeśli do końca listopada nie zapłacę kolejnej raty, to kościół pójdzie pod młotek...

– A biskup... – zaczął nieśmiało Patrick, ale urwał widząc gniewne zachnięcie się swojego wuja.

– Biskup ma nas w nosie! – bez mała krzyknął Adam. – Powiedział, że nie da już ani grosza i że los kościoła zależy tylko ode mnie. Ale w sumie nie to jest najgorsze...

– A co? – zaciekał się Patrick.

– Żeby ratować kościół, zastawiłem nasz rodzinny dom w Kolorado, ten, gdzie mieszka twoja babcia – przyznał Adam. – Liczyłem na to, że zatrudnienie tego cholernego chóru gospel przyciągnie nowych wiernych, ale okazało się, że te drące ryje kaszaloty skutecznie odstraszyły nam ostatnich parafian. Wszystko, co zarobiliśmy, poszło na ich catering. Nie wyobrażałem sobie, że można tyle jeść! Ale z drugiej strony wszystkie wyglądały, jakby codziennie pałaszowały na obiad całego słonia. I tak cud, że same przychodziły i nie trzeba było ich transportować dźwigiem, bo zbankrutowalibyśmy od razu. A już do reszty dobił nas finansowo ten sobotni targ z dewocjonaliami. Ciągle mam całą piwnicę tego koreańskiego badziewia. Chciałem im to odesłać, ale firmy już nie ma. Jak to w Azji. Firma kogucik, sprzedał i uciekł. Kto mógł przewidzieć, że akurat wtedy w Internecie pojawił się portal z odpustami online. Prawda jest taka, że jesteśmy doszczętnie splukani. I nie możemy czekać kilkunastu miesięcy.

– I nic się nie da zrobić...? – Patrick nie lubił dawać za wygraną. Gdy kiedyś w szkole nie potrafił na lekcji wychowania fizycznego w czasie zajęć z piłki ręcznej zrobić trójtaktu, został po lekcjach i ćwiczył go tyle razy, aż w końcu – prawie już nad ranem – był pewny, że następnym razem się nie zblądni przed kolegami. – Nie można choć trochę odłożyć spłaty?

– Bank przekładał ją już tyle razy, że nawet nie miałbym odwagi prosić o kolejny – odpowiedział z rezygnacją Adam. – To już koniec. Myślę, że z wolna należy porządkować kościół i przygotowywać się psychicznie babcię na to, że zamieni meldunek z luksusowego rancho na dom starców... Ty zostaniesz tutaj, bo w końcu masz studia, no i twoja mama też raczej teraz się stąd nie ruszy.

– To akurat mało mnie interesuje – mruknął Patrick, który dał sobie nie tak dawno słowo, że romanse jego rodzicielki z młodszymi nie dość, że od niej, to czasem nawet i od niego, modelami bielizny Calvina Kleina nie będą miały wpływu na jego życie. – Dziwię się, że zajmuje wujka...

– O, mój drogi – uśmiechnął się Adam. – Każdego księdza interesuje nawrócenie grzesznika. Zwłaszcza, gdy jest on jego siostrą...

– Obawiam się, że będzie to trudniejsze niż odbicie Ziemi Świętej z rąk Arabów w czasie wypraw krzyżowych – powiedział Patrick. – Przyjmijmy, że niektóre dusze są stracone na zawsze. Że też ona nie mogła iść w ślady waszej siostry. Zawsze lepiej na pytanie, co robi twoja mama, odpowiedzieć, że jest lekarką, a nie wymyślać na poczekaniu jakieś kłamstwo, żeby ukryć fakt, że w życiu nie skalala się żadną pracą.

– Trzy małżeństwa to bardzo ciężka praca... – westchnął Adam.

– Za chwilę, jak skończy się jej kasa, jaką po rozstaniu wydoiła z mojego ostatniego, nazwijmy to, tatusia – powiedział gniewnie Patrick – rozejrzy się za pracą numer cztery. Szkoda gadać. A co robi wujek? Gdzie się podzieje?

– Jestem dziwnie pewny, że nasz poczciwy stary biskup ma już dla mnie przyszykowane miejsce w jakimś zapomnianym kościółki w pipidowie, gdzie jeszcze nie wiedzą, że wynaleziono telefon komórkowy – skrzywił się Adam. – Jak się nazywa stolica

Mormonów? Salt Lake City? O, coś w tym guście... Trudno, potraktuję to jako pokutę. Szkoda tylko naszych parafian. No i nie wiem, jak powiedzieć siostrze, że będą musiały wrócić do klasztoru...

Dwie młode kobiety stojące pod drzwiami i podsłuchujące od dłuższego czasu ich rozmowę, spojrzały na siebie z przerażeniem. Jedna chciała zacząć coś mówić, ale druga położyła jej palec na ustach i wzrokiem pokazała, żeby przeszły do pomieszczenia znajdującego się po drugiej stronie korytarza.

– Doskonale wiesz, że nie możemy jechać do żadnego klasztoru! – ledwo co zamknęły za sobą drzwi wybuchnęła pierwsza z nich, wysoka, szczupła, sprawiająca wrażenie choleryczki.. – Nie damy rady tego odkręcić!

– Jasne, że wiem – ofuknęła ją druga, nieco okrągłejsza i nawet w habicie mogąca uchodzić za bardzo atrakcyjną. – Nic gorszego nie mogło się przydarzyć...

– I to w momencie, kiedy ten cholerny marshal dał już za wygraną – irytowała się pierwsza. – Mam sprawdzone informacje, że nasza sprawa trafiła na półkę tych z niskim priorytetem. Nikt nas już nie ściga, jakbyśmy jeszcze z rok, dwa się tu zweeksłowały, to potem mogłybyśmy spokojnie zacząć wszystko od nowa w Nowym Jorku, Waszyngtonie...

– Cholerny utracjusz – mruknęła druga. – Wiedziałam, że doprowadzi ten kościół do ruiny. Jakby przeznaczał datki na remonty, pomoc wiernym i świetlicę dla dzieci, a nie samochody i pokątne interesiki na giełdzie, to byłoby zupełnie inaczej. Jak ktokolwiek ma chodzić do tego kościoła, kiedy tu w każdej chwili pół dachu może mu spaść na głowę i wiatr hula jak na szczytach Sierra Nevada. Podejrzewam, że połowa naszych starszych parafian zeszła z tego świata na zapalenie płuc po mszach zeszłej zimy. Pamiętasz, to było wtedy, kiedy pierwszy raz od kilku lat spadł śnieg i temperatura spadła poniżej zera. Wielebny celebrował wtedy mszę w rękawiczkach i puchówce pod sutanną, ale jakoś nie natchnęło go to do założenia ogrzewania. Ani wiatraków na lato, kiedy można tu umrzeć, bo jest jak w saunie.

– Może wyszedł z założenia, że kościół to jednak nie jest salon SPA... – nieśmiało zaprotestowała pierwsza z kobiet.

– Oj tam, u Ewangelików naprzeciw mają nawet klimatyzację i jakoś im się to nie kłóci z Biblią – powiedziała gniewnie druga. – Właściwie dlaczego myśmy nie wybrały jakiegoś innego wyznania...

– Bo tylko siostry katolickie są takie prostoduszne i łatwowierne – przypomniała pierwsza. – A gdyby tak zrobić szacher-macher w drugą stronę?

– Obawiam się, że zostawiłyśmy tu za dużo śladów – zawyrokowała druga po chwili namysłu. – Zauważ, że klasztor nie szuka żadnego kontaktu z siostrami tylko dlatego, że dostaje co kilka tygodni sfałszowany przez nas list od proboszcza, że mają się świetnie. A drugi kościół też siedzi cicho, bo otrzymuje takie same listy od siostry przełożonej z klasztoru wraz z datkiem. Jak wyślemy teraz te dwie niedojdy z powrotem, to przecież zaczną opowiadać, gdzie były i wyjdzie na jaw, że nie spędziły tego czasu w Los Angeles, tylko w San Francisco, i że po drodze się rozmnożyły. Z dwóch zrobiły się cztery. Może Watykan uzna to za cud, tyle że my będziemy już wtedy siedzieć w więzieniu...

– Masz rację – przyznała niechętnie pierwsza. – To co nam zostaje?

– Wydaje mi się, że jedyne rozwiązanie, to szybkie wyeliminowanie spadkobierców – powiedziała powoli druga z kobiet. – Trzeba będzie tylko ustalić, jak się nazywają i gdzie dokładnie mieszkają. Ale to nie będzie chyba trudne, skoro wiemy wszystko o ich krewnej. A potem...

Zrobiła szybki gest, oznaczający podrzynanie gardła.

– Masz na myśli... – zaczęła z lekkim przestachem w głosie pierwsza. – Chyba nie...

– Nieszczęśliwy wypadek – odpowiedziała pierwsza. – A może nawet i morderstwo.

Postrzał z broni palnej. Zasztyletowanie w ciemnej ulicy. Oczywiście, dokonane przez nieznane osoby.

– Ale... – pierwsza nie dawała za wygraną. – Przecież oni mieszkają w Polsce! Jak niby zamierzasz tam pojechać, żeby nie wzbudzić podejrzeń?

Druga kobieta uśmiechnęła się triumfalnie, po czym podeszła do biurka, na którym rozłożone były reklamy, przyniesione niedawno przez listonosza. Zaczęła w nich grzebać, po czym z zadowoleniem wyciągnęła niedużą kolorową kartkę.

– Tu masz odpowiedź... – powiedziała, podając ją swojej towarzyszce. Ta wzięła kartkę i przez chwilę przebiegała ją wzrokiem. Szybko zrozumiała, że okazja sama pcha im się do rąk.

– Myślisz, że wielebny da nam zgodę? – zapytała.

– Jak go znam, to w tej sytuacji zrobi wszystko, żeby jak najdłużej odwlec chwilę, kiedy będzie zmuszony wyznać nam prawdę – stwierdziła lekceważąco druga. – Poza tym to nie jest najważniejsze pytanie, jakie powinnaś mi zadać...

– A jakie ono jest? – spytała pierwsza ze zdziwieniem.

– Najważniejsze jest to... – powiedziała powoli druga. – Czy w Polsce kupimy pistolet?!

ROZDZIAŁ V

Kasia obudziła się tuż przed ósmą rano i pierwsze, co stwierdziła, to fakt, że leży w łóżku sama. Nie zdziwiła się, bo ostatnimi czasy coraz częściej zdarzało się, że jej mąż po tym, jak wracał do domu po północy, spędzał resztę nocy na kanapie – w ich starym mieszkaniu w salonie, a obecnie w czymś, co szumnie nazywali living roomem na parterze. „Nie chciałem cię budzić”, wyjaśnił jej po pierwszych kilku takich przypadkach. Potem uznał, że nie musi się powtarzać i zaprzestał jakichkolwiek tłumaczeń. Miał rację. Jego żony w ogóle to nie interesowało.

Kasia wstała, przeszła do łazienki, wzięła krótki prysznic i zeszła po schodkach do kuchni. Ich dwupoziomowe mieszkanie, zaopatrzone w ogromną piwnicę, było częścią niewielkiego budynku, w którym mieszkało zaledwie siedem rodzin. Kupili je niecały miesiąc wcześniej, zauroczeni tym, jak oryginalnie zostało zaprojektowane. Teoretycznie, kiedy się do niego wchodziło, sprawiało wrażenie dużego studia z osobną kuchnią i krótkim korytarzem, prowadzącym do niewielkiej łazienki z kabiną prysznicową. Dopiero po dokładnych oględzinach okazywało się, że w kuchni za drzwiami znajdują się schody na piętro, kryjące w sobie dwa pokoje i dodatkowe ogromne pomieszczenie z gigantyczną wanną, a na samym końcu korytarza prowadzącego do łazienki, ukryta jest pod dywanikiem kłapa do piwnicy. Ta zaś miała wielkość przywodzącą na myśl hangar. Nawet, kiedy przenieśli tam wszystkie rzeczy, które szczelnie wypełniały ich komórkę lokatorską w poprzednim miejscu zamieszkania, nadal zostało tyle miejsca, że spokojnie można byłoby tu rozegrać mecz piłki nożnej. Z dnia na dzień Kasia coraz mocniej dojrzywała do tego, aby ów potężny loch przerobić na coś bardziej pożytecznego. Sęk w tym, że nie za bardzo wiedziała na co. Gdyby wiedziała, co niebawem się tam rozegra, zapewne wolałaby to miejsce od razu zalać cementem...

Nieświadoma przyszłości swojej piwnicy, Kasia nacisnęła przycisk ekspresu do kawy. Wiedziała, że dźwięk młynka mielącego ziarna obudzi jej męża, ale miała to w nosie. Na wszelki wypadek zajrzała jednak do salonu, żeby odrażający drab nie miał potem pretensji, że go nie zapytała, czy też by się nie napił. Potwór leżał na kanapie, chrapiąc w najlepsze. Kasia popatrzyła na niego, nie po raz pierwszy zadając sobie w duchu pytanie, co też właściwie w nim widziała. No dobrze, uczciwie trzeba było mu oddać, że ciągle był całkiem przystojny. Co prawda tych parę lat temu, kiedy go poznała, miał fenomenalną, wyrzeźbioną na siłowni i basenie smukłą i seksowną sylwetkę, ale ostatnio mięśnie zaczęły mu lekko obrastać tkanką tłuszczową, a brzuch wyglądał trochę jak u kobiety w ciąży. Dziewiąty miesiąc może to jeszcze nie był, ale jakiś czwarty, piąty – na pewno. Dziesięć kobiet na dziesięć uznałoby go jednak wciąż za smakowity kąsek. Mimo to na Kasi coraz częściej sprawiał wrażenie obłej masy, pozbawionej jakiegokolwiek seksapilu i jako takiej całkowicie jej obojętnej.

Masa lekko się poruszyła, chrapnęła nieco głośniej, po czym otworzyła oczy.

– Która godzina? – zapytała sennie.

– Prawie ósma – odpowiedziała Kasia. – Jak tam twoje zaległe faktury?

– Jakie faktury? – zdziwił się szczerze mąż, najwyraźniej nadal nie odzyskawszy przytomności.

– Te, które miałeś w nocy pilnie rozliczyć – zaszczębiotała Kasia z niewinnym uśmiechem, jednocześnie wyobrażając sobie jego zwłoki, zwęglone w wyniku wybuchu samochodu, który zamierzała popsuć. – Mam nadzieję, że zająłeś się nimi troskliwie...

– Aaaa, faktury... – otrzeźwił się mąż. – Tak, tak. Strasznie ich było dużo.

– Oj, biedaku, chyba nie zmęczyłeś się za bardzo? – powiedziała Kasia, zastanawiając się przy tym, czy zwęglone zwłoki też się ubiera do trumny, a jeśli tak, to czy lepiej wyglądałyby w czarnym czy granatowym garniturze, i dochodząc do wniosku, że z czarnym chyba za bardzo by się złąły. – Takie rozliczanie na pewno musi być bardzo wyczerpujące...

– Co masz na myśli? – zapytał mąż nieco już czujniej.

„Że jak uprawiasz tarło z jakąś rozpasaną nastolatką, stary pryku, to się musisz nieźle przy tym napocić, zwłaszcza z tym tłustym kałdunem”, pomyślała Kasia z obrzydzeniem.

– No wiesz, te wszystkie manipulacje przy cyferkach, przekładanie kartek... z boku na bok, dochodzenie do... finału – powiedziała. – To na pewno wymaga od ciebie nie lada zachodu.

Mąż popatrzył na nią podejrzliwie.

– Już ty nie mędrkuj – mruknął. – Lepiej zrób mi kawy, skoro już i tak obudziłaś mnie tym łomotem. Czy nie możemy kupić jakiegoś cichszego ekspresu? Ten robi przy mieleniu taki hałas, jakby ktoś strzelał do nas z kałasznikowa.

„O, kałasznikow”, przemknęło przez myśl Kasi. „Całkiem niezła myśl. Jakby tak nasłać na niego jakiegoś Ruskiego albo innego tam Bułgara? Tylko gdzie się takich wynajmuje?! Przecież nie w Internecie! Na bazarze kręci się pełno jakichś takich typów ze wschodu, może wiedzą...”

– Co tak zamarłaś jak żona Lota? – fuknął mąż. – Robisz tę kawę, czy czekasz, aż przyjdą dobre skrzaty i zrobią ją za ciebie?

– Już, już, skarbie – powiedziała Kasia, usiłując przegonić sprzed oczu wizję, jak to w czasie starań o zatrudnienie płatnego mordercy rodem z Zakaukazia, trafia na polskiego tajniaka rozpracowującego ruską mafię, następnie natychmiast zostaje aresztowana, a potem błyskawicznie skazana i zamknięta na ćwierć wieku w lochu w towarzystwie pań o uroczych ksywkach Krwawa Jolka i Szczerbata Zuza. Nie, tego raczej nie należało ryzykować...

Kasia wyjęła z szafki dwie filizanki i jedną z nich postawiła na podajniku ekspresu.

– Przy okazji, mógłbyś wreszcie jutro albo pojutrze zrobić mi te obiecane półki w piwnicy – powiedziała, pomna jednego ze swoich pomysłów na pozbycie się męża. – Rozpakowałabym wreszcie pudła z przetworami od mamusi. Nie walałyby się po korytarzu...

– Ty i twoja mamusia – skrzywił się mąż. – Po co ona w ogóle to robi? Przecież w każdym supermarkecie jest tych dżemów i powideł od cholery. Kupienie ich pewnie

wychodzi taniej niż zrobienie. Przysyła tego tonę, a potem połowa z tego pleśnieje, a druga kiśnie i w sumie nic nie nadaje się do zjedzenia...

„To ciekawe, kto wtrącił ci zeszłej zimy dwadzieścia słoików, a potem dziwił się, że mu cukier wyszedł na badaniach jak diabetykowi?”, pomyślała gniewnie Kasia. „Niewdzięcznik. A mamusia tak go lubi. Zawsze specjalnie dla niego robi kilka słoików dżemu z mirabelek...”

– Nie bądź niemiły – zgaśniła go. – Wiesz, że to z dobrego serca. Poza tym nikt cię nie zmusza do jedzenia. Wykorzystam je do ciast albo jogurtów. Proszę cię tylko o zrobienie półek. Już chyba miesiąc! To nie jest jakaś wielka filozofia...

– Dobrze, dobrze, zrobię te cholerne półki, tylko już nie gładź – warknął mąż. – Jutro z samego rana!

„Perfekcyjnie”, pomyślała Kasia. „To znaczy, że zaraz trzeba przygotować schody i łazienkę, a potem się ulotnić!”

– Dobrze się składa – oznajmiła – bo nie będę ci stać nad głową. Wiem, że tego nie lubisz. Jadę na weekend do mamusi...

– Po nowe konfitury? Bo ten zapas na wypadek wojny nuklearnej, który już mamy, to za mało? – mąż uśmiechnął się do niej przekornie. Przez sekundę Kasi przypomniało się, za co go kiedyś tak uwielbiała. Za owo złośliwe poczucie humoru, którym potrafił zawsze ją rozbroić, choćby nie wiadomo, jak była wściekła czy smutna. Niestety, ostatnimi czasy ostrze jego dowcipu nie dość, że nieco się stępiło, to jeszcze wiecznie było wymierzone w jej stronę, z czego trudno było jej się cieszyć. Szkoda.

– Nie, nie. Mamusia trochę niedomaga i postanowiłam, że się nią zaopiekuję – wyjaśniła szybko. – Zrobię jej jakieś zakupy, posprzątam, ugotuję obiad...

Mamusia, rzecz jasna, była zdrowa jak byk i niczego nie potrzebowała, ale Kasia liczyła, że mężowi nie przyjdzie do głowy zweryfikowanie jej słów. Od początku ich znajomości starał się ograniczyć do niezbędnego minimum kontakty z jej rodziną, zwłaszcza jej żeńską częścią.

– Tylko jej nie otruj – mruknął mąż nadal złośliwie. – Po tym, co ostatnio szumnie nazwałaś dewolajem mój żołądek buntował się przez półtora dnia...

„Poczekaj na zupkę grzybową”, pomyślała radośnie Kasia. „Ta ci dopiero da do wiwatu!”

– Dla mamusi postaram się wspiąć na wyżyny mojego talentu kulinarnego – powiedziała, pokazując mężowi język.

– Czyli wreszcie wychylisz czubek głowy ponad poziom Rowu Mariańskiego? – mąż jak zawsze lubił mieć ostatnie słowo. Kasia ostatkiem woli powstrzymała się, żeby zamiast cukru nie nasypać mu do filiżanki kreta do przetykania rur, który nie wiedzieć czemu stał na kuchennym blacie kusząco blisko cukiernicy. Nie, nie. Nie działać pochopnie, tylko trzymać się planu!

– A skoro jedziesz do mamusi – powiedział nagle mąż – to może podjechałabyś przy okazji do serwisu i naprawiła wreszcie ręczny? Wiem, że to drobiazg, ale kiedyś w końcu wyrośnie ci na drodze jakiś podjazd, na którym będziesz musiała się zatrzymać, a potem nie dasz rady ruszyć i skasujesz tym kolosem wszystko, co będzie stało za tobą. Jak

można tyle czasu jeździć bez ręcznego!

– Ale żeby podjechać do serwisu w drodze do mamusi, będę musiała wjechać na drogę szybkiego ruchu! – zaprotestowała Kasia. – Wiesz, jak ich nie znoszę!

– Coś za coś – powiedział mąż stanowczo. – Ja robię półki, ty reperujesz ręczny!

„Co za prosiak”, pomyślała Kasia, ale potulnie skinęła głową. Wizja męża nabitego na ostre narzędzia w piwnicy skutecznie wygrała ze strachem przed jazdą wśród prujących znacznie powyżej dozwolonej prędkości szaleńców drogowych. Zresztą odkąd nie tak dawno Kasia przesiadła się ze swojego starego fiata do wymarzonego jeepa cherokee, przez krótki czas będącego ukochaną zabawką jej męża, zanim nie kupił sobie nowego BMW, jej lęk zdecydowanie się zmniejszył. Nie wiedzieć czemu, wielkość samochodu w jej umyśle szła w parze z bezpieczeństwem jazdy. Najlepiej czułaby się, poruszając się po mieście tirem. Tyle że niewątpliwie trudniej parkowałyby się nim pod Lidlem.

Napoiwszy męża kawą i wypchnąwszy go do pracy, Kasia przystąpiła do realizacji swoich morderczych planów. Z pudła z narzędziami wyciągnęła wszystko, co mogłoby się jej przydać do uszkodzenia schodów, a mianowicie ogromny pilnik, małą piłę i wielki płat grubego ściernego papieru. Zaopatrzona w taki podręczny zestaw małego majsterkowicza przeszła przez korytarz i otworzyła klapę do piwnicy. Tuż pod klapą znajdował się włącznik światła. Kasia przyklęknęła i nacisnęła go. Zamontowane pod sufitem i na bocznej ścianie stuwatowe żarówki natychmiast oświetliły pomieszczenie niczym reflektory hollywoodzki plan filmowy. Kasia z niesmakiem pomyślała, że przy takiej iluminacji mąż gotów jeszcze zauważyć, że ze schodami jest coś nie w porządku, tym bardziej, że padał na nie wyjątkowo mocny snop światła. Wstała z kolan, przeszła do kuchni i wyciągnęła z szafki żarówkę o nieco mniejszej sile rażenia. Wróciła do klapy i ostrożnie zaczęła schodzić do piwnicy. Schody ku jej radości nie dość, że lekko się uginały pod jej ciężarem, to jeszcze wydawały z siebie potępieńcze zgrzyty tak, jakby faktycznie miały się zaraz rozlecieć. „Obym tylko sama nie straciła tu zaraz życia albo co gorsza zębów”, pomyślała z lekkim przestraszaniem Kasia i w tym momencie jeden ze schodków ugiął się pod nią nieco wyraźniej niż pozostałe. Kasia zeszła jeszcze kilka stopni niżej, tak aby ów feralny znalazł się dokładnie na wysokości jej wzroku. Faktycznie, schodek wydawał się być nieco bardziej sfatygowany niż inne. Miał wyraźne wgłębienie pośrodku, a drewno w tym miejscu sprawiało wrażenie nieco nadgniętego, co było o tyle dziwne, że Kasia nie wyczuła nigdy w piwnicy żadnej wilgoci. W sumie niewiele ją to jednak obchodziło. Sięgnęła po pilnik i lekko podpiłowała miejsca, gdzie drewno stykało się z żelaznym okuciem. Następnie piłą odcięła odrobinę drewna spod spodu schodka. Na wszelki wypadek postanowiła to samo zrobić jeszcze z paroma innymi, tak aby ów jeden nie prezentował się podejrzanie, a całość wyglądała na partactwo ekipy, która robiła całe zejście. W końcu robotnicy nie musieli dokładnie sprawdzać, ile każdy schodek ma grubości, i mogli użyć kilku cieńszych desek. Kasia z zadowoleniem popatrzyła na efekt swojej pracy. Stare drewno mimo wprowadzonych przez nią modyfikacji nie zdradzało śladów świeżej obróbki. Doskonale! Ucieszona rezultatami działań wymieniła jeszcze żarówki i na wszelki wypadek przearanżowała trochę przestrzeń pod schodami,

ustawiając na sztorc tuż pod feralnym stopniem długi drewniany kij zwieńczony żelaznym, ostrym końcem. Jej mąż, przeżywający kiedyś okres fascynacji średniowiecznym rycerstwem, dostał go na pamiątkę po wzięciu udziału w rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem. Kasia przez jakiś czas próbowała pozbyć się tej makabry, ale potem odkryła, że kijaszek idealnie nadaje się do wymiatania pajęczyn z co mniej dostępnych miejsc w domu. Teraz jej zdaniem mógłby wymieść z tego świata jej męża. Nabicie na włócznię, iście rycerska śmierć... Kasia ostrożnie wróciła na górę, na wszelki wypadek przeskakując trefne schodki. Stojąc już nad klapą, jeszcze raz zlustrowała uważnie piwnicę. Wymienione przez nią żarówki świeciły na tyle słabo, że wymuszały ostrożne zejście po schodkach, które teraz bez mała tonęły w ciemnościach. A to gwarantowało, że mąż nie zrobi tego, co ona przed chwilą, i nie zbiegnie po kilka stopni naraz, bojąc się, iż grozić mu to będzie upadkiem i utratą zębów. W porządku, piwnica jest gotowa!

Na wszelki wypadek Kasia postanowiła na tym nie poprzestawać. Najpierw udała się do łazienki i przestawiła podłączone do prądu radio na półkę nad wanną. Półka, o którą mąż często się opierał, bo ze względu na swoje usytuowanie stanowiła dla niego pierwszą pomoc przy gramoleniu się z wanny, w której, ku irytacji swojej żony, uwielbiał się godzinami wylegiwać, została niestety zamontowana bardzo solidnie i nijak nie chciała się dać choć odrobinę przekrzywić. Kasia przez chwilę się z nią bezskutecznie mocowała, zwalczając ochotę pójścia po młotek i rozłupania jej na drobne kawałki, po czym popatrzyła na nią nieco trzeźwiejszym wzrokiem. Umocowana była na bolcach przykręconych śrubami. Trzy żelazne podkładki, w które wkręcona była każda ze śrub, miały po dwie dziurki – mniejszą u dołu i większą u góry. Główki śrub znajdowały się w mniejszej z nich. A gdyby pierwszą z nich odrobinę wykręcić, a ostatnią poluzować, żeby przy najdrobniejszym ruchu wypadła? Wtedy naturalną kolejną rzeczą przy odpowiednim nacisku pierwsza przeskoczyłaby do większej dziurki, ostatnia wypadła, a to spowodowałoby przekrzywienie się całej półki. Czy jednak na tyle, żeby stojące na niej radio wpadło do wody? Kasia знаła zwyczaje swojego męża i wiedziała, że ten po kąpieli z reguły staje w wannie, opłukuje się ciepłym prysznicem, wychodzi, zakłada szlafrok i dopiero wtedy spuszcza wodę. Jeśli więc podczas wstawania oprze się o półkę, a radio zleci, powinien go z miejsca trafić szlag. Pocieszona tą myślą Kasia sięgnęła po ogromny śrubokręt i, dysząc z wysiłku niczym galernik na pirackim statku, z trudem przekręciła kilka razy jedną z wkręconych na amen śrubek. Na szczęście śrubka lekko zwięzła się ku końcowi i po manipulacjach Kasi bez mała sama przeskoczyła do większej dziurki. Półka, trzymana na dwóch pozostałych śrubach, ani drgnęła. Kasia wzięła się więc za wykręcanie kolejnych śrub, dysząc jak zawodnik sumo w czasie walki i przeklinając w duchu, że zamiast ćwiczyć z Ewą Chodakowską, z reguły oglądała jej program na kanapie, obżerając się chipsami i czekoladą. Dopiero po kilku minutach udało jej się pokonać opór materii. Wyjęte, a następnie włożone na słowo honoru, śrubki zgodnie z oczekiwaniami wypadły przy próbie nacisku, a pozbawiona przez to oporu półka z miejsca straciła równowagę. Do pustej wanny spadła część kosmetyków i... radio. Kasia

aż klasnęła w ręce, o mało co nie wbijając sobie przy tym śrubokręta we wzgórek pod kciukiem. Idealnie! Wyprostowała półkę, dokręciła śrubki tak, żeby całość na razie się trzymała, a na koniec poustawiała wszystko na swoim miejscu. Druga pułapka była gotowa!

Uznawszy, że skoro już spędziła tyle czasu w łazience, to przy okazji mogłaby zrobić małe pranie, Kasia napuściła wodę do wanny, wlała do niej odplamiacz, a na koniec wyjęła z kosza na brudy i dorzuciła tam kilka pieruńsko brudnych obrusów, przy okazji zastanawiając się, które z nich rozłoży na stołach w czasie stypy po mężu. Następnie przeszła do pokoju, odłożyła narzędzia na swoje miejsce i zaczęła rozmyślać na kolejnymi pomysłami na pozbycie się małżonka. Warto byłoby mieć coś w zapasie, gdyby jakimś cudem udało mu się uniknąć nadziania się na dzidę w piwnicy i porażenia prądem podczas kąpieli. Te grzyby wcale nie były takie idiotyczne... Kasia spojrzała na zegarek. Dochodziło południe, centra handlowe i znajdujące się w nich księgarnie były już dawno pootwierane. Szybko ubrała się, wyszła z mieszkania, zamknęła drzwi i przeszła do garażu znajdującego się z boku budynku. Zanim weszła do środka, kątem oka dostrzegła, jak do domofonu pod jej blokiem podchodzi jakiś młody człowiek z dość oryginalnym uczesaniem, sprawiającym takie wrażenie, jakby jego właściciel przed chwilą zsiadł z motoru, którym długo jechał bez kasku i w czasie burzy. Kasia przelotnie zastanowiła się, skąd może go znać, bo była pewna, że już kiedyś gdzieś się spotkali. Po chwili doszła jednak do wniosku, że być może widziała go wcześniej w pobliżu domu. Może idzie do swojej dziewczyny? W końcu jej sąsiedzi mieli dwie nastoletnie córki w wieku, który doskonale pasował do oryginalnie uczesanego młodzieńca.

Po kilku minutach Kasia była już w drodze do pobliskiej Arkadii, gdzie zamierzała kupić dzieło pod wielce obiecującym tytułem „Atlas grzybów trujących”.

ROZDZIAŁ VI

Zamyślony Patrick po cichu opuścił pokój swojego wuja, przeszedł przez korytarz i wszedł do gabinetu, z którego wychodziło się na ulicę. Tuż za progiem wzrok jego padł na dwie, stojące na środku i sprawiające wrażenie przyłapanych na kłótni, zakonnice.

– Głupiaś! Mówię ci, że musimy go wtajemni... – mówiła właśnie jedna z nich podniesionym głosem. Na widok Patricka gwałtownie urwała.

– Siostra Mary, siostra Alma – powiedział chłopak, nie wiedząc, czy bardziej dziwi go zaskakujące wzburzenie zakonnice, czy też fakt, że potrafią coś powiedzieć. Zawsze były tak cichutkie, że czasem aż zastanawiał się, czy oby nie są głuchonieme. – Co tutaj robicie? Nie powinnyście dzisiaj pomagać w przedszkolu?

Kobiety popatrzyły na siebie niepewnie. W końcu ta, która poprzednio urwała swoją przemowę, wzruszyła ramionami i machnęła ręką z rezygnacją, najwyraźniej wyrażając tym gestem przysłowie „raz kozie śmierć”.

– Mamy do ciebie pewną sprawę – powiedziała. – Tylko musisz nam obiecać, że nigdy nie zdradzisz się z nią przed wielebny. To sprawa życia i śmierci. Bardziej nawet śmierci...

Patrick spojrział na nią z zaskoczeniem. Często ukrywał coś przed swoim wujem, który od lat był też jego głównym opiekunem, ale nigdy nie przypuszczał, że zostanie o to poproszony przez zakonnice.

– Siostro Mary, życie nauczyło mnie, żeby niczego nigdy nie obiecywać z góry – odpowiedział ostrożnie. – Ale o co właściwie chodzi? Chętnie wysłucham...

– Jest to dla nas bardzo ważne – wyjaśniła siostra Mary. – Chciałybyśmy udać się już dziś wieczorem z pielgrzymką do Polski. Do Sanktuarium Maryjnego w... Liszaju?

Patrick mimowolnie się uśmiechnął.

– Licheniu – sprostował. – Tak to się wymawia...

– Mówiłam ci, że on mówi po polsku! – powiedziała triumfalnie siostra Mary do swojej przyjaciółki, po czym znów odwróciła się do Patricka. – Mówisz, prawda?

– Owszem – potwierdził nadal rozbawiony młodzieniec. – Moi rodzice zadbali o to, żebym władał oboma językami. Poza tym, gdy byłem młodszy, to prawie każde wakacje spędzałem u mojej cioci w Polsce...

Siostra Mary klasnęła z radości w dłonie. Nadal zasepiona Alma najwyraźniej jednak nie podzielała jej, na razie kompletnie dla Patricka niezrozumiałej, radości, spowodowanej odkryciem jego zdolności lingwistycznych.

– Bardzo nam zależy na tej pielgrzymce – powiedziała Mary, po czym, nagle poważniejąc, dodała – z różnych powodów... Niekoniecznie religijnych...

Patrick spojrział na nią uważnie.

– Co siostra ma na myśli? – zapytał. Odpowiedź jednak nadeszła z innych ust.

– Słyszałyśmy o problemach, jakie wielebny ma z pieniędzmi – oznajmiła siostra Alma ponuro, nie widzieć czemu patrząc przy tym na Patricka czymś w rodzaju pomieszania

pretensji z obrzydzeniem. – I siostra Mary doszła do wniosku, że mogłybyśmy mu pomóc. To znaczy wam, bo przecież z tego, co słyszałyśmy, to problem dla całej rodziny...

„Wścibskie babska” – pomyślał w duchu Patrick, powstrzymując się jednak od zdradzenia, co myśli o swoich rozmówczyńach.

– Jeśli chcą siostry się za nas pomodlić, to nie trzeba aż podróży do Polski – powiedział nadal ze starannie wystudiowanym, czarującym i niby to nieśmiałym uśmiechem, na który wyrывał dziewczyny w okolicznych klubach, szybko zyskując miano parafialnego Casanovy. – Nawet tutaj, w tym grzesznym mieście, gdzie na jednego porządnego człowieka przypada trzech gangsterów, dwóch raperów i któraś z Kardashianek, mamy sporo stosownych ku temu miejsc. Na przykład na West Adams Boulevard jest Parafia Jasnogórska. To niedaleko od nas. Znajdą tam siostry wierną kopię obrazu Przenajświętszej Paniienki z Jasnej Góry i prawie wszystkich naszych dawnych parafian. Albo kościół przy Mansfield Avenue. Też ładne miejsce. Miejscowy ksiądz zaprasza tam co środę i sobotę na poczęstunek, przygotowywany z przeterminowanych rzeczy wyrzuconych na śmietnik przez supermarkety. Wziąwszy pod uwagę, że nikt tam się jeszcze nie zatrul, święcie wierzę, że jest to miejsce cudów. Albo kościółek na Thornburn...

– Nie, nie chodzi nam o modlitwę – przerwała stanowczo jego wyliczankę siostra Mary. – Mamy zupełnie inny plan. Powiedziałabym, że dający większe szanse powodzenia. Choć oczywiście gorliwa modlitwa też nie zaszkodzi. Zwłaszcza, jeśli jesteś wierzący.

– A to siostra nie jest...? – zdziwił się Patrick. – A poza tym, mógłbym się dowiedzieć, jaki to plan?

– Chciałybyśmy nieco przyspieszyć spotkanie spadkobierców pewnej fortuny z zastępami niebieskimi – wyjaśniła siostra Mary. – I sprawić, żeby nastąpiło to dość ekspresowo.

Patrick, nie dowierzając w to, co usłyszał, poczuł, że mimowolnie otwiera usta i wybałusza oczy. Czym prędzej postarał się opanować te odruchy.

– Ale... – zaczął, uświadamiając sobie, że nie umie w tej chwili wymyślić nawet odpowiedniego pytania. – Jak...? To znaczy co...? To znaczy kiedy...?

– Jak najszybciej – powiedziała zakonnica. – Dlatego uważamy, że ta pielgrzymka do Liszaja... Lichenia wypada nam idealnie. Siostra Alma już dzwoniła, jest jeszcze kilka miejsc wolnych, nie ma żadnych przeszkód, żebyśmy we trójkę na nią pojechali.

– Jak to we trójkę? – zapytał słabym głosem Patrick.

– No przecież ktoś musi być naszym tłumaczem – wyjaśniła niecierpliwie siostra Mary. – Same nie damy rady. Poza tym wielebny szybciej nas puści pod twoją opieką. Obawiam się, że inaczej w ogóle nie będzie chciał o tym słyszeć. I wreszcie pracujesz w kancelarii, więc masz za zadanie sprawdzić, jak nazywają się ci spadkobiercy, same nie damy rady tego zrobić. Mogłybyśmy się co prawda tam włamać, ale wolimy przynajmniej tutaj nie zwracać na siebie żadnej uwagi. Zdejmiesz nam ten kłopot z głowy, dla ciebie to będzie przecież drobiazg! A my już za to znalazłyśmy przed chwilą w Internecie polskiego sprzedawcę, więc nie będzie kłopotu z zakupem sprzętu...

– Jakiego sprzętu?! – jęknął Patrick.

– Sama z siebie jestem zwolenniczką HS2000, bo wydaje mi się o wiele bardziej

poręczny od zwykłego Glocka, no i tańszy, więc zetniemy trochę kosztów. Poza tym cudownie pasuje do kobiecej ręki – odpowiedziała siostra Mary nieco rozmarzonym głosem. – Fascynuje mnie też nowy Metal Storm. Podobno potrafi wystrzelić w ciągu sekundy kilkadziesiąt pocisków, ale pewnie w Polsce go nie kupimy. Do tych krajów Trzeciego Świata wszystkie nowinki dochodzą z opóźnieniem...

– O czym siostra mówi?! – zapytał doprowadzony już prawie do płaczu Patrick, po czym odezwała się w nim odrobina patriotyzmu. W końcu w jednej którejś tam, na oczekaniu nie umiał tak szybko tego policzyć, był rodakiem Kopernika, Szopena i Wałęsy – Poza tym Polska to nie Trzeci Świat! Należy do Unii Europejskiej!

– Naprawdę?! – zdziwiła się szczerze siostra Mary. – A byłam pewna, że to ten zabawny azjatycki kraj między Rosją a Chinami. Ten, co to tam głównie pasą owce i kozy. Nawet mówiłam siostrze Almie, że dla kamuflażu będziemy musieli sobie kupić po czapce z lisa i kożuszku z barana.

– To Mongolia! – sprostował z rozpaczą Patrick. – Polska też jest przy Rosji, ale od innej strony. Niemieckiej.

– Możliwe – zgodziła się siostra Mary. – Ja tam nie jestem zbyt mocna w geografii. Nawet nie wiem dokładnie, gdzie jest Niagara, a co dopiero Polska. A co do broni, to tak jak powiedziałam. Wolę palną. Ale oczywiście siostra Alma twierdzi, że to okropnie staroświeckie i pistolety już dawno wyszły z mody, a poza tym nie dają stuprocentowej pewności. I że ona woli coś pewniejszego. Na przykład XM42.

– Co to do licha ciężkiego jest XM42?! – znów jęknął Patrick.

– Czy ty naprawdę nic nie wiesz?! – zirytowała się siostra Mary. – Niby facet i to dorosły, a taki niekumaty. Czego was teraz uczą w tych szkołach?! XM42 to miotacz ognia nowej generacji. Niszczy wszystko w zasięgu kilku metrów. Siostra Alma ma zamiłowanie do pirotechniki i miotaczy ognia. Można powiedzieć, że wszystko, co związane z wybuchami i ogniem, to jej konik. Moim zdaniem choruje na piromanię, ale ma duże doświadczenie w obu tych dziedzinach...

– A ty wiecznie sobie wyobrażasz, że jesteś jakąś pieprzoną Matą Hari z rewolwerkiem w ręku – mruknęła siostra Alma. – X15 też jest niezły. Ale ma krótszy zasięg...

Patrick poczuł, że za chwilę oszaleje. Wizja zamknięcia w domu bez klamek nieco go otrzeźwiła.

– Macie mi natychmiast wyjaśnić, o czym mówicie – zażądał, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej stanowczy ton. – A poza tym, kim wy do jasnej cholery jesteście?!

Mary i Alma popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

– Skoro już mamy stworzyć grupę przestępczą – powiedziała Mary – to może faktycznie powinniśmy ci co nieco wytłumaczyć...

ROZDZIAŁ VII

Jacek zobaczył w szklanych drzwiach, jak jeep cherokee przejeżdża za jego plecami, a następnie skręca za rogiem. Nie wiedział, ile ma czasu, ale na wszelki wypadek postanowił działać tak szybko, jak tylko się da. Drzwi wejściowe nie stanowiły dla niego żadnej trudności, bo w czasie pracy nad odnawianiem mieszkania Kasi nauczył się na pamięć otwierającej je kombinacji liczb. Wystukał je teraz na panelu. Bzyczenie w drzwiach dało mu znać, że kombinacja się nie zmieniła. Chwilę potem był już w korytarzu, zastanawiając się, czy oby Donkom nie wpadło do głowy wymienić zamki. Jeśli tak, to jest w kropce. Ale jeśli nie... Jacek dotknął kieszeni spodni, żeby po raz chyba setny upewnić się, czy ma klucz do ich mieszkania. Dorobienie go wymagało od niego nie lada zachodu, ale jednak się udało. Ten cholerny babsztyl siedział jemu i reszcie ekipy remontowej na głowie dwadzieścia cztery godziny na dobę i w ciągu dwóch tygodni wylazł na dłużej tylko jeden raz. Dzień przed tym wiekopomnym wydarzeniem z samego rana Agnieszka przekazała mu mały pakunek z poleceniem ukrycia go tam, gdzie na pewno nikt go nie znajdzie. Po kilku minutach od kiedy się rozstali, Jacek poczuł, że jest obserwowany. Gdziekolwiek nie poszedł, miał za sobą typa w czarnym dresie i sportowej czapeczce. Próbował go zgubić, ale bezskutecznie. Typ znajdował go tak szybko, że Jacek zaczął w końcu podejrzewać, że ma zainstalowany radar pokazujący jego lokalizację. Ewentualnie jest wilkołakiem czy też wampirem i wyczuwa jego zapach. Licho wie. W sytuacji, gdy bandzior nie spuszczał go z oka niczym wygłodniały sęp potencjalnej padliny, odpadło oczywiście ukrycie pakunku w domu. Jacek pokręcił się trochę po mieście, beznadziejnie konstatując brak jakichkolwiek miejsc nadających się na bezpieczne przechowanie powierzonej mu paczki i wreszcie zdecydował się na krok dość desperacki, ale mający spore szanse powodzenia. Poprzedniego dnia rozpoczął w mieszkaniu Donków kładzenie kafelków w łazience, a dzisiaj miał tę robotę zakończyć. Ściana co prawda była już pod to perfekcyjnie przygotowana, ale jeśli by ją odrobinę naruszył, niby przez przypadek, to mógłby przeciągnąć kafelkowanie o dzień, a jutro spokojnie odzyskać paczuszkę i oddać ją w dogodnej chwili z powrotem Agnieszce. Plan udało mu się wykonać jednak tylko w połowie. Co prawda, rozwalił ścianę, ukrył w niej powierzony mu skarb i całość przywrócił do poprzedniego stanu, ale na tym jego sukcesy się skończyły. Ponieważ pilnująca go kobieta była skąpiradłem i nigdy nie częstowała nikogo z ekipy nie tylko jakimkolwiek pożywieniem, ale nawet zwykłą wodą, po kilku godzinach Jacek poszedł coś przekąsić do pobliskiego baru mlecznego. Był już prawie z powrotem pod domem Donków, kiedy nagle usłyszał gdzieś odgłos motoru. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jacek spojrzał w stronę, z której coraz wyraźniej rozlegał się ryk silnika, zdążył zobaczyć przybliżający się do niego z ogromną prędkością motocykl z kierowcą w czerwonym kasku, a chwilę potem poczuł ogromny ból i zanim się zorientował, co się dzieje, zapadł się w ciemność. Ocknął się na łóżku szpitalnym, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł.

– Miał pan ogromne szczęście – powiadomiła go chwilę później młoda, okrągłutka, uśmiechnięta od ucha do ucha pielęgniarka. – Świadkowie mówili policji, że podobno wyglądało to bardzo groźnie. A w dodatku ten ktoś, kto pana staranował, tylko sprawdził, czy pan żyje i od razu uciekł z miejsca wypadku. Ludzie to teraz są tacy nieodpowiedzialni... Nie to, co moja mama! Ostatnio jechała przez jakąś wiochę i przez przypadek przejechała na drodze kure. Tak się przejęła, że chciała koniecznie zwrócić za nią pieniądze właścicielowi. Jak go zaczęła szukać, to znienacka do tej kury przyznało się pół wsi. Najpierw przyleciał sołtys, krzycząc, że to na pewno z jego stada, bo tylko jego ptactwo ma takie szarawe upierzenie. Na to jakaś babina zaczęła zawodzić rozpaczliwie, że kurka należała do niej, bo poznaje jej smutne niebieskie oczka. Potem przybiegł kościelny, który zidentyfikował kure po tym, że u lewej nóżki miała tylko trzy palce. I tak w sumie właścicieli kury zrobiło się błyskawiczne kilkunastu. Zaczęli się kłócić, wyzywać się, awanturować. Jak mama w końcu stamtąd uciekła, machnąwszy ręką na to, czyj to ptak, to już prawie widły szły w ruch...

– Ale jak to sprawdził, czy żyję... – powiedział z rezygnacją Jacek, nie mogąc nijak znaleźć sposobu, aby ustosunkować się do porównania go ze świętej pamięci kurą. – Skąd to wiadomo?

– Ponoć jak ten pirat w pana gruchnął, to zszedł z motoru i pochylił się nad panem – powiadomiła go pielęgniarka. – I dokładnie sprawdził, czy wszystko w porządku. Ale jak zobaczył, że z bloków wychodzą ludzie, którzy widzieli wypadek z okna i wybiegli zobaczyć, czy mogą pomóc, to się w popłochu ulotnił. Ponoć ktoś zdążył zapisać numer motoru, ale to już panu powie policja. Ja w sumie niewiele więcej wiem. W każdym razie nic panu chyba nie zginęło. Nawet pański portfel jest u nas w depozycie, więc może pan być spokojny...

Spokój to było w tamtej chwili ostatnie uczucie, które odczuwał Jacek. I jak się okazało słusznie. Kiedy następnego dnia ku ogromnemu niezadowoleniu lekarza przed południem wypisał się na własną prośbę ze szpitala i nie bacząc na zalecenie, aby najbliższy czas spędził w domowych pieleszach, popędził do Donków, bo już po sprawie. Łazienka była w całości wyłożona kafelkami, a jakby tego było mało, tuż pod miejscem, w którym ukrył paczkę od Agnieszki, jego pomysłowi koledzy zamontowali półkę. No to mogiła... Jacek patrzył na to z rozpaczą, mając szczerą ochotę zamordować dumnego z siebie kolegę z ekipy, który odwalił za niego robotę i oczekiwał teraz wyrazów wdzięczności. Po kilku dniach, w czasie których Jacek kombinował, jakby tu wydobyć paczkę, dotarło do niego, że na razie sprawa jest beznadziejna. Nie dość, że pani domu ciągle patrzyła im na ręce tak, jakby obawiała się, że mogą jej ukraść zaprawę murarską albo deski od parkietu, to jeszcze w łazience szalał jego szef, który własnoręcznie montował tam wszelkie sprzęty. Jedyne, co udało się Jackowi, to dorobienie klucza. Wykorzystał na to moment, kiedy upiorna gospodyni umówiła się z jakąś swoją przyjaciółką, co podsłuchał przez telefon, i przez zapomnienie zostawiła klucz na haczyku w przedpokoju. Dorobiono mu go na oczekaniu w kilkanaście minut i zdążył go podrzucić z powrotem, zanim pani domu wróciła ze spotkania. Ponieważ drzwi do mieszkania wstawiono na początku remontu

i nikt z ekipy nie dostał do nich kluczy, Jacek skrętnie liczył, że Donkowie raczej nie będą czuli potrzeby, aby wymieniać w nich zamki. Teraz miał się przekonać, czy miał rację.

Czując, jak serce podchodzi mu do gardła, delikatnie włożył klucz do zamka. Nadeszła chwila prawdy. „Cholerna Agnieszka”, pomyślał. „Co jej właściwie uderzyło do głowy?!” Błyskawicznie się jednak zmitygował. W sumie pomysł jego dziewczyny był doskonały. Gdyby nie ten cholerny wypadek, nikt by niczego nie wykrył, a oni już dawno wygrzewaliby się w Meksyku, Argentynie albo innym kraju, który nie ma podpisanej umowy o ekstradycję z naszym krajem, sącząc drinki z palemką i mając w perspektywie jedynie słodkie nieróbstwo. Ech, pomarzyć by... A teraz zamiast pławić się w luksusie, muszą jak najszybciej zrobić wszystko, aby ich szacher-macher nigdy nie wyszedł na jaw. I mają na to tylko trzy dni. Szlag by to trafił. Jacek przekręcił klucz i pohamował okrzyk radości. Zgrzyt zamku i odgłos chowania się bolców antywłamaniowych zabrzmiał w jego uszach niczym śpiew chóru anielskiego. Jacek nacisnął klamkę i oto mieszkanie Donków stanęło przed nim otworem. Nie wiedział, ile ma czasu, więc na wszelki wypadek postanowił działać tak szybko, jak się da. Szybkim krokiem przeszedł przez salon, wszedł do kuchni i bez mała biegiem przemierzył schody. Kiedy znalazł się w łazience, poczuł jak z emocji jego ręce zaczynają się robić lodowate, a czoło, niejako dla równowagi, pocić. „To zabawne” – pomyślał – że zdenerwowanie ma takie same symptomy jak grypa. Ciekawe dlaczego?”. Z przewieszanej przez ramię torby wyjął hebeleki i młotek. Przelotem spojrzał na wannę, w której moczyły się jakieś szaro-bure szmaty. Przez chwilę zastanowił się, czy ich nie wyjąć, ale doszedł do wniosku, że tylko zajmie mu to dodatkowy czas. Pochylając się nad wanną, przyłożył hebel do fugi i łupnął w niego młotkiem. Wbrew jego nadziejom, nie przyniosło to żadnego efektu. Że też musiał trafić do takiej wyjątkowo porządnej ekipy. Mimowolnie przypomniała mu się opowieść jego ciotki, jak to w jej łazience pięknie położono płytki ścienne i zapewniono ją, że nawet jak w jej dom trafi bomba atomowa, to na miejscu pozostaną jedynie karaluchy, bo one podobno przetrwają wszystko, oraz jej ściany z kafelkami przytwierdzonymi na amen. Traf chciał, że następnego dnia kot ciotki, odwiedzający to pomieszczenie w celach fizjologicznych, wypatrzył na kafelkach jakiegoś robaczka. Jako zwierzyzna łowna rzucił się mordować insekta. Po chwili siedząca w salonie i oglądająca „Fakty” ciotka usłyszała rumor, jakby co najmniej waliło się pół jej bloku. W stanie przedzawałowym dopadła do źródła hałasu, czyli łazienki, aby zobaczyć tam pobojuwisko składające się z kilkudziesięciu kafelków oraz osłupiałego i mocno, oceniając po jego minie, zde gustowanego zaistniałą sytuacją kota. W łazience Donków jednak wszystko trzymało się na mur-beton i ani chciało drgnąć. Jacek nie był co prawda chuchrem, regularnie odwiedzał siłownię i basen, a także dodatkowo w wolnych chwilach machał hantlami, ale z opornymi płytkami nijak nie mógł sobie dać rady. Po kilku minutach udało mu się zrobić jedynie niezbyt okazałe wyżłobienie w fudze. Nie było najlepiej... Przerwał swoje zajęcie i przez chwilę zastanowił się, w czym właściwie tkwi problem. Może w jego pozycji? Pochylony nad wanną, nie mógł wykorzystać całej siły swoich mięśni. Zdjął buty i skarpetki, podwinął jeansy i wszedł do wanny. Woda wbrew

temu, czego się spodziewał, nie była lodowato zimna, ale przyjemnie letnia. Jacek lekko przykucnął, po czym przyłożył hebel do fugi i rąbnął w niego z całej siły. Wyżłobienie zrobiło się wyraźniejsze. Powtórzył czynność i ku swojemu zdumieniu zobaczył, jak kafelek obok fugi zaczyna się lekko wybrzuszać. Uskrzydłony tym faktem, nagle czując w sobie moc Herkulesa, jeszcze raz solidnie walnął młotkiem. Kafelek oderwał się od fugi. Jacek podważył go hebelkiem i wreszcie osiągnął swój cel. Kafelek spadł do wody. Zgodnie z przewidywaniami Jacka dalej poszło już łatwiej. Trzy sąsiednie płytki odpadły właściwie same z siebie. Wystarczyło je jedynie podważyć i już leżały w wannie obok pierwszej. Jacek otarł pot z czoła i poczuł, że od kucania, zaczynają mu drętwieć nogi. Postanowił, że zanim zacznie rozwalać ścianę, na chwilę chociaż je rozprostuje. Zaczął wstawać i w tym momencie jego łydkę złapał skurcz. Chcąc ją rozmasować, pochylił się i lekko stracił równowagę. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie! Broniąc się przed upadkiem, Jacek złapał się półki. Niedokładnie wkręcone śrubki zachowały się dokładnie tak, jak to Kasia sobie wymyśliła. Półka przekrzywiła się i stojące na niej, włączone uprzednio i przez zapomnienie nie wyłączone radio spadło do wanny. 220 woltów przeleciało z prędkością błyskawicy przez wodę, brudne pranie i w mgnieniu oka dotarło do Jacka. Rażone prądem ciało chłopaka przez kilkanaście sekund drgało niczym świeże mięso wrzucone na rozpalony ruszt, po czym Jacek stracił przytomność i upadając, wyleciał z wanny. Po kolejnych kilku sekundach zadziałały bezpieczniki i łazienka pogrążyła się w ciemnościach...

ROZDZIAŁ VIII

– Poproszę wódkę, colę i może jeszcze... A, właściwie niech mi pani od razu przyniesie trzy wódki! – Patrick uśmiechnął się do stewardessy i tonem usprawiedliwienia, żeby nie wypaść w jej oczach na alkoholika, dodał – Źle znoszę loty. Zwłaszcza tak długie...

Stewardessa odwzajemniła jego uśmiech i ze stojącego przed sobą ruchomego baru wyciągnęła trzy miniaturowe buteleczki oraz puszkę coli. Patrick podał jej banknot z podobizną prezydenta Ulissesa Granta i ruchem ręki powstrzymał do wydawania reszty.

– Jestem pewny, że na tych trzech się nie skończy – wyjaśnił. – Więc to zapłata na przyszłość, kiedy już nie będę w stanie przypomnieć sobie, gdzie mam portfel...

– Przyhamuj trochę, skarbie – siedząca obok siostra Mary popatrzyła na niego z wyrzutem. – Po pierwsze, ojciec Bernard nas obserwuje. Mogłabym co prawda wytłumaczyć mu, że podróżujemy z pielgrzymką w intencji wyleczenia cię z alkoholizmu, ale wątpię, czy mu się to spodoba. A poza tym mieliśmy się nie zapisywać mu w pamięci. A po drugie sam wiesz, że mamy mało czasu i nie możemy po przylocie tracić pół doby na czekanie, aż wytrzeźwiejesz... Trzy małpki to full, na co ci pozwalam. A za resztę kasy zaraz sobie z siostrą Almą zamówimy coś do jedzenia. Lasagne wyglądała całkiem smakowicie...

„Wredna małpa”, pomyślał Patrick, ale posłusznie skinął potakująco głową, a chwilę potem z rezygnacją wysłuchał, jak siostra Mary zamawia na jego koszt dwa posiłki. Od chwili, kiedy wszedł do samolotu, usiadł w fotelu i zapiął pasy, Patrick stan swojego ducha mógłby określić tylko jednym słowem: apatia. Teraz przed oczami przemykał mu dalszy ciąg rozmowy z diabelskimi siostrzyczkami. Kiedy dowiedział się, kim naprawdę są i jak trafiły na plebanię jego wuja, przez moment kusiło go, żeby czym prędzej wykręcić numer 911. Zaczął już nawet sięgać po komórkę, ale stalowy błysk w oczach obu pań dał mu do zrozumienia, że ich reakcja raczej nie byłaby dla niego przyjemna. Potem próbował ratować przynajmniej siebie i jakoś wyłgać się z zaplanowanej przez nie akcji, która nie dość, że wydawała mu się niemożliwa do zrealizowania, to jeszcze nawet gdyby doszła do skutku, musiałaby – jego zdaniem – zakończyć się długoletnią odsiadką w więzieniu. Pal licho, jeśli w wyniku ekstradycji trafią do amerykańskiej ciupy. Tam przynajmniej można oglądać telewizję, chodzić na siłownię i czytać książki. I brać codziennie prysznic, choć może akurat o tym lepiej nie myśleć... A jeśli będą musieli spędzić kilkadziesiąt lat w polskich kazamatach? Licho wie, czy więźniów nie zmusza się tam do pracy w kamieniołomach czy czegoś równie nieprzyjemnego. Niby cywilizowany kraj, ale jak tam jest z zakładami karnymi, tego Patrick tak dokładnie nie wiedział. Mając przed oczami wizję, jak ubrany w łachmany i siepany co parę sekund po plecach batem, zajmuje się dźwiganiem przerażająco wielkich bloków kamiennych w scenerii kojarzącej się z filmem „Faraon”, stanowczo zaprotestował przeciw podróży do kraju swoich przodków.

– Myślę, że nie masz wyboru – powiedziała siostra Mary. – No chyba, że chcesz aby twój wujek dowiedział się, w jakim celu odwiedza jego kościół pewien miły, mały Latynos. O ile

się nie mylę o imieniu Gonzales. Ile to pieniędzy z tacy trafiło do jego kieszeni w ramach wymiany za to, co tam dla ciebie przyniósł, skarbie?

I to był właśnie ten moment, kiedy Patrick poddał się walkowerem. Cholerny Matt! Kolega ze studiów, przyjaciel... To on podpowiedział mu znakomity sposób na to, jak się łatwiej skoncentrować w czasie nauki przed sesją. Zapomniał mu tylko nadmienić, jak bardzo ów sposób jest uzależniający...

Teoretycznie Patrick wiedział, że mógłby iść do wuja, wyznać mu wszystko, a poza tym oświecić go, jakie to dwa pomioty szatańskie czuwają nad jego kościołem. W praktyce doskonale zdawał sobie sprawę, że się na to nie zdobędzie. Nigdy nie miał zbyt silnego charakteru, ani złudzeń, co do tego. Poza tym z dwojga złego już lepiej było zgodzić się na towarzyszenie tym dwóm kryminalistkom do Polski, a tam sabotowanie z całych sił wymyślonego przez nie planu, niż stać się zakałą swojej rodziny i wysłuchiwać bez końca od dalszych i bliższych krewnych litanii żali pod swoim adresem. Miał jeszcze nadzieję, że może problem rozwiąże się na samym początku i jego upiorne towarzyszki zostaną zatrzymane na lotnisku za posiadanie podrobionych paszportów, ale czekało go rozczarowanie. Mary i Alma przeszły przez wszystkie kontrole gładziutko, co doprowadziło Patricka do smutnej konstatacji, że wbrew propagandzie uprawianej przez rząd, Ameryka wcale nie jest najlepiej strzeżonym państwem świata. Choć z drugiej strony, może te wszystkie kontrole bardziej dotyczą przyjeżdżających, a nie wyjeżdżających? I siostrzyczki wpadną w czasie sprawdzania paszportów w Polsce? Patrick przez chwilę rozkoszował się sceną, w której jego towarzyszki zostają zakute w kajdany przez polskie służby celne w asyście ujadających psów, po czym niestety przypomniał sobie, jak wyglądała kontrola dokumentów za każdym razem, gdy lądował na Okęciu. Polacy to w końcu naród gościnnie, a już dla przybyszy zza oceanu zawsze mają wielkie serca. No to klops...

– A jak my się właściwie odłączymy od pielgrzymki? – zapytał dzióbiącą coś, co teoretycznie miało być lasagne, siostrę Mary. – Nie będzie to podejrzané?

– Wyjaśniłam ojcu Bernardowi, że z przyczyn osobistych najpierw chciałybyśmy odwiedzić katedrę w Warszawie, bo siostra Alma zobowiązała się tam złożyć w ofierze różaniec, księża zawsze łykają takie bajeczki – wyjaśniła siostra Mary. – Potem przenocujemy u sióstr Nazaretanek i z samego rana pospieszymy do Lichenia, żeby dołączyć do pielgrzymki.

– A te całe Nazaretanki przyjmują też facetów? – przestraszył się lekko Patrick. – Czy mam nocować na Dworcu Centralnym?

Siostra Mary popatrzyła na niego ze zdumieniem, a potem popukała się w czoło.

– Zwariowałeś? – powiedziała z politowaniem. – Już nie mam co robić, tylko łamać sobie kości na jakichś pryczach. Wystarczy już mi tej Sparty u twojego wujka. Sprzedawca zabukował dla nas Hiltona na swoje nazwisko. Dwa pokoje. Jeden dla mnie i Almy, drugi dla was...

– Mam spać z jakimś obcym mężczyzną?! – przeraził się Patrick. – I to kryminalistą! To już wolę ten dworzec...

– Ty to jednak masz problemy z myśleniem, prawda? – warknęła Mary. – Będiesz spał w tym pokoju sam, ale on musi wziąć to na swoje nazwisko, żeby żadnego z nas nie poproszono o dokumenty. Oba pokoje są na jego nazwisko. Wprowadzi nas, załatwi formalności i się zmyje. Spokojnie, nie będzie dybał na twoją cnotę. No chyba, że chcesz, to za małą dopłatą możemy ci załatwić jakąś rozrywkę...

Patrick spojrział na nią wzrokiem ranionego jelonka.

– Skąd wyście w ogóle wzięły tego sprzedawcę? – szybko zmienił temat.

– Z Internetu, mówiłyśmy ci – przypomniała Mary. – Siostra Alma jest specjalistką od wyszukiwania takich wariatów w sieci TOR. On ma znakomite rekomendacje na forach i aż pięć bomb na naszej ulubionej stronie dla seryjnych morderców...

– Naprawdę istnieją fora dla kryminalistów?! – zdumiał się Patrick.

– Oficjalnie nie, no co ty?! – powiedziała Mary. – Ale nieoficjalnie, oczywiście, że tak, pełno. Możesz więc być spokojny. Chłopak nie dość, że ma wszystko, czego chcemy, to jeszcze jest łebski i perfekcyjnie mówi po angielsku.

Patrick zaczął powątpiewać, czy będzie w stanie skutecznie przeszkodzić swoim towarzyszkom w ich krwiożerczych planach.

– Podaj mi jeszcze raz adres spadkobierców – mniej poprosiła, a bardziej rozkazała Mary. – Muszę to jeszcze raz wszystko poukładać sobie w głowie...

Patrick wyciągnął swoją komórkę, otworzył aplikację z notatkami i posłusznie pokazał jej adres Donków, przepisany z dokumentów, jakie znalazł w swojej kancelarii. Mary kliknęła adres do swojego iPada.

– Znakomicie... – powiedziała, patrząc na ekranik wyświetlający mapę Warszawy. – Wszędzie mamy blisko. Z lotniska dojedziemy do centrum, gdzie będzie już na nas czekał sprzedawca, zostawimy bagaże w hotelu, pojedziemy z nim do jego magazynu, to niecałe pięć kilometrów. Wybierzemy sobie odpowiednie cacuszka i możemy ruszać na łowy. Raczej nietrudno będzie znaleźć tych ludzi, mieszkają niecałe siedem kilometrów od centrum. A poza tym wczoraj przez pół dnia jedno ciągle kręciło się po centrum a drugie w okolicy domu. Lokalizacja w smartphonach to prawdziwy dar niebios!

Patrick nie podzielał jej religijnego zachwyty. Popił trochę wódki z drugiej już małpki, która zamiast go zamroczyć, na co w głębi ducha liczył, nieoczekiwanie nieco otrzeźwiła.

– I co? – spytał nieco bezradnie, mimowolnie podnosząc głos. – Załatwicie tych ludzi z zimną krwią? Bez chwili wahania?

Ktoś przed nimi poruszył się niespokojnie na fotelu. Mary zgromiła Patricka wzorkiem i położyła palec na ustach.

– Ciszej, z łaski swojej – powiedziała po kilku sekundach. – Chyba nie chcesz, żeby ktoś wziął nas tu za terrorystów? Wiesz, jacy ludzie są teraz nerwowi w samolotach. Jedno niepotrzebne słowo i zaraz będziemy mieli na karku tuzin tajniaków i podłożone pluskwy w każdym bagażu! A co do twojego pytania... Dla nas to po prostu kolejna robota, którą trzeba wykonać. Jeśli ci bardzo zależy, to możemy przez chwilę poudawać, że się wahamy... A potem do końca wyjazdu będziemy miały smutne miny i wyrzuty sumienia, specjalnie dla ciebie. Akurat pojedziemy do miejsca idealnie nadającego się na

pokutowanie. Swoją drogą, wy, katolicy, wiecznie za coś cierpicie i czegoś żałujecie. A jak nie macie ku temu podstawy, to się smucicie, że jesteście szczęśliwi. Przynajmniej raz będziesz miał jakiś prawdziwy, a nie wydumany powód, żeby się poumartwić...

– Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem żadnego przestępstwa – szepnął Patrick. – Czy naprawdę muszę być przy tym obecny?

Mary już zaczerpnęła powietrza, żeby mu odpowiedzieć, ale spojrzała na jego bezradną, zrozpaczoną minę i nagle przed oczami stanął jej młodszy brat. Też była z niego taka pocziwa fajtłapa.

– Nie, nie musisz – powiedziała trochę wbrew samej sobie. – Nie zabrałyśmy cię w końcu po to, żeby zrobić z ciebie mordercę, ale dla kamuflażu i... Jakby to powiedzieć? Jako wentyl bezpieczeństwa. Nie mówimy po polsku. Nie wiemy, jak się poruszać po mieście. Nie znamy kraju i jego zwyczajów, a nie chcemy wpaść nikomu w oko ani zapisać się w pamięci. Będziesz tylko naszym przewodnikiem i opiekunem. Nie musisz nam pomagać w niczym innym.

Patrick poczuł ulgę. Małą, bo małą, ale jednak... Otworzył trzecią małąkę i wychylił ją w całości jednym łykiem. Skrzywił się i czym prędzej popił colą. Poczuł, jak od tego wszystkiego, stresu, zmęczenia, przerażenia i wypitych procentów, zaczyna go boleć głowa. Mary popatrzyła na niego uważnie, westchnęła, po czym sięgnęła po swoją torebkę. Wyjęła z niej małą kosmetyczkę, a z niej fiolkę z czerwonymi pigułkami. Jedną z nich podała Patrickowi.

– Połknij – rozkazała. – Pomoże ci zasnąć...

– Jak w „Matriksie” – mruknął Patrick, po czym posłusznie połknął tabletkę. – Powinnaś jeszcze mieć niebieską i kazać mi dokonać wyboru. Co to było?

– To samo, po czym Alma od godziny lula jak aniołek – wyjaśniła Mary. Jakby dla potwierdzenia jej słów druga siostra, spokojnie dotąd śpiąca, wydała z siebie kilka cichych chrapnięć, na ułamek sekundy otworzyła oczy, przekręciła głowę z lewej na prawą stronę i znów odpłynęła w ramiona Morfeusza. – Nic szkodliwego, ale za to skuteczne...

Po kilku minutach także Patrick zapadł w sen. Mary popatrzyła na niego przez chwilę z rozrzewnieniem. Jej brat, gdziekolwiek się teraz znajdował, miał mniej więcej tyle samo lat. Mary miała tylko nadzieję, że przebywa w nieco lepszym towarzystwie. Westchnęła, po czym sięgnęła po fiolkę i wyjęła z niej kolejną czerwoną tabletkę. Chwilę jeszcze powspominała swoją rodzinę, której nie widziała już od kilkunastu lat, po czym połknęła tabletkę i kilka minut później poszła w ślady swoich towarzyszy...

ROZDZIAŁ IX

Kasia nie lubiła świadomości, że czeka ją coś nieprzyjemnego i z reguły robiła wszystko, aby jak najszybciej mieć taką uciążliwość z głowy. Jadąc teraz swoim jeepem, pomyślała z niechęcią o jutrzejszej drodze do warsztatu. Jak większość kobiet, Kasia jeździła poprawnie, trzymając się przepisów. Nienawidziła przy tym wszelkiej brawury i szarżowania, a z tym głównie kojarzyły jej się autostrady i drogi szybkiego ruchu. W dodatku miała do nich wyjątkowego pecha i zawsze trafiał jej się w pobliżu ktoś, kto koniecznie musiał odreagować na niej jakieś swoje kompleksy. A właściwie, zdaniem Kasi, głównie jeden – małego przyrodzenia. Kasia dawno już przestała liczyć, ile razy ktoś na nią trąbnął, ktoś pokazał jej środkowy palec przez szybę, rzucił „mięchem” albo próbował na niej wymusić, aby koniecznie przekroczyła dozwoloną prędkość. Wszystko to sprawiało, że już sam wjazd na drogę szybkiego ruchu kojarzył jej się z przekraczaniem bram piekła i do kompletu brakowało jej tylko strzegącego tego miejsca Cerbera. W dodatku w sobotę rano cała Warszawa ruszała na weekend za miasto, na drodze pojawiało się trylion razy więcej pojazdów, a kierujący nimi byli sto razy bardziej nerwowi i agresywni niż kiedy indziej. I to właśnie ten dzień mąż wyznaczył jej na wizytę w warsztacie, do którego jedyna droga wiodła przez owo piekło. Sadysta! Posłanie go na tamten świat to rodzaj samoobrony... Kasia przez chwilę pocieszała się myślą, że prośba o wizytę w warsztacie będzie jedną z ostatnich, jakie jej ślubny wypowiedział w życiu, po czym nagle uświadomiła sobie, że wcale nie musi jechać tam jutro. Skoro już wyszła z domu i siedzi za kółkiem, to równie dobrze może odwalić to dzisiaj. Piątek, pora przedpołudniowa, wszyscy siedzą w biurach, na drogach nie ma jeszcze tłoku. Idealnie! Oświecona tą myślą machnęła nawet ręką na księgarnię. Grzyby nie zające, nie pouciekają przecież z lasu. A nuż mąż nabije się jutro na przygotowany dla niego w piwnicy sztywny pal Azji i nie trzeba go będzie truć? Kasia, znajdując się tuż koło Arkadii, zamiast zmniejszyć prędkość i zjechać na parking, nacisnęła gaz i minęła centrum handlowe. Po kilku minutach wjechała na drogę ekspresową A-2 w kierunku Poznania. Samochodów faktycznie nie było zbyt wiele, ale – jakżeby inaczej! – tuż za wjazdem na ekspresówkę od razu trafił jej się jakiś maniak grzejący za nią z szybkością statku kosmicznego. Wypatrzywszy go w lusterku, Kasia, której jeep dopiero nabierał prędkości po wjeździe, odruchowo dodała gazu. Nic to nie dało, bo maniak najwyraźniej pomylił drogę na Bemowo z trasą wyścigu Formuły 1 i nadal zbliżał się do niej w tempie pozwalającym się spodziewać, że za chwilę stanie się integralną częścią jej bagażnika. Kasia stanowczo wolała tam mieć zapasowe koło, gaśnicę i apteczkę niż dodatkowe auto, w dodatku z jakimś niezrównoważonym psychicznie żywym inwentarzem w środku. Oderwała spojrzenie od lusterka i popatrzyła, co się dzieje na drodze przed nią. Tradycyjnie lewym pasem jechali inni maniacy, najwyraźniej rozgrywający między sobą zawody o tytuł następcy Michaela Schumachera, a po środkowym ciągnął się sznur samochodów, co prawda poruszających się z przepisową prędkością 70 km/h, ale za to

w tak bliskiej od siebie odległości, że nie zmieściłaby się między nimi nawet anorektyczka na hulajnodze, a co dopiero jeep. Zjechanie maniakowi z drogi nie wchodziło w rachubę. Za to przed Kasią cały pas był wolny. Trudno. Chcąc nie chcąc, a raczej zdecydowanie nie chcąc, Kasia cisnęła pedał gazu. Łagodny pomruk silnika dał znać, że jej samochód szaleńczo się z tego ucieszył. Rzuciła okiem na tablicę rozdzielczą i ku swojemu przerażeniu odkryła, że przekroczyła już 80 km/h. Do tej pory jako swoje największe osiągnięcie Kasia miała 120 km/h, wyciągnięte kiedyś na autostradzie tylko dlatego, że mężowi, który wcześniej u znajomych wypił dwa głębsze i z tego powodu sam nie mógł zasiać za kółkiem, spieszyło się do domu na mecz. Poganiał ją wtedy niczym nadzorca niewolnice na plantacji, pufał z irytacją za każdym razem, gdy usiłowała choć trochę dostosować swoją jazdę do tej, której uczy kodeks ruchu drogowego, robił cały zestaw gniewnych min i to wtedy po raz pierwszy w głowie Kasi zaświtał pomysł, czy aby nie powinna go zabić. Przed realizacją tego pomysłu powstrzymała się wtedy tylko dlatego, że jedynym wówczas sposobem, który przyszedł jej do głowy, było zatrzymanie rozpędzonego samochodu na drzewie, co pewnie zakończyłoby się źle też i dla niej... Kasia znów spojrzała w lusterko i ku swojej zgrozie zauważyła, że maniak nadal nie traci do niej dystansu. Ile ten idiota pruje?! Dwieście? Trzysta? Kasia przyspieszyła, kątem oka zauważając, że niebezpiecznie zbliża do swojej psychologicznej bariery w kierowaniu samochodem. Stówa! Na maniaka jednak nie było innego sposobu. Kasia znów dodała gazu i jednocześnie, chcąc zasygnalizować, że nie zamierza wiecznie pędzić jak do pożaru, chwilę potem nacisnęła hamulec. Ku jej zaskoczeniu nie przyniosło to żadnego efektu. Jeep dalej pędził z prędkością ponad 100 km/h. Mało tego! Po sekundzie Kasia poczuła, że z nawiewu leci na nią lodowaty podmuch, tak jakby zniecka znalazła się w samym środku huraganu na Alasce. W panice przycisnęła wyłącznik klimatyzacji, ale podmuch nie ustał. Pędząc niczym karetka do osoby z zawałem, otoczona arktycznym powietrzem, Kasia poczuła, że z wolna zaczyna siwieć. Z całą siłą przycisnęła pedał hamulca i w tym momencie nagle na cały regulator włączyło się radio. „W niebie dzisiaj wszyscy, wszyscy święci mają bal”, ryknął na nią z głośników Krzysztof Cugowski. „Bal to ja mam tutaj, kurwa!!!”, pomyślała Kasia, patrząc z przerażeniem, jak do kompletu szaleństwa zaczynają jej wirować przed oczami wycieraczki, których oczywiście wcale nie włączała. Co się dzieje?! I, co ważniejsze, co teraz zrobić?! Samochód, myślała w panice, niewątpliwie kiedyś tam się zatrzyma, na przykład, jak skończy mu się benzyna, tyle że do tego czasu z pewnością zatrzymają go inne pojazdy, które będzie usiłował staranować, ewentualnie drzewo albo jakaś inna niepożądana przeszkoda... W tym momencie Kasia zobaczyła, jak jeden z jadących z przodu na środkowym pasie samochodów sygnalizuje, że chciałby wjechać przed nią. Powinna rzecz jasna zwolnić i go wpuścić, ale nie miała jak. Auto zaczęło powoli wjeżdżać na jej pas. „Spierdzielaj, palancie!!!”, pomyślała Kasia w popłochu, patrząc jak jeep w ostatniej chwili mija ów samochód o kawałeczek, o milimetr, o włos! „Wszyscy święci balują w niebie, złoty sypie się kurz...”, poinformował ją lider Budki Suflera głosem mogącym rozwalić Mury Jerycha. „Nawet jeśli wyjdę z tego cała, to z pewnością głucha”, przemknęło przez myśl Kasi. Jak, kuźwa, zatrzymać ten

pierdzielony samochód?! Kasia, nie myśląc już nawet o tym, co robi, przyciskała z determinacją jeden przycisk za drugim. Chała, żaden z nich nie działał. Nie miała żadnej kontroli nad jeepem, piekielny samochód robił, co chciał. „Świat się tylko już ze mną kręci, gwiazdy płoną jak stal...”, zawodził dalej wokalista. A może wyskoczyć z auta?! Bez sensu, na drodze szybkiego ruchu? Pewna mogiła! Hamulec ręczny? Dobre sobie, przecież właśnie jedzie go naprawić! „Skasowałam mnie w swej pamięci, aż mi siebie jest żal...”, skarżył się Cugowski. Jedno z wyśpiwywanych przez niego słów zabrzmiało w uszach Kasi jak mała iskierka nadziei. „Skasowałam...”. Co kasuje wszystko w samochodzie? Oczywiście, wyjęcie kluczyka ze stacyjki! Tyle że nie można tego zrobić przecież na drodze wśród pędzących pojazdów. To znaczy można, tyle że Kasia nie chciała oglądać siebie w wieczornych „Faktach” i to jeszcze ze szpitalnego łóżka. Trzeba zjechać na pobocze... Kasia przez ułamek sekundy się zawahała. Z jakichś tam oderwanych wiadomości, które kołatały jej się po głowie jako wspomnienie kursu prawa jazdy, pamiętała, że wyłączenie stacyjki w pierwszej kolejności spowoduje blokadę kierownicy i hamulców. Żadna w sumie strata, hamulce i tak nie działają, a kierownica nie będzie jej chyba potrzebna. Tym bardziej, że silnik powinien przestać działać dość szybko. Pytanie tylko, czy jeep przy tej prędkości nie zatrzyma się na tyle gwałtownie, że grozić jej będzie dachowanie, koziółkowanie czy jakieś tam inne „-anie”? Czegoś takiego z pewnością lepiej uniknąć. „Raz kozie śmierć”, pomyślała Kasia i z rozpaczliwą determinacją zjechała na boczny, na cała szczęście kompletnie pusty aż po horyzont, pas. Przeżegnała się i już zaczynała sięgać ręką po kluczyk, kiedy nagle wycie Cugowskiego ucichło jak nożem uciął, wycieraczki zastygły w połowie ruchu, po czym wróciły na swoje miejsce, a nawiew przestał przypominać lodówkę. Nie wierząc własnemu szczęściu, Kasia przycisnęła hamulec. Cyfra na prędkościomierzu zaczęła się zmniejszać. Po kilkudziesięciu metrach jeep się zatrzymał. Kasia wyjęła kluczyk ze stacyjki i, nie mając siły na nic więcej, odetchnęła kilka razy głęboko i przyłożyła czoło na kierownicy, słysząc tylko przeraźliwe bicie własnego serca. Zdolność myślenia wróciła jej dopiero po kilku minutach. Co to właściwie było?! Popsuło się wszystko i to w jednej chwili... I to w samochodzie, który dopiero co przechodził przegląd. Jakim sposobem?! W pierwszym odruchu Kasia chciała czym prędzej zadzwonić do męża i wypłakać mu się w słuchawkę, jak zawsze to robiła w nerwowych chwilach, i już nawet sięgnęła po telefon, ale gdy wystukiwała jego numer, nagle zmieniła zdanie. Nie bez powodu... Była pewna, że mąż będzie tylko udawał, że słucha. Zawsze tak robił! Ilekroć zadzwoniła do niego, żeby mu opowiedzieć o jakimś swoim problemie, a następnie wieczorem usiłowała nawiązać do niego w rozmowie, tylekroć okazywało się, że ten skończony łajdak nie ma zielonego pojęcia, o co jej chodzi. Kasia podejrzewała, że teraz też przejąłby się może przez pierwszych dwadzieścia sekund, głównie o stan samochodu, zadał pytanie, czy niczego w nim nie uszkodziła, po czym jak zawsze przestałby jej słuchać. Powoli wykasowała trzy pierwsze cyfry jego telefonu, które już wstukała na swojej komórce, po czym w kontaktach wyszukała hasło „mechanik Mareczek” i kliknęła w napis „połącz”...

ROZDZIAŁ X

– To chyba wszystko, panowie – Darek Donek zamknął swojego laptopa. – Jak widzicie, nie mamy innego wyjścia...

Czwórka ubranych w czarne garnitury ponurych panów, sprawiających wrażenie grabarzy, którzy za chwilę będą nieśli trumnę, patrzyła na niego z ogromnym zaskoczeniem pomieszanym z lekkim przerażeniem.

– Naprawdę nie mam nic więcej do powiedzenia – powiedział Darek, tonem głosu dając im do zrozumienia, że powinni przestać go męczyć i czym prędzej zostawić samemu. – Niedawne wydarzenia na giełdzie pogrzebały naszą ostatnią szansę. Widzieliście wykresy. Totalna zapaść. W tej sytuacji nie mogę zrobić nic innego.

– A co z ludźmi? – zapytał jeden z ponurych panów.

– Oczywiście, dostaną bieżące wypłaty, a ci, którzy mają to w umowach, też i odprawy – powiedział Darek. – Niestety, to do was będzie należał obowiązek poinformowania ich o tym, co się stało. Chciałbym, abyście to zrobili osobiście w każdym z naszych oddziałów...

Panowie spojrzeli na niego zbaraniałym wzrokiem.

– Ale właściwie dlaczego my to musimy zrobić? – spytał buntowniczym tonem kolejny.

– Bo po tym, jak jeszcze dziś wyślę wszystkim przelewy, niestety będę zmuszony w ciągu najbliższych dni wyjechać na nieco dłużej z kraju – wyjaśnił Darek, po czym widząc jak zaskoczenie jego rozmówców z wolna zaczyna zamieniać się we wściekłość, szybko dodał: Jadę, żeby znaleźć nam jakiegoś partnera strategicznego. Doskonale wiecie, że umowa między naszą piątką obowiązuje nadal. W tej kwestii nic się nie zmieniło. I żebyście mieli co do tego pewność, wypłacę wam z góry pensje za dwa najbliższe miesiące. Jeszcze dzisiaj.

Na twarzach ponurych panów pojawił się cień ulgi.

– A teraz już naprawdę chciałbym zostać sam – powiedział Darek. – Przede mną sporo papierkowej roboty i za pół godziny mam spotkanie z naszą księgową. Chciałbym się do niego dobrze przygotować...

Wstał i uściśnął każdemu z ponurych panów rękę na pożegnanie. Kiedy wyszli, nie usiadł z powrotem za biurkiem, tylko podszedł do okna i popatrzył na ulicę. Odetchnął, gdy zobaczył, jak jego rozmówcy wychodzą z budynku i wsiadają do swoich samochodów. Poszło łatwiej niż się spodziewał... Darek podszedł do szafki, stojącej w rogu jego gabinetu i wyciągnął z niej dwa kieliszki i butelkę Moëta. Usiadł za biurkiem i przycisnął jeden z guziczków na stojącym tam telefonie. Nie minęło kilka sekund, a w drzwiach stanęła jego sekretarka. Diana Wasilak była ucieleśnieniem sennych marzeń erotycznych wszystkich heteroseksualnych facetów i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Odkąd tylko pierwszy chłopak pociągnął ją w czasie szkolnej przerwy za warkocz, wiedziała, że zwraca uwagę płci przeciwnej. Z czasem perfekcyjnie nauczyła się to wykorzystywać. W liceum miała dwóje na szynach ze wszystkich przedmiotów, których nauczały panie

profesor, oraz oceny celujące z tych, które wykładali panowie profesorowie. Na studiach, gdzie szczęściem trafiła jej się wyłącznie kadra płci męskiej, udało jej się zaliczyć wszystkie egzaminy przed terminem oraz połowę egzaminujących w tajemnicy przed ich żonami. Nie miała oczywiście też problemu ze znalezieniem pracy, a następnie błyskawicznym zaciśnięciem więzów przyjaźni z pracodawcą.

– Łyknęli to? – zapytała teraz, podchodząc wolno do biurka swojego szefa. – Mogę zacząć się szykować?

– Owszem... – powiedział Darek, z przykrością konstatując, że Diana nie działa już na niego tak, jak jeszcze kilka miesięcy temu. Mimo że ubrana była w obcisłą sukienkę, która idealnie podkreślała jej posągową figurę i uwydatniała obfite, kształtne piersi, nie podniecała go tak bardzo, jak na początku, gdy się poznali i uprawiali seks wszędzie. Łącznie z wysłużoną służbową windą, która tylko cudem nie urwała się i nie spadła w czasie ich karesów, ale za to była po nich w takim szoku, że przez kilka kolejnych dni stawała na dowolnych piętrach poza tymi, które akurat ktoś wybrał. Albo na parkingu, co o mały włos zakończyłoby się dla nich tragicznie, bo w kulminacyjnym momencie ich igraszek, uprawianych na masce dariuszowego samochodu, w rzeczonym włączył się nagle alarm antywłamaniowy. Pomijając ich szok, zupełnie niestosowny do intymnej sytuacji, w jakiej się znajdowali, przeraźliwe wycie ściągnęło im też na kark starego i lekko niedowidzącego ochroniarza, który, przekonany, że ktoś chce ukraść jeden ze znajdujących się pod jego pieczęią samochodów, zaczął ganiać niekompletnie ubranego Donka po parkingu z paralizatorem w dłoni.

– Kiedy ta suka umrze? – zapytała Diana cicho, podchodząc do Darka, siadając przed nim na biurku i kładąc mu rękę na kolanie. – Dzisiaj czy jutro?

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to jutro – odpowiedział Darek, czując jak ręka sekretarki przesuwają się po jego udzie. – Jeszcze przed południem, hm... hm...

Ręka sekretarki dotarła do rozporka jego jeansów.

– Powiedz mi jeszcze raz – poprosiła Diana, schodząc z biurka i klękając przed jego fotelem. Jej głos z wolna przeszedł w szept. – Ile tego wszystkiego jest...?

– Kilkanaście, a może kilkadziesiąt milionów dolarów... – powiedział Darek, podziwiając, z jaką wprawą i w jak podniecający sposób Diana rozpina mu guziki od rozporka. – Nikt tego dokładnie nie wie. Plus dwie posiadłości, ouuuuuuh, kilkadziesiąt antyków, ahhhhhhhhh, dwa bentleye i... mmmm... willa na Lazurowym Wybrze...

Odchylił głowę w tył, czując jak cały świat zaczyna z nim wirować. Może i Diana nie umiała zmieniać tonera w drukarce, myliła numery i zamiast z ZUSem łączyła go z urzędem skarbowym, oraz za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć, że pod żadnym pozorem nie należy wpuszczać do jego gabinetu Tygrysa Złocistego, ale za to miała sporo innych talentów. A niektóre z nich były nie do przecenienia...

ROZDZIAŁ XI

– Naprawdę wszystko naraz przestało działać? – Mareczek zrobił duże oczy. – To po prostu niemożliwe! Te samochody cieszą się opinią niezawodnych. To znaczy, samochody jak samochody, bardziej ich elektronika...

Kasia zdążyła już odreagować niedawne przeżycia na tyle, żeby móc o nich rozmawiać bez szcękania zębami ze zgrozy.

– Wszystko – potwierdziła. – Hamulce, wycieraczki, radio, nawiew. Nic nie ruszałam, a wszystko się włączyło. To znaczy poza hamulcami, bo te się z kolei wyłączyły, to znaczy zablokowały...

– Wygląda na to, że poszedł centralny elektroniczny system zarządzania – brzmiał werdykt Mareczka. – Teoretycznie to możliwe, w praktyce pierwszy raz o czymś takim słyszę. Czasem coś tam szwankuje, na przykład sterowniki się nie ładują, ale żeby tak szlag trafił wszystko... Niewiarygodne.

Siedząc na fotelu pasażera, Kasia czuła się o wiele lepiej.

– Wydaje mi się, że to miało coś wspólnego z prędkością – podsunęła. – Bo póki jechałam z normalną, wszystko działało jak należy i dopiero, jak przekroczyłam stowę, i to znacznie, zaczęło się psuć. Jak nic to kara za łamanie przepisów...

– Tak, to w sumie jest możliwe... Ale naprawdę jechała pani z taką prędkością?! – Mareczek znał swoją klientkę od dawna i na tyle, aby jej wypowiedź wydała mu się o wiele bardziej szokująca niż jakakolwiek, nawet najbardziej oryginalna usterka samochodu. – Jak to możliwe?

– Popędzał mnie jakiś debil z tyłu... – przyznała niechętnie Kasia. – Miałam do wyboru dodać gazu albo poznać go, gdy będziemy razem czekali na policję po tym, jak wjedzie mi w, za przeproszeniem, tył... Jakoś nie chciało mi się dzisiaj zawierać nowych znajomości.

Mareczek uśmiechnął się, po czym wrzucił kierunkowskaz i wjechał na pas, prowadzący do zjazdu i jego warsztatu. Przez chwilę milczeli, co obojgu pozwoliło zebrać myśli. W efekcie zaczęli zadawać pytanie w tym samym momencie.

– Czy myśli pan, że...?

– Czy jest pani pewna...?

Przez kolejnych kilka sekund namawiali się wzajemnie jak chłop z babą na targu na dokończenie pytania. Wreszcie jako pierwszy poddał się Mareczek. W końcu Kasia była jego klientką i choćby z tego powodu powinien jej ustąpić.

– Czy jest pani pewna, że nikt ostatnio nie majstrował przy tym samochodzie? – dokończył rozpoczętą kwestię. – Może jakiś majster złota rączka? Uczynny sąsiad?

Kasia pokręciła przecząco głową.

– Mąż nie pozwoliłby się nikomu do niego dotknąć, kocha swoje auta bardziej ode mnie – powiedziała stanowczo, acz i z lekkim żalem. – Sam też w nim nie gmyra, bo się na tym nie zna. Jak jest jakiś problem, to zawsze jeździmy do pana. A co?

– Bo tak mi przyszło do głowy, że ktoś mógł coś uszkodzić przez przypadek – powiedział

Mareczek. – Teraz pełno takich domorosłych specjalistów od napraw. Grzebie taki w czymś, na czym się nie zna, a potem nieszczęście gotowe. Ale skoro mówi pani, że nikt samochodu nie dotykał, to raczej ta wersja odpada...

Kasia poczuła jak nagle w jej głowie zaczyna kiełkować pewne podejrzenie...

– A czy ktoś mógłby zepsuć ten system naumyślnie? – zapytała ostrożnie.

Mareczek przez chwilę się zastanawiał.

– Na upartego tak – odpowiedział w końcu. – Tyle że musiałyby się znakomicie znać na elektronice. W stopniu, w jakim znają się ci, którzy pracują przy tego typu systemach. Ewentualnie być hakerem...

Kasia poczuła jak po plecach przechodzi jej dreszcz.

– Czyli dla hakera nie byłoby to nic trudnego? – zapytała, starając się zamaskować przerażenie.

– No nie, tego nie mówię – delikatnie wycofał się Mareczek. – Musiałyby się na tym znać. Z hakerami to trochę jak z lekarzami, każdy ma swoją specjalizację. Ale ktoś, kto pasjonuje się samochodami i elektroniką, teoretycznie mógłby taki system rozgryźć. Tyle że komu by się chciało? Chyba tylko jakiemuś szaleńcowi...

Mareczek roześmiał się głośno. Kasia spróbowała mu zawtórować, ale jej zdaniem to, co z siebie wydała, przypominało raczej odgłos godowy żaby zielonej. Nic dziwnego, bo w głębi duszy miała ochotę rwać włosy z głowy i zawodzić wniebogłosy. Doskonale wiedziała, kto ma wśród swoich znajomych hakera pasjonującego się samochodami i okazję do tego, żeby majstrować przy jeepie. Znała też doskonale powód, dla którego miałyby to robić. Tyle że nie chciało jej się w to wierzyć!

Mareczek zaparkował przed warsztatem, wyciągnął komórkę i zamówił Kasi taksówkę, na zakończenie spotkania obiecując, że auto będzie gotowe na popołudnie następnego dnia.

– Taka jakaś pani zamyślona... – powiedział kilka minut potem taksówkarz, zerkając na swoją pasażerkę z lubieżnym uśmiechem, zresztą jak na każdą ładną kobietę, którą miał przyjemność przewozić. – Jakiś kłopot? Może mógłbym w czymś pomóc?

Pytanie wypowiedziane zostało dość dwuznacznym tonem. Taksówkarz w swoim mniemaniu był jednym z najseksowniejszych mężczyzn na planecie, plasował się w ścisłej ich czołówce, gdzieś tak tuż za Davidem Beckhamem i George'm Clooneyem, i nigdy nie przegapił okazji, żeby desperacko nie próbować poderwać przewożonych przez siebie kobiet. O tym, jak prezentował się w ich oczach, najlepiej świadczyła wypowiedź jednej z pasażerek, która po wyjściu z jego auta z rozbawieniem powiedziała swojej przyjaciółce: „Podrywał mnie nachalnie w taksówce ktoś, kto wyglądał jak krasnolud z „Władcy Pierścieni”! Do kompletu brakowało mu tylko toporka...” Kasia popatrzyła na niego lekko przytomnie, a desperacko-erotyczny podtekst jego wypowiedzi w ogóle do niej nie dotarł. Przez ostatnich kilka minut rozmyślała jedynie o tym, czy nie lepiej byłoby nie wracać do domu, tylko zaszyć się na najbliższy miesiąc w jakieś leśnej głuszy. Zastopowała ją jedynie wątpliwość, czy oby jest jeszcze jakaś puszcza, której rząd nie zdecydowałby się wyciąć w najbliższym czasie. Gazety coś ostatnio pisały, że teraz będzie się cięło wszystko

na potęgę, aż wreszcie po lasach zostaną tylko pniaki, a Kasia nie chciała, żeby owa wycinka miała miejsce akurat wtedy, kiedy ona, biorąc przykład ze średniowiecznych mnichów, którzy mieszkali w drzewach, będzie sobie smacznie i beztrąsko chrapała w środku jakiegoś dębu.

– Nie, nie... – odpowiedziała i z rozpędu dodała – Myślę o swoim mężu...

– A co? Niewierny? – powiedział taksówkarz z nadzieją, wyobrażając sobie w zachwycie, jak w ramach odplacenia pięknym za nadobne seksowna pasażerka ląduje w jego ramionach. – Czy może kłopoty z alkoholem?

Kasia zastanowiła się, czy powinna zwierzać się jakiemuś obcemu chłopu, ale pomyślała, że z dwojga złego woli się zająć rozmową niż tworzyć w swojej głowie kolejne tragiczne obrazy.

– Chyba nie... – powiedziała z westchnieniem ku ogromnemu rozczarowaniu swojego rozmówcy. – Po prostu zastanawiam się, jak dobrze go znam...

– Małżeństwo to trudna sprawa – powiedział tonem znawcy taksówkarz, choć sam nigdy nie był w związku, który przetrwałby dłużej niż miesiąc. – Wieczne kompromisy. Ja tam wolę być wolnym strzelcem. Wożę wielu małżonków, wysłuchuję niezliczonych historii. Jeden pan mi się nawet kiedyś popłakał, że ma żonę...

Kasia na chwilę oderwała się od swoich myśli.

– Jak to popłakał? – zapytała ze zdziwieniem.

– No tak – odpowiedział taksówkarz, szalenie zadowolony, że atrakcyjna blondynka wreszcie zwróciła na niego uwagę. – Taki starszy gość. Zamówił mnie pod kasyno. Wsiadł z jakimiś młodymi dziewczynami, najpierw je rozwieźliśmy po domach, każdej na odchodne dał zwitek banknotów i podziękował, że przyniosła mu szczęście. A potem mieliśmy jechać do niego, ale w międzyczasie zapomniał, gdzie mieszka. To znaczy tak ogólnie wiedział w jakiej okolicy, ale nie umiał sobie przypomnieć ani nazwy, ani numeru ulicy. Podjechaliśmy na jego osiedle i zaczęliśmy krążyć, żeby mu się przypomniało. I w pewnym momencie ktoś do nas podbiegł i powiedział, że dobrze, że go wypatrzył przez szybę, bo tu żona lata od kilkadziesiąt minut z psem i go szuka. A on na to: „Jak to? To ja mam żonę?!” i w bek.

Kasia, która kilka minut wcześniej też gotowa była się popłakać, że ma męża, w pełni solidaryzowała się w duchu ze starszym panem. Faktycznie, po co człowiekowi te wszystkie drugie połówki jabłka i bratnie dusze, które potem okazują się lekko nadgniłe i bratnie dla wszystkich, tylko nie dla nas? Same tylko z nimi zgryzoty.

– Wiozłem też takie małżeństwo – kontynuował taksówkarz, najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać przed niedyskretnymi wspomnieniami. – Wsiadli i tak tiutali, że aż obrzydzenie brało. „Misiaczkę”, „koteczku”, „pieseczku”, „malinko”, „truskaweczko”, przelecieli mi tu tak bez mała całe zoo i połowę warzywniaka tymi zdrobnieniami, a jak tylko on zatrzaskał za sobą drzwi, to ona kazała się wieźć w drugi koniec miasta. Po drodze poprawiła sobie makijaż, rozpięła guziki od bluzki... Podjechaliśmy pod jakąś chałupę na Wilanowie, zapłaciła i zniknęła. Trochę tamostałem, bo sprawdzałem, jakie wziąć kolejne zlecenie, patrzę, a ona wybiega z tej chałupy, a za nią jakaś druga kobieta

z wałkiem w rękę. Ta pierwsza dopadła do taksówki, wsiadła i krzyczy: „Jedź, pan, bo mnie ta stara pinda zabije!” A druga leci z tym tłuczkiem i wyje: „Ja ci dam szmato seks z moim mężem. Zabiję cię, ty suko!!!” Więc ja – noga na gaz i startuję! Ale i tak zdążyła mi tym tłuczkiem wgnieść lekko bagażnik. Odjechaliśmy stamtąd, ta pierwsza się uspokoiła i mówi do mnie: „Co za pomyłka, da pan wiarę? Umówiłam się dzisiaj z tym, który mieszka na Bielanych, a nie tym z Wilanowa i wszystko mi się pomyliło! Ale śmiesznie...” I kazała się w te pędy wieźć na te Bielany! Wyobraża sobie pani coś takiego?

Oszołomiona Kasia pokręciła przecząco głową, żałując trochę w duchu, że nie ma kochanka. Niewątpliwie we dwoje szybciej poradziliby sobie z wysłaniem męża do aniołków. Może w sumie mogłaby się za jakimś rozejrzeć? Choć z drugiej strony, po co jej kolejny facet, skoro już z jednym ma tyle kłopotu...? Jej potencjalny, przynajmniej w jego wyobraźni, kochanek dalej snuł opowieści o niewiernych małżonkach, których a to dowoził na miejsce sekretnych schadzek, a to z niego odwoził, ale Kasia już go nie słuchała, próbując uporządkować chaos kołaczący jej się w głowie. Mąż namawiał ją, żeby odstawiła wóz do warsztatu, doskonale wiedząc, że będzie musiała w tym celu jechać z dużą prędkością. Według tego, co mówił Mareczek, jeepa dałoby się zaprogramować tak, aby przy rozwinięciu dużej prędkości, jego elektronika przestała działać, tylko musiałby to zrobić ktoś, kto się na tym zna. A najlepszym kumplem jej męża był jeden z najbardziej zdolnych polskich hakerów. Jego profesja oczywiście owiana była tajemnicą i oficjalnie zawsze przedstawiał się jako informatyk, a prawda wyszła na jaw przypadkowo, gdy kiedyś Darkowi zniknęła z firmowego konta spora suma pieniędzy. Policja bezradnie rozłożyła ręce, twierdząc, że wydobycie wszystkich pozwoleń na ujawnienie IP złodziei potrwa tryliardy lat, a i tak na koniec okaże się, że zamiast do prawdziwych sprawców dotrą na przykład do niewinnej staruszki z Pułtuska, która na komputerku odwiedza tylko stronę swojej parafii. „Zawsze tak jest”, powiedział Donkowi prowadzący sprawę pucołowaty młodzieniec z tytułem aspiranta. „Ostatnio też ganialiśmy jakichś cyberzłodziei i o szóstej rano weszliśmy do mieszkania, żeby złapać ich na gorącym uczynku i zabezpieczyć sprzęt, po czym okazało się, że w domu jest tylko jakaś nerwowa starsza pani i jej wnuczka, do której należał ten komputer. Babcia zaczęła na nas krzyczeć, że przeżyła wojnę i nawet gestapo nigdy jej tak nie potraktowało. „Od razu na miejscu mnie rozstrzelajcie, hitlerowcy!”, wrzeszczała w niebogłosey, a dziecko dostało ataku hysterii i wydawało z siebie ryki jak syrena strażacka. Zlecieli się sąsiedzi i w sumie zrobiła się taka chryja, że o mało co nas tam nie zlinczowali. Szkoda gadać... Zabraliśmy komputer, ale nasi spece z nielegalnych rzeczy znaleźli tam tylko dwie spiratowane kreskówki o Barbie. Komendant potem osobiście wybierał róże do bukietu, który wysłaliśmy z przeprosinami. A mimo to prasa opisała nas potem w tak miły sposób, że nawet islamscy dżihadyści na naszym tle wypadli jak wolontariusze Czerwonego Krzyża. Więc sam pan rozumie...” Wyszędłszy z komendy, Darek zadzwonił wtedy wyżalić się na bezradność organów swojemu kumplowi, a ten poprosił go o kilka informacji, po czym w ciągu kilkudziesięciu minut bez specjalnego trudu ustalił, kto i kiedy włamał mu się na konto. Na szczęście okazało się, że atak nie miał miejsca z Kajmanów, Syrii czy dalekiego

Zakaukazia, tylko z Wrocławia. Ucieszony Donek pognął z danymi złodziei na policję, która – co trzeba jej uczciwie oddać – wtedy stanęła już na wysokości zadania i internetowych przestępców wsadziła za kratki. Zaciekawiała się co prawda przelotnie, jakim cudem udało mu się tak szybko zdobyć, jakby nie patrzeć tajne przecież dane, ale zadowolowała się oświadczeniem, że udało je się ustalić zatrudnionym przez Donka w jego firmie informatykom.

Kasia zamknęła na moment oczy, żeby wreszcie w całości sprecyzować tę straszną myśl: nie tylko ona chce zabić swojego męża, ale on ją także. Nazwanie rzeczy po imieniu na chwilę ją otrzeźwiło. Nie, to niemożliwe! Może i jej ślubny jest starym trutniem, może już jej nie kocha, ba – może nawet ją zdradza, ale przecież nie jest mordercą! Do tego trzeba mieć odpowiedni charakter, jakiegokolwiek predyspozycje... Nie, zaraz, jakie znów predyspozycje...? Przecież ona też do tej pory nie odczuwała potrzeby walki o tytuł współczesnej Lukrecji Borgii, a teraz pozostawiała jakieś pułapki i rozmyśla o tym, jak ukatrupić człowieka, u boku którego spędziła ostatnich kilka lat. No tak, jak głosi powiedzenie – okazja czyni złodzieja. Ale czy czyni też mordercę? Bez sensu to wszystko... Kasia nagle poczuła, że ma wyrzuty sumienia. Trzeba pojechać do domu, polikwidować te wszystkie beznadziejne pułapki, które i tak pewnie nie zdadzą egzaminu, a potem po prostu porozmawiać z mężem o tym, czy nie pora wreszcie powiedzieć sobie „żegnaj” i rozejść się w różne strony świata. Ta ostatnia myśl sprawiła, że ku swojemu ogromnemu zdziwieniu Kasia poczuła lekkie ukłucie w sercu i zrobiło jej się przykro... Czyżby jeszcze tliła się w niej iskierka uczucia do męża? Jak to możliwe?! Nagle wbrew własnej woli Kasia przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, dreszcz emocji, że oto być może poznała tego jedyne, podniecenie, kiedy umawiali się na randki i wreszcie moment, kiedy postanowili, że ich niezobowiązujące spotkania zamienią się w związek, a potem wyjazd do Paryża, kiedy prawie już o północy pod wieżą Eiffela jej mąż wyciągnął z kieszeni marynarki pierścione i zapytał, czy chciałaby mu towarzyszyć we wszystkich podróżach codziennie, aż do końca świata. „Jakie to było piękne...”, pomyślała Kasia, starając się, niestety bezskutecznie, usunąć sobie sprzed oczu wizję swojej przyjaciółki Marioli, która słuchając kilka dni później o tym wydarzeniu, prychnęła: „No faktycznie, romantyzm, że się usrać można!”. Co się potem wydarzyło...? Dlaczego gdzieś po drodze wyparowała cała ich więź, uczucia, a na koniec nawet wzajemne zrozumienie? Dlaczego jedno z nich zamieniło się w rozkapryszzonego pana i władcę, a drugie... No tak, Kasia musiała sprawiedliwie przyznać, że też nie była aniołem. To ona postanowiła karać go brakiem seksu zawsze wtedy, gdy postąpił niezgodnie z jej wolą. To ona za każdym razem, gdy była na niego wściekła, z rozkoszą rujnowała na przykład ich wspólne plany wakacyjne, w ostatniej chwili wymyślając sobie dziwaczne dolegliwości, które uniemożliwiały jej wyjazd. To ona niby przez przypadek zalewała mężowi służbowy komputer coca-colą, przy okazji porządków wyrzucała mu co ważniejsze dokumenty na śmietnik, wgrywała gejowskie fotki pornograficzne w prezentacje dla klientów, a kiedyś nawet specjalnie zostawiła otwarty pojemnik z klejem tak, aby przy otwarciu szuflady wylał się na jego, pieczołowicie od lat zbierane, roczniki „Piłki nożnej”. W swoim przekonaniu odpłacała mu

pięknym za nadobne, pytanie tylko, czy w pewnym momencie nie zrobiło się tego pięknego zbyt dużo...

– Trzydzieści sześć złotych – głos taksówkarza oderwał ją od rozmyślań. Kasia sięgnęła po torebkę i wyjęła portmonetkę.

– Chce pani moją wizytówkę? – zapytał z nadzieją taksówkarz, biorąc od Kasi dwa dwudziestozłotowe banknoty. – Tak na wszelki wypadek. Gdyby była pani w... naglej potrzebie?

Znów przybrał teoretycznie uwodzicielski ton, na co Kasia ponownie nie zwróciła najmniejszej uwagi. Machnęła tylko ręką, dając taksówkarzowi znać, że nie chce odliczanej przez niego reszty, z roztargnieniem wzięła wciskaną jej nachalnie do ręki wizytówkę, wrzuciła ją do torebki i wyszła z auta, kierując się w stronę swojego bloku, odprowadzana lubieżnym wzrokiem niedawnego kierowcy.

Otwierając drzwi wejściowe, podjęła ostateczną decyzję. Tak! Wyjaśni wszystko z mężem. Wóz albo przewóz. Jak tylko ten pojawi się wieczorem w domu, wreszcie odbędą rozmowę, którą powinni przeprowadzić już dawno temu i niech się coś w końcu rozstrzygnie. Nie ma mowy, żeby spędziła choć jedną noc pod dachem z człowiekiem, którego podejrzewa o to, że chce ją zamordować! Kasia przeszła przez korytarz i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu klucza, który jak zwykle postanowił gdzieś jej się schować, doszła pod swoje drzwi. Ponieważ nic nie znalazła, oparła torebkę o klamkę, żeby poszukać nieco głębiej. Torebka lekko się zsunęła i nacisnęła klamkę. Ku zdumieniu Kasi drzwi się otworzyły. Czyżby mąż wcześniej wrócił do domu? Zaskoczona nieco po cichu przekroczyła próg swojego mieszkania, zniechęta czując się tak, jakby się do niego włamywała i miała zaraz zostać przyłapana na gorącym uczynku.

– Darek? – powiedziała niepewnie. – Jesteś już?

Niedoczekawszy się żadnej odpowiedzi, Kasia poczuła jak jej zaskoczenie zaczyna się zamieniać w niepokój. Oczywiście, mąż mógłby być na piętrze, gdzie by jej nie usłyszał, dziwne jednak było to, że nie zamknął za sobą drzwi na zamek. Zawsze miał na tym punkcie fioła i nawet, gdy Kasia wychodziła na kilkanaście sekund, na przykład wyrzucić śmieci, maniacko natychmiast barykadował się w domu tak, jakby na ów moment miało czekać czterdziestu rozbójników, w dodatku dybiących na jego cnotę.

Kasia zrobiła kilka kroków.

– Darek?!!! – tym razem zawołała – Odezwij się!!!

Znów odpowiedziała jej tylko cisza. Kasia na wszelki wypadek rozejrzała się za jakąś bronią. Z rzeczy przydatnych do obrony, wypatrzyła jedynie ogromny parasol, zostawiony kiedyś przez jednego ze znajomych. W chwili rozłożenia zdolny zmieścić pod sobą dywizję wojska, wyposażony był z jednej strony w szpikulec, nadający się do nadziania bawoła, a z drugiej w ogromną zdobną metalową rączkę, idealną do trzaśnięcia kogoś w łeb, i żeby było zabawniej w ogóle nie spełniał swojej pierwotnej roli. Kasia próbowała go kiedyś użyć, ale po tym, jak po kilku minutach od jego ciężaru zdrętwiała jej ręka, a podmuch wiatru zamienił parasol w coś w rodzaju paralotni, na której tylko cudem nie odfrunęła w siną dal, dała sobie spokój. Teraz wreszcie ów upiorny przedmiot mógł się na coś

przydać. Kasia wyjęła parasol ze stojaka, zastanawiając się, która strona jest lepsza do obrony. Doszła do wniosku, że z dwojga złego lepiej ewentualnego bandziora ogłuszyć rączką niż przebić, i zaopatrzona w taką oryginalną broń, nieco odważniej weszła do salonu. Tu też nie było żywego ducha. Kasia odetchnęła i przez chwilę rozważała, jaki bandzior właściwie miałby się na nią czaić w czeluściach jej własnego domostwa. Jak to jaki? Zapewne wynajęty przez jej męża! W obliczu podejrzeń, jakie nieco wcześniej zakiełkowały w jej głowie, wydało jej się to całkiem naturalne. W końcu sama też chciała napuścić na niego jakiegoś krwawego bułgarskiego Wasyla...

Ostrożnie zajrzała do łazienki, a potem do kuchni. Na parterze nie było nikogo. Jej wyostrzony do granic możliwości słuch nie odnotował też żadnego odgłosu na górze, choć w tym momencie Kasia usłyszałaby chyba nawet komara stąpającego po wełnianym dywaniku. Mimo to, z niemożliwym do opanowania drżeniem serca, przycisnęła kontakt, włączając oświetlenie schodów. Nic to nie dało. Kasia przycisnęła go raz jeszcze, nadal bez żadnego efektu. Czując, jak serce właśnie jej się przemieszcza i zaczyna bić gdzieś tuż pod gardłem, zaczęła wchodzić po schodach. Powoli, kurczowo ściskając w rękach parasol, pokonała ostatni stopień i wyjrzała na korytarz.. Jeden rzut oka wystarczył, aby zobaczyła otwartą łazienkę, a w niej doskonale widocznego nawet w panującym tam półmroku, leżącego na podłodze faceta. Kasia poczuła, jak na moment zatrzymują się w niej wszystkie życiowe funkcje. Oszołomiona straciła władzę nad swoimi kończynami, co sprawiło, że parasol wyleciał jej z ręki. Ukłucie szpikulca sprawiło, że jęknęła z bólu, ale i przywróciło ją do stanu normalnego. Rozmasowała sobie miejsce, w które dziobnął ją upiorny rup, i, lekko utykając, przeszła do łazienki. Spróbowała włączyć tam światło, ale podobnie jak na schodach, przyciśnięcie kontaktu nic nie dało. Wiedziona dziwnym, nieprzyjemnym przecuciem, Kasia wyciągnęła z kieszeni komórkę i uruchomiła w niej latarkę. Jasny snop światła szybko pozwolił jej się zorientować w sytuacji. Rozwalony kawał ściany, przekrzywiona półka i radio w wannie mówiły samo za siebie. Kasia poczuła, jak uginają się pod nią nogi. A więc stało się! Została morderczynią! Teraz będzie już do końca życia uciekała przed wymiarem sprawiedliwości, ścigana przez tajniaków, kryjąc się po tanich hotelikach, odżywiając się głównie w fast foodach i w związku z tym straszliwie tyjąc, zmieniając co dwa tygodnie kolor włosów, a na koniec rozpędzając swój samochód w celach samobójczych prosto w przepaść... A nie, zaraz, to „Thelma i Louise”. Ją po prostu aresztują i przez dwadzieścia najbliższych lat każą lazić po trawniczku za murem na Grochowie. O, niedoczekanie...! Kasia oświetliła leżącego przed nią faceta. Ułamek sekundy starczył, aby zidentyfikowała go jako tego samego, który stał przed jej blokiem, kiedy rano odjeżdżała. Jego zmierzwiona czarna czupryna była niepowtarzalna! Chłopak zdawał się nie oddychać. Kasia z determinacją przyklękła i poszukała jego nadgarstka, a następnie sprawdziła puls. Jest! Słaby, bo słaby, ale wyczuwalny. Czując, jak z ulgi zaczyna jej się robić słabo, Kasia usiadła przy chłopaku, gorączkowo zastanawiając się, co zrobić. Wezwać policję? Hmmmm... Właściwie można by było, tylko co będzie, jeśli zaczną sprawdzać dokładnie miejsce wypadku i odkryją jakieś ślady jej działalności? Jej alibi miało polegać na tym, że w momencie, kiedy jej mąż wpadnie

w pułapkę, ona będzie daleko i w obecności innych osób, a potem zezna, że owa półka już od dawna się chybotwała i tyle razy mówiła mężowi, żeby ją wreszcie naprawił. Nie zrobił tego i oto jest tragedia! A teraz co? Policja zacznie węszyć, jej mąż zezna, że po pierwsze półka tkwiła w ścianie na mur-beton, a poza tym nigdy nie stawiało się na niej radia. Efekt? Znow spacerniak na Grochowie. Poza tym ewentualne śledztwo uniemożliwi jej wysłanie męża do aniołków. A, prawda... Miała go nie wysyłać... Tak czy tak, policja odpada. To może pogotowie? Guzik, przyjadą i pierwsze, co zrobią, to wezwą policję. Też źle... Z drugiej strony przecież ów nedorobiony nieboszczyk nie może zostać na zawsze w łazience w roli półżywej instalacji artystycznej. Hmm... Przez chwilę Kasia nie wiedziała, co dalej zrobić, aż nagle spłynęło na nią natchnienie. Danusia! Jedyna osoba, na którą zawsze w każdej sytuacji mogła liczyć i której dyskrecji mogła być pewna. W dodatku lekarka! Nie namyślając się długo, wystukała numer swojej przyjaciółki na komórce.

– Danusia? Wiem, że to zabrmi dziwacznie – powiedziała, kiedy już się połączyła – ale mam tu wybrakowane zwłoki i potrzebuję twojej pomocy!

W słuchawce zapanowała grobowa cisza.

– Jesteś...? – upewniła się Kasia.

– Owszem – odpowiedziała Danusia. – Tylko czekam na ciąg dalszy. I uprzedzam cię, że jeśli masz na myśli rybę, to ja jej na pewno nie zabiję. Poza tym, chyba jeszcze nie pora na karpia...

– Jaką rybę? – zdziwiła się z kolei Kasia, po czym zrozumiałwszy, co jej przyjaciółka ma na myśli, szybko doprecyzowała. – A, nie. Nie rybę. Nie lubię ryb, a już zwłaszcza karpia, sama przecież wiesz! To sama galareta. Ja mam ludzkie zwłoki. Ale niezupełnie jeszcze nieżywe...

– I mam ci pomóc je dobić? – zaciekawiała się Danusia. – To trochę sprzeczne z moją etyką zawodową...

– Wręcz przeciwnie – zaprotestowała stanowczo Kasia. – Masz mi pomóc je ożywić! Tylko w tajemnicy...

– A co, ukradłaś je skądś? – zdziwiła się Danusia. – Przeprowadzasz jakieś eksperymenty medyczne?

Kasia poczuła, że musi co nieco wyjaśnić, ale z drugiej strony była pewna, że nie da rady zrobić tego w taki sposób, aby nie wyszło, że nadużyła napojów wysokowych.

– Może po prostu tu przyjedź... – zaproponowała ponuro. – I sama zobacz...

Danusia mieszkała na sąsiednim osiedlu, a pracowała w prywatnej klinice kilkaset metrów od domu. Traf chciał, że tego dnia wszyscy zapisani pacjenci w ostatniej chwili odwołali swoje wizyty, w wyniku czego siedziała od rana i nudziła się jak mops, czytając kryminał o facecie, który wspinając się po Alpach natrafił na zwłoki i przez kolejnych siedemdziesiąt stron rozmyślał, co z nimi zrobić. Danusia, która w duchu modliła się o to, żeby wreszcie zeszła na niego lawina i zakończyła ich wspólną katorgę, jego w Alpach i jej przy lekturze, z miłą chęcią wykorzystwała okazję, aby porzucić średnio pasjonującą lekturę. Podejrzewała, co prawda, że Kasia robi sobie żarty, i w duchu przygotowała się

na patroszenie kurczaka, luzowanie kaczki, tudzież wiele innych robót kuchennych związanych, nie wiedzieć czemu, głównie z drobiem, ale i tak wydało jej się to większą atrakcją niż siedzenie w gabinecie. Tym bardziej, że został on wyposażony w cholernie niewygodny fotel, którego skąpy właściciel kliniki nie chciał wymienić, zarzekając się, że jest to szczyt komfortu i lepszego siedzenia nie znajdzie się, nie tylko w Europie, ale i na całym świecie.

– Na wszelki wypadek po drodze kupiłam marynatę ziołową – poinformowała Kasię kilkanaście minut później, przekraczając próg jej mieszkania. – Uniwersalną, bo w końcu mnie nie oświeciłaś, czy będziemy przygotowywać drób czy rybę. Wypróbowałam ją niedawno i daje genialny smak. Wsadzimy w nią te twoje nedorobione zwłoki na godzinkę, a w międzyczasie sobie pogadamy. Zobaczysz, mięsko wyjdzie tak, że palce lizać! To co? Od razu idziemy do kuchni?

Oszołomiona Kasia wzdrygnęła się, nie mogąc nijak przegnać wizji, jak za ową godzinkę gotują, a potem spożywają potrawkę z kołtuniastego młodzieńca wraz z puree oraz sałatką z groszku i marchewki. Nie mówiąc ani słowa, ujęła Danusię za rękę i pociągnęła ze sobą przez pokój i kuchnię, a następnie bez mała wepchnęła ją na schody. Chwilę potem jej oszołomienie udzieliło się przyjaciółce.

– Kto to jest?! – zapytała zdumiona do granic możliwości Danusia. – I jakim cudem się tu znalazł?

Kasia, która w oczekiwaniu na nią, dokonała już drobnego śledztwa i co nieco przemyślała, nie miała problemu z odpowiedzią.

– Był w ekipie, która robiła tu remont – oznajmiła. – Początkowo nijak go nie mogłam skojarzyć, bo chodził w czapeczce, a te kłaki strasznie go zmieniają, ale potem mi się przypomniał. Zaplanował tę wizytę, bo dorobił sobie klucz, zobacz, wystaje mu z kieszeni...

– Ale po co? – spytała Danusia, przyklękając przy młodzianie i biorąc go za rękę. – Żyje. Co mu się stało? Zaprawiłaś go czymś po łbie czy co?

– Zdaje się, że poraził go prąd – powiedziała ostrożnie Kasia. – Robił coś w ścianie, wszedł do wanny i wpadło mu tam radio...

Danusia przerzuciła się z górnych na dolne kończyny młodzieńca. Podwinęła mu nogawki i dokładnie obejrzała łydki.

– Masz rację, to porażenie prądem – potwierdziła. – Trzeba natychmiast wezwać pogotowie!

– Tego właśnie nie możemy zrobić – stwierdziła ponuro Kasia. – Nie możesz go jakoś ożywić we własnym zakresie?

Danusia oderwała wzrok od nóg młodzieńca i skierowała pytające spojrzenie na swoją przyjaciółkę.

– Co się tutaj właściwie wydarzyło? – zapytała podejrzliwie. – Zechcesz mi cokolwiek wyjaśnić...?

Kasia wzięła głębszy oddech. Raz kozie śmierć, pomyślała i w kilkunastu nawet dość składowych zdaniach streściła Danusi wydarzenia ostatnich kilku godzin, w duchu

przygotowując się na to, że będzie to ich ostatnia rozmowa w życiu. Lekarka przez dłuższy moment milczała, porządkując w głowie świeżo zdobytą wiedzę, po czym postanowiła najpierw załatwić to, co było dla niej zdecydowanie najważniejsze.

– Przede wszystkim ten facio musi trafić do szpitala i co do tego nie ma żadnej dyskusji – powiedziała stanowczo. – A o reszcie pogadamy później...

– Jasne, jak mnie będziesz odwiedzała na Grochowie, przynosząc czosnek i cebulę, to na pewno będziemy miały sporo czasu na rozmowy – mruknęła Kasia. – Nic nie wezwę! Przecież policja zgarnie mnie od razu! A Darek z prokuratorem posłą na krzesło elektryczne...

– Opanuj się – zaprotestowała Danusia. – U nas nie ma kary śmierci. Poza tym nie wsadzą cię, oni aż tak chętnie nie wsadzają, bo i tak mają więzienia wypełnione po brzegi. Na odsiadkę czeka się dłużej niż na wizytę u NFZ-etoweskiego endokrynologa... Poza tym, jak wezwiesz pogotowie teraz, to chłopak ma szansę nie dość, że przeżyć, to jeszcze wyjść z tego bez szwanku. Jak tu wykituje, to dopiero będziesz miała problem. A ja razem z tobą!

– Nie wezwę pogotowia ani policji – powiedziała z determinacją Kasia. – Nie chcę iść do więzienia za to, że jakiś gnojek postanowił wpaść w pułapkę zastawioną na kogoś innego! Chała, nic z tego!

Danusia знаła swoją przyjaciółkę na tyle, żeby nie wdawać się w dyskusję.

– No dobrze... – powiedziała powoli. – A gdybyśmy tak same go zawiozły na pogotowie? I powiedziały, że byłyśmy świadkami, jak go poraził prąd, na przykład na jakiejś budowie?

Kasia rozważyła ten pomysł.

– To już prędzej... – orzekła ostrożnie. – Nawet, jak go przywrócą do przytomności, to nie zezna prawdy, bo musiałby się przyznać do włamania. Jak ma choć trochę oleju w głowie, to będzie trzymał język za zębami i zasłaniał się brakiem pamięci. W sumie genialny pomysł... Możemy tak zrobić!

Danusia w duchu odetchnęła z ulgą.

– Jest tylko jeden szkopuł – przypomniało się Kasi. – Mój samochód jest w warsztacie!

– Pobiegnę po swój – zaproponowała Danusia. – A ty go pilnuj! Przewróćmy go na bok. Jakby zaczął się dusić albo cokolwiek innego, to dzwoń do mnie natychmiast, powiem ci, co masz zrobić...

Kasia spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Nie wiem, jak ci dzieje... – zaczęła, ale przyjaciółka popatrzyła na nią z irytacją.

– A co do reszty – powiedziała stanowczo. – To porozmawiamy, jak tylko upewnię się, że ten chłopak jest już bezpieczny. I zapewniam cię, że nie będzie to miła rozmowa...

ROZDZIAŁ XII

– Myślę, że na jakiś czas powinniśmy ograniczyć nasze kontakty – powiedział Darek, wkładając koszulę w spodnie i zapinając sobie w nich guziki. – Co najmniej na kilka tygodni...

Diana spojrzała na niego pytająco.

– Jeśli mój plan wypali, to przez jakiś czas będę musiał udawać pogrążonego w smutku wdowca – wyjaśnił szybko. – Jak zacznę się od razu pokazywać z tobą, będzie to podejrzane...

Jego sekretarka wzruszyła ramionami.

– Kogo niby ma to obchodzić? – prychnęła z irytacją. – Sucz zostanie pożywką dla robaków, a my będziemy się wygrzewali na plaży w Miami...

– Ona się brzydzi robakami, więc mam ją spalić, obiecałem – sprostował odruchowo Darek. – Poza tym, zanim załatwię wszystkie formalności związane z pogrzebem, a potem przejęciem spadku, to pewnie minie kilka tygodni. Akurat. Wytrzymasz...

– Kotku, czy tobie nie chodzi czasami po głowie, że mógłbyś na tej plaży wygrzewać się w pojedynkę – zapytała podejrzliwie Diana, podchodząc do niego. – Ewentualnie z kimś innym u boku?

– No co też ty opowiadasz! – zaprotestował Darek, choć dokładnie ten obraz miał jeszcze do niedawna przed oczami. On, multimilioner playboy, i kilka „modelek-ukośnik-aspirujących aktorek-ukośnik-na razie dorabiających czasowo jako luksusowe dziewczyny na telefon” nurzają się w luksusie i rozpuście non stop przez całą dobę z małymi przerwami na sen, jedzenie i jego wizyty na siłowni, w wyniku których będzie właścicielem ciała à la Ryan Gosling czy jakiś tam inny hollywoodzki bóg seksu. Ostatnio jednak ten kuszący obraz ku jego ogromnemu zaskoczeniu coraz częściej ustępował miejsca innemu, ale do tego Darek nijak nie umiał nawet sam przed sobą się przyznać. – Przecież wiesz, że cię kocham. Tylko ty się dla mnie liczysz...

Diana nie wyglądała na przekonaną.

– Bo wiesz, misiaczkule, że w razie czego będę umiała cię chwycić za jaja – powiedziała, po czym zacisnęła dłonie na jego kroczu, powodując, że jęknął. – W końcu wiem wszystko o twoich planach, a wiesz, jak niedyskretne potrafią być kobiety. Zwłaszcza te, które zawiodą się na mężczyźnie...

Darek z trudem uwolnił się z jej uścisku. „Naoglądała się za dużo »Greya«, małpa jedna...”, pomyślał z irytacją.

– Nie musisz mnie szantażować. Naprawdę cię kocham i chcę z tobą być – stwierdził, starając się zabrzmieć jak najbardziej szczerze i przekonująco. – A poza tym, szantaż to broń obusieczna. Ty wiesz o mojej pułapce, a ja o twojej...

Sekretarka zrobiła wielkie oczy i pierwszy raz, odkąd Darek ją poznał, wyglądała na zaskoczoną.

– Owszem – powiedział, uśmiechając się do niej złośliwie. – Kumple hakerzy przydają

się nie tylko do przejścia kontroli nad komputerem w samochodzie, ale też do włamania się do cudzej skrzynki mailowej. Swoją drogą, to mało roztropne, żeby w czasach powszechnej policyjnej inwigilacji, omawiać swoje czarowne plany morderstwa przez Internet i nawet nie zatroszczyć się o to, żeby zaszyfrować korespondencję...

Przez chwilę poobserwował, jak widoczny początkowo w oczach jego kochanki strach z wolna ustępuje miejsca gniewowi. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, aby Diana odzyskała pewność siebie i opanowanie.

– I co zamierzamy z tym zrobić? – zapytała, odwzajemniając w końcu jego uśmiech. – Skoro już znamy o sobie całą prawdę?

– To, co zamierzaliśmy od samego początku – odpowiedział Darek spokojnie. – Usuniemy przeszkodę i będziemy żyli długo i spokojnie...

– I dostаточно... – dodała Diana, obserwując go uważnie.

– I dostаточно, nawet bardzo dostаточно... – potwierdził Darek. – A na razie...

– Tak, wiem – powiedziała Diana znów nieco zirytowany tonem. – Będziemy udawali, że prawie się nie znamy. Niech ci będzie. Kilka tygodni mogę się przemęczyć.

– Wiedziałem, że mogę liczyć na twój rozsądek... – stwierdził Darek, siadając za swoim biurkiem i otwierając laptopa.

– Czy będę mogła na parę godzin pożyczyć sobie twój wóz? – zapytała Diana. – Mam kilka spraw do załatwienia na mieście, szkoda wydawać na taksówkę...

– Jasne, tylko bądź z powrotem nie później niż o siedemnastej. Odwiozę cię do domu – odpowiedział Darek, ciesząc się w duchu, że kochanka na jakiś czas zniknie mu z oczu. Musiał sobie wszystko jeszcze raz na spokojnie poukładać w głowie... Sięgnął do kieszeni marynarki po kluczyki i podał je Dianie. Ta przez chwilę patrzyła na niego uważnie, ale widząc, że cała jego uwaga skupiona jest na tabelkach widocznych w laptopie, po cichu opuściła gabinet. Zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę wahała się, co zrobić. Już nawet odsunęła krzesło od biurka, żeby przed wyjściem dokończyć odpisywanie na maile od klientów firmy, ale nagle zmieniła zdanie. Stanowczym krokiem skierowała się w stronę wyjścia z biura, po czym wsiadła do windy i zjechała do znajdującego się na poziomie -1 garażu. Tego dnia był on prawie pusty. Diana na wszelki wypadek rozejrzała się, czy ktoś się tu nie kręci, po czym wyciągnęła komórkę i wystukała na niej dziewięć cyfr.

– Tu Stokrotka, moje hasło zygota-zygota – powiedziała, uzyskawszy połączenie. – Chciałabym poprosić o połączenie z Tygrysem Żłocistym...

Kilka metrów dalej, obserwując wyjście z budynku, nerwowo przechadzał się Kazik. Jego cierpliwość była już na wykończeniu. Ten cholerny Donek doprowadzał go z jednej strony do rozpacz, z drugiej do furii! Nie odbierał telefonów, ignorował SMSy, choć w ostatnich kilku Kazik zawarł już tylko wulgaryzmy barwnie opisujące, jakie straszne rzeczy robi mu w przypadku dalszego braku kontaktu. A jakby tego było mało, kilka godzin temu na widok jego samochodu dał dyla swoim w drugą stronę i szybko go zgubił w panujących wiecznym w stolicy korkach. Na co właściwie liczył? Przecież i tak musiał

sobie zdawać sprawę z tego, że Kazik mu nie odpuści! Nijak nie potrafiąc zrozumieć darkowego postępowania, Kazik chciał mieć już ten kłopot z głowy. Dopadnie go tutaj i już – wóz albo przewóz! Odda kwotę, którą zalega Tygryswi, lub tak oberwie po pysku, że go rodzona matka nie pozna. Ewentualnie jeszcze... Trzeciego wyjścia Kazik właściwie jeszcze nie wymyślił, ale na pewno coś mu przyjdzie do głowy. W każdym razie musi Darka przekonać, że żarty się skończyły, bo inaczej ten cholerny Tygrys nie da mu spokoju. Swoją drogą, ciekawe, dlaczego sam się nie zajmie odzyskiwaniem swojej kasy? Z pewnością byłby bardziej skuteczny niż Kazik, który co prawda kilka razy dopuścił się aktów przemocy, ale primo – bardzo subtelnych, a secundo – jedynie w stosunku do pracujących dla niego „dziewczynek”, narajanych co zamożniejszym biznesmenom, żądnym zabawić się w stolicy na delegacji. A i tak w celu pokazania swojej władzy wybierał jedynie te „dziewczynki”, co do których miał pewność, że mu nie oddadzą. Jakby tknął na przykład taką Vanesę, sto kilo żywej wagi i biceps jak u Pudziana, to chyba nie wyszedłby z tego cało. Swoją drogą, ciekawe, że Vanessa cieszyła się największym wzięciem głównie u chuderlawych świszczypała, na co dzień kompletnie zahukanych przez swoje małżonki. Czyżby działała tu zasada przyciągania się przeciwieństw? Sam Kazik nigdy w życiu nie poszedłby do łóżka z Vanesą i to nie tylko dlatego, że miał zasadę nie wdawania się w intymne kontakty ze swoimi pracownikami, ani nawet nie dlatego, że ostatnio złapał się na tym, że głównie podnieca go Grzegorz Krychowiak, zwłaszcza ubrany w płaszcz z futerkowym kołnierzem, a z tej prostej przyczyny, że bałby się kontuzji, jakich mógłby się nabawić przy okazji figlowania z Vanesą. Jakim cudem faceci wychodzili z tego bez szwanku, pojęcia nie miał! Kurde, może zamiast siedzieć w kasynie i przepuszczać kasę na ruletkę, powinien pochodzić trochę na siłownię? Na szczęście Donek nie wyglądał na siłacza, choć wyników bezpośredniego starcia z nim Kazik wcale nie był pewny. Cholerny Tygrys! Zawsze wyręczał się innymi! Jedynie na początku swojej działalności rozrywkowej dał kilkadziesiąt popisowych występów, które sprawiły, że wyrobił sobie w całym środowisku markę po dziś dzień niepodlegającą dyskusji, ale było to bardzo dawno temu – w czasach, kiedy jedynym przestępstwem Kazika było palenie marihuany z kolegami za szkolnym śmietnikiem. Stare dzieje... Warkot silnika samochodu przywrócił go do rzeczywistości, a widok donkowego BMW podziałał na niego alarmująco. Kazik szybkim krokiem przeszedł do swojego zaparkowanego kilka metrów dalej opla i odpalił go z zamiarem zajechania drogi Darkowi. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył jednak, że pojazdem kieruje kobieta. Przez chwilę zastanawiał się, czy w ramach kamuflażu Donek nie postanowił udawać transwestyty, ale kiedy ich samochody znalazły się tuż obok siebie i miał ją na wyciągnięcie ręki, natychmiast skojarzył jej twarz. To ta sama seksowna laska, która wprowadziła go do Darka, gdy raz postanowił go odwiedzić w biurze. Super! Kazik wiedział, że na co dzień w biurze przebywają tylko dwie osoby. Skoro jedna z nich właśnie przejechała obok niego, druga znajduje się tam sama. Nie ma żadnych świadków, można w takim razie iść i pogadać z Donkiem. Kazik podrapał się po głowie, przez chwilę rozmyślając nad czymś, po czym cmoknął głośno, przechylił się nad skrzynią biegów, otworzył schowek i wyciągnął z niego pistolet. Mięśnie mięśniami, obicie

pyska obiciem pyska, a widok spluwy zawsze doskonale robi ludziom na wyobraźnię. Kazik nie miał wątpliwości, że podobnie będzie i w tym przypadku.

ROZDZIAŁ XIII

– A tamto cudeńko, to co takiego? – siostra Alma z zachwytem wskazała na zwieszony na ścianie wysoko nad swoją głową dziwaczny przedmiot, który dla Patricka wyglądał tak, jakby ktoś drucikiem połączył przetykacz do sedesu z nieco wydłużoną gruszką do robienia lewatywy. Sam był ciekawy, do czego takie dziwadło może służyć.

Od chwili, kiedy wraz z Mary i Alną wylądował na Okęciu, Patrick miał wrażenie, że bierze udział w jakimś filmie, tyle że przez przypadek odtwarzanym w trybie szybkiego przewijania do przodu. Po rozstaniu z pielgrzymami cała trójka szybko przejechała taksówką do hotelu, pod którym już czekał sprzedawca broni, kompletnie nierzucający się w oczy, mały, szary człowieczek w nieokreślonym wieku, ubrany w dres i czapeczkę z daszkiem, zasłaniającym mu pół twarzy. Meldunek i zakwaterowanie przebiegły tak szybko, że Patrick nie zdążył nawet wziąć, wymarzonego po kilkunastu godzinach lotu, prysznic. Ledwo co wszedł do łazienki, kiedy zadzwonił telefon i został natychmiast wezwany na dół i obsztorcowany za opóźnianie akcji. Gniewny ton siostry Mary nie wskazywał na to, że można z nią negocjować. Zrezygnowany Patrick zmienił jedynie ubranie i czym prędzej zszedł do lobby. Przez chwilę rozglądał się w poszukiwaniu habitów, ale wzrok jego ściągnęła zabójczo seksowna blondynka w obcisłym skórzanym kostiumiku, jakby żywcem wyjęta z pornola „Ostre laski 4: Czas na latex”, który niedawno ściągnął sobie z Internetu. Kolejne kilka sekund zajęła mu konstatacja, że oto ma przed sobą kobietę, którą do tej pory znał jako siostrę Mary. Stojąca obok niej szczuplejsza, nieco mniej zabójcza, ale równie atrakcyjna brunetka musiała być siostrą Alną.

– I co się tak gapisz? – zapytała Mary, podchodząc do niego i patrząc z politowaniem. – Kobiety w życiu nie widziałeś?

– Ale jak to tak wypada... – wyjąkał Patrick. – Siostram...

– Mówiłam ci, że takie z nas siostry, jak z ciebie papież – odpowiedziała Mary. – Nawet nie wiesz, jak to fajnie pozbyć się choć na chwilę tych czarnych worów i przekonać się, że ciągle działamy na mężczyzn. Boy hotelowy o mało co nie dostał ślinotoku na nasz widok. Szkoda, że mamy tak mało czasu, bo nawet był całkiem fajny i trochę byśmy go z Alną podszkoliły w ars amandi. Wyglądał na chętnego do nauki i pojętnego. No nic, może potem. Jestem pewna, że teraz siedzi w łazience i...

– Może siostra nie kończyć?! – zapytał z rozpaczą Patrick, z własnego doświadczenia wiedząc, co być może, a nawet na pewno robi w tej chwili boy hotelowy w łazience – Nie spodziewałem się...

– Co się kryje pod habitem? – uśmieła się Mary. – To niewiarygodne, jak mężczyznom brakuje wyobraźni. Zawsze trzeba im podać wszystko na talerzu. To pewnie dlatego kobiety wolą filmy erotyczne, a faceci porno. Słuchaj no, kolego, umówmy się, że siostra Alma, tańcząc na rurze w klubach w Tijuanie, miała za swoimi stringami więcej datków niż ty kiedykolwiek na tacy, a ja zabawiając znudzonych klientów barów w San Diego,

mogłam w parę miesięcy uzbierać na własny domek. Tyle że obu nas nie interesowały jakieś drobne kwoty...

– Wiem, wiem! – przerwał jej Patrick. – To już mi siostra opowiadała. To znaczy, już mi opowiadałaś... Kurczę, jakoś lepiej mi się mówi „siostró”!

– Wszystko, co tylko cię podnieca, kotku – Mary mrugnęła do niego okiem. – Możesz nawet mówić do mnie „siostrzyczko”, jeśli to na ciebie działa, bylebyś teraz ruszył cztery litery.

Byli już przed hotelem. Wsiadli do samochodu sprzedawcy i w szaleńczym tempie przejechali na drugą stronę Wisły, po czym zostali zaproszeni do jego królestwa, czyli jakiegoś pokrytego graffiti budynku kojarzącego się z bunkrem. Jak się szybko okazało znajdował się tu skład broni, który Patrickowi skojarzył się z filmami o Jamesie Bondzie.

– To jest prawdziwy rarytas! – powiedział człowieczek, po czym podsunął sobie krzesło, zwinnym ruchem wszedł na nie i sięgnął po dziwaczny przedmiot. – Ręczny granatnik RPG-7. Rosyjska robota, niezawodny. Model używany od lat sześćdziesiątych, ale akurat ten, który tu mam, został wyprodukowany jakieś dwadzieścia lat później. Wyposażony jest w celownik optyczny i ma skalę dalmierczą do tysiąca metrów...

Siostra Alma przejęła z jego ręki śmiertelnością broń z takim nabożnym zachwytem, jakby to była relikwia jakiegoś świętego, rozszarpanego w Koloseum przez lwy w czasach prześladowań pierwszych chrześcijan.

– Cudowny – powiedziała z ekstatyczną miną, gładząc z czułością granatnik. – Na co działa?

Sprzedawca przez chwilę się zawahał. „Powiedzieć jej o tym, że go jeszcze nie testowałem, czy nie?”, pomyślał, po czym podjąwszy w duchu błyskawiczną decyzję, uraczył Alnę uroczym uśmiechem.

– Mam do niego kilka głowic przeciwczołgowych – zakomunikował radośnie. – A co chcecie zniszczyć? Jakiś duży obiekt? Bo do rozwalenia na przykład jakiegoś domu może być za mały...

– Zwykle auto – odpowiedziała Alma. – Oczywiście wraz z jego zawartością...

– Eeeee tam – człowieczek machnął ręką z lekceważeniem. – Na taki drobiazg to wystarczy zwykle OG. Mały poręczny granacik, poradzi sobie spokojnie z każdym pojazdem osobowym, łącznie z land roverami. Jest tylko jeden szkopuł...

– Jaki? – zaciekawiała się siostra Mary, do tej pory z zachwytem, równym temu prezentowanemu przez swoją koleżankę, grzebiącą w skrzynce z nowymi modelami pistoletów. – Wezmę tego Glocka, perfekcyjnie pasuje mi do ręki. Aż chce się kogoś zastrzelić!

Patrick na wszelki wypadek odsunął się od niej na kilka kroków. Mary roześmiała się i odłożyła Glocka na stół, obok wybranego już wcześniej przez Alnę miotacza ogniem.

– Co to za szkopuł? – powtórzyła pytanie.

– Żeby mieć pewność, że się nie spudłuje i rozwali cały pożądaný obiekt – zaczął wyjaśniać człowieczek – trzeba podejść do niego na odległość nie mniejszą niż trzysta, no może czterysta metrów. A jeśli chce się uszkodzić mniejszy obiekt, na przykład

pojedynczego człowieka, to niestety pięćdziesiąt metrów to największa odległość, w jakiej można od niego przebywać...

– Żaden problem – powiedziała Mary. – W ogóle myślę, że Glock wystarczy, ale niech Alma też ma jakąś frajdę. W razie czego pojedziemy do lasu i poceluje sobie w sarenki...

– W żadne sarenki celować nie będę! – burknęła z oburzeniem Alma. – Kocham zwierzęta. Wolę krzywdzić ludzi. Jakby co, to możemy to zwrócić, tak?

– Ależ oczywiście – zapewnił gorliwie sprzedawca. – U mnie w ogóle mało kto kupuje. Większość tylko wypożycza.

– A jak się rozliczymy? – zapytała Mary.

– Z reguły biorę zastaw za sprzęt w gotówce – wyjaśnił sprzedawca. – Ale skoro macie rekomendację od samego Siergieja, to wezmę z góry tylko zapłatę za wypożyczenie. I bardzo się cieszę, że miałem okazję was poznać. Ten numer w Denver to był prawdziwy majstersztyk, rozślawił was na całej planecie. Trzy banki w jeden dzień. Naprawdę, szacun!

– Och, drobiazg... – powiedziała Mary, trochę niezadowolona, że owe gratulacje usłyszał Patrick, przed którym ukryła sporą część prawdy dotyczącą występków, jakich dopuściły się z Alną. – Naprawdę, nie ma o czym mówić...

– No co też pani mówi! – zaprotestował człowieczek, który ku jej utrapieniu najwyraźniej nie zamierzał się przymknąć. – Trzy banki i ani jednego zabitego! Mistrzostwo świata. Siergiej musi być niepokieszony, że się wycofałyście z interesu...

Mary odetchnęła z ulgą, że najwyraźniej sprzedawca zna tylko część, i to niewielką, prawdy o tym, co naprawdę wydarzyło się w Denver.

– O, zawsze można przerwać wcześniejszą emeryturę – powiedziała z uśmiechem. – Jak widać, nawet na niej pozwalamy sobie od czasu do czasu na małe robótki na zlecenie...

– To zrozumiałe – człowieczek odwzajemnił uśmiech. – Nie można sobie pozwolić wypaść z wprawy! To co ostatecznie bierzecie? Glocka na pewno. A poza tym miotacz czy granatnik?

Alma popatrzyła z wahaniem na obie wymienione bronie, po czym z westchnieniem oddała miotacz ognia człowieczkowi.

– W życiu nigdy nie można mieć wszystkiego, o czym człowiek marzy... – powiedziała filozoficznie. – A poza tym miotacza już pary razy używałam, a granatnika jeszcze nie. Zawsze to jakieś nowe doświadczenie.

– O, voila! – człowieczek spojrział na komputer, który uruchomił, kiedy tylko weszli do bunkra. – Macie tu już wszystkie potrzebne wam dane. Jeden samochód to BMW, obecnie przemieszcza się z Mokotowa na Wilanów. Drugi, jeep cherokee, stoi od kilku godzin na Woli. Tu są współrzędne. Podaruję wam też urządzenie, które pozwoli ich nie zgubić. Gratis. To mój wynalazek, bardzo jestem z niego dumny. Coś à la hakerski GPS. A tu macie jeszcze kilka moich ulubionych zabaweczek...

Podał Mary kilka dziwnych okrągłych metalowych przedmiotów wyglądających jak kurze jajka owinięte sreberkiem, w jakie pakuje się czekolady.

– To granaty nowej generacji, dwa rodzaje – wyjaśnił. – Doskonale, jeśli chce się na

przykład pozbyć jakiegoś małego zamka u drzwi albo kogoś ogłuszyć. Te złote na czubku są do wybuchów, a te czerwone – z gazem. Wystarczy nacisnąć ten mały dzyndzelek u dołu. Działają po piętnastu sekundach. Chyba że potrzebujemy, żeby zrobiły kuku od ręki, to trzeba ten dzyndzelek wyciągnąć. Wtedy czas działania redukuje się do trzech sekund... Poza tym macie tu też kilka zdjęć ludzi, których szukacie, adres siedziby jego firmy i ich domu. Ten, który mi dałyście, był zły. Od kilku miesięcy mieszkają już gdzie indziej.

Przycisnął klawisz i po chwili podał Mary kartkę ze wszystkimi zdobytymi danymi. Jeszcze raz przebiegł je wzrokiem, a na jego twarzy pojawiła się lekka konsternacja.

– Coś nie tak? – zapytała Mary, patrząc na niego uważnie.

– Skądś kojarzę to nazwisko... – powiedział z lekką niepewnością sprzedawca. – Ale nijak nie potrafię sobie przypomnieć skąd.

– Może jest popularne w twoim kraju? – podsunęła Mary.

– Nie, niezbyt... – sprzedawca dalej wyglądał na skonfundowanego. – Musiałem je gdzieś ostatnio usłyszeć, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie i w jakich okolicznościach.

Przez chwilę wszyscy milczeli, pozwalając mu uporządkować myśli.

– To na nic... – orzekł w końcu człowieczek. – I tak sobie teraz nie przypomnę. W razie jakbym dostał objawienia i uznał, że to ważne, to mam wasze numery komórkowe, wyślę wiadomość. A teraz chyba przystąpimy do sfinalizowania naszego interesu...

Mary skinęła głową na Patricka. Ten wyciągnął z kieszeni spodni portfel. „Gdyby nasi wierni wiedzieli, na co idą pieniądze z tacy i datków, to by się chyba pochlastali...”, przemknęło mu przez głowę, kiedy podawał człowieczkowi odliczoną kwotę.

– Super, wszystko się zgadza – powiedział sprzedawca, przeliczywszy banknoty. – Mam was teraz odwieźć do hotelu? Zostawię wam ten samochód, jest kradziony, możecie go po wszystkim porzucić w dowolnym miejscu...

– Nie musisz nas odwozić, damy sobie radę – uspokoiła go siostra Mary. – Podjedźmy pod hotel, wyrzucimy tego cieniasa i lecimy dalej. Nie ma czasu na odpoczynek, musimy się wyrobić ze wszystkim jeszcze dzisiaj, tak żeby jutro dołączyć do pielgrzymki. Od razu weźmiemy się do roboty. Im szybciej będziemy to miały z głowy, tym lepiej...

ROZDZIAŁ XIV

– Ile on waży? – sapnęła Kasia, czując, jak pot spływa jej po plecach. – Tnę? Dwie? Wyglądał na chuderlawego. Czy jak cię coś porazi, to zaczynasz więcej ważyć...?

– Nie mędrkuj mi tutaj – odsapnęła Danusia – tylko trzymaj jego głowę tak, żeby ci nie wypadła. Jeszcze tego brakuje, żeby nam zleciał ze schodów i wybił sobie zęby.

– Strasznie niewygodnie się go niesie – powiedziała Kasia z niezadowoleniem. – Ty masz łatwiej, bo trzymasz za nogi i nic ci nie dynda. Ja mam ramiona i ta jego głowa mi się tu majta...

– To mu ją urwij! – poradziła gniewnie Danusia. – Potem mu się ją przyszyje. Moim zdaniem, to on i tak z tego nie wyjdzie, więc w sumie wszystko jedno, czy z głową, czy bez...

Wydając z siebie odgłosy niczym lokomotywy ruszające ze stacji, z trudnością zniósł Jacka na parter, po czym pojawił się kolejny problem.

– Niby jak go przeniesiemy do samochodu? – zapytała Danusia. – Przecież ktoś nas może zobaczyć. Dwie baby tachające nieprzytomnego chłopca to nie jest codzienny widok. Wszystkim wryjemy się w pamięć na amen!

– Nie wiem, czy odkąd tu mieszkam, widziałam choć raz jakiegoś sąsiada – zastanowiła się Kasia. – Ale oczywiście masz rację. Jak będzie nam zależało, żeby nikogo nie spotkać, to zrobi się tu plac Defilad i spotkamy po drodze pułk wojska i fotoreporterów. Trzeba coś wymyślić...

W wyniku gorączkowej narady Jacek został zawinięty w dywanik z przedpokoju. Niestety, niedoszły nieboszczyk okazał się od niego nieco większy i z rulonu wystawała mu bujna koafiura.

– No trudno... – powiedziała Danusia, starając się trochę przyglądzić wesołe kłaczki chłopaka. – Jakoś się go te trzysta metrów przeniesie. Co robisz?

– Uporządkuję choć trochę łazienkę na górze – odpowiedziała Kasia, szybkim krokiem kierując się ku schodom. – To potrwa tylko chwilę...

Danusia chciała zaprotestować, ale Kasia była już na schodach. Na piętrze przebiegła przez korytarz, po czym znalazłszy się w łazience szybko wyjęła radioodbiornik z wanny. Przez chwilę zastanowiła się, co z nim zrobić, po czym po prostu wsadziła go sobie pod pachę, postanowiwszy wrzucić go do kosza na śmieci jak najdalej od domu. Ciekawe tylko, jak wytłumaczy mężowi dziurę w kafelkach? No nic, będzie miała sporo czasu na rozmyślenia po drodze... Opuściła łazienkę i zbiegła po schodach, wprost na swoją doprowadzoną do ostateczności przyjaciółkę.

– Mam radio w samochodzie – powiedziała Danusia, patrząc na przedmiot, znajdujący się pod pachą Kasi. – Całkiem niezłe. Co prawda w środku zacięła mi się płyta z „Metra” i wiecznie jestem namawiana do aktów wandalizmu, ale zawsze możemy przerzucić na jakąś stację...

– Jakiego znów wandalizmu? – jęknęła Kasia.

– No, żebym tłukła szyby... – wyjaśniła Danusia niecierpliwie. – A więc? Po co nam ten mokry rup?

– To jest narzędzie zbrodni – poinstruowała ją Kasia – i muszę się go pozbyć. Czym prędzej!

– Obie skończymy w pudle – zawyrokowała Danusia ze zgrozą w oczach. – Rozumiem jeszcze, że ty, bo sama się o to prosisz, ale za jakie grzechy ja?!

– Dla towarzystwa – podpowiedziała Kasia – i nie gadaj głupot, bo jeszcze wykraczesz coś w złą godzinę. Pozbędziemy się tego radia po drodze i nikt nic nie udowodni. Gotowa? Łap się za dywanik...

Owinięty dość ciężkawym, solidnym, wełnianym dywanikiem, który kilka lat temu Kasia, bez mała sterroryzowana w sklepie przez sprzedawców, kupiła w Turcji („Dobra, dobra dywan. Sto lat dywan na podłoga. Pierwsia klasa. Cud miód malina!”), i dodatkowo obciążony położonym na wierzchu radiem, Jacek jedynie zyskał na wadze.

– Trzeba było powiedzieć, że planujesz morderstwo, zapisałaabym się pół roku temu na siłownię – wydyszała Danusia – i zaczęła przyjmować jakieś odżywki dla kulturystów. Już teraz czuję jutrzejszy ból kręgosłupa!

Z trudem przeniosły Jacka przez pokój, a potem korytarz. Położyły go na chwilę przed drzwiami, żeby Kasia mogła je zamknąć, i już go z powrotem dźwigały, kiedy nagle otworzyły się drzwi i pojawiła starsza siwa pani z ujadającym kundelkiem na smyczy. Kasia była pewna, że widzi ją pierwszy raz w życiu, ale kobieta na jej widok szeroko się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, sąsiadko – powiedziała uprzejmie, po czym pociągnęła za smycz, próbując ujarzmić rwącego się z całych sił do dywanu pieska. – Beatka, do nogi! Niech pani popatrzy, jaka nieposłuszna! Aż dziwne, z reguły się słucha...

Beatka wszelkimi sposobami starała się zaatakować dywan. Gdyby smycz była o kilkanaście centymetrów dłuższa, upiorna suczka już miałaby w zębach część jackowej czupryny. Kasia i Danusia, przerażone, aż zmartwiały.

– A sąsiadka idzie wytrzepać dywanik? – zapytała starsza pani, ściągając na szczęście ujadającej wciąż zajadle Beatce smycz – Cicho bądź wreszcie, bo nie dostaniesz podwieczorku! Jaki ładny, z frędzelkami...

Kasia potoczyła za jej wzorkiem i z przerażeniem odkryła, że prawie trup przy ostatnich manipulacjach nieco im się wysunął. Teraz już lwia część czupryny Jacka wystawała z wyrobu tureckich mistrzów. Starsza pani pochyliła się, najwyraźniej mając zamiar pogłodzić coś, co wydawało jej się frędzelkami. Kasia oczyma wyobraźni zobaczyła jej przerażoną minę, kiedy domaca się prawdy. Oczywiście, trzeba ją będzie natychmiast uciszyć i to radykalnie, razem z suczką. Spokojny do tej pory korytarz zamieni się w miejsce krwawej masakry...

– Mole!!! – krzyknęła nagle w olśnieniu głosem tak potężnym, jakby występowała w „Carmen” i właśnie zaczynała arię torreadora. – Zalęgły mi się w nim mole! Jedziemy wyrzucić go na wysypisko śmieci. Bardzo nam się spieszy!!!

Starsza pani zastygła w połowie ruchu, po czym z wolna wyprostowała się, kiwnęła

oszołomiona głową i, ciągnąc za sobą wciąż szczekającą suczkę, przeszła w stronę windy. Danusia przelotnie zastanowiła się, jakiego przed chwilą wszystkie cztery doznały uszczerbku słuchu.

– Na przyszłość mnie uprzedzaj, ile szykujesz pułapek – powiedziała z wyrzutem kilka minut potem, gdy siedziały już w samochodzie, upchnąwszy wcześniej dywanik z Jackiem na tylnym siedzeniu. – Od chwili przyjazdu tutaj mogłam już doznać zawału serca, złamania kręgosłupa, a teraz całkowitej utraty słuchu. Trzymasz jeszcze coś w zanadrzu?

– Mam szczerą nadzieję, że nie – odpowiedziała Kasia. – Dokąd zamierzasz go zawieźć?

– Najbliżej mamy chyba szpital bielański – odpowiedziała z namysłem Danusia. – Mam tam znajomych, przy odrobinie szczęścia uda nam się uniknąć komplikacji. Jeśli nieboszczyk faktycznie nie wykorkuje, to powinno się rozejść po kościach. A swoją drogą, nadziwić się nie mogę, co ci strzeliło do głowy...

– Kilkadziesiąt milionów dolarów mi strzeliło do głowy – przypomniała jej Kasia. – Albo kilkaset. Nikt dokładnie nie wie. Babcia zawsze była bardzo tajemnicza w kwestii swojego majątku, ale wszyscy wiedzieli, że jakby chciała, to by mogła sobie wykupić pałac łazienkowski i zrobić z niego swoją letnią rezydencję. Jak ta, co kupiła sobie Stocznnię Gdańską... Nie pamiętam, jak się nazywała.

– Piasecka-Johnson – poinformowała ją Danusia. – I nie kupiła, tylko miała taki zamiar. Serio, aż tak była bogata? Jakim cudem?

– Poślubiła łebskiego faceta – Kasia poprawiła się w fotelu, dotykając głową oparcia. – Facet odziedziczył po przodkach kilka kamienic w Nowym Jorku. Potem wiecznie kupował nowe, a poza tym inwestował w dość ryzykowne i przez to przynoszące czasem kolosalne dochody biznesy. Złoto, nowe eksperymentalne szczepionki, nowe technologie, media... Po kilkudziesięciu latach miał tyle kasy, że jak się przeniósł do Los Angeles, to pół Hollywood odbywało do niego regularne pielgrzymki, żeby inwestował w filmy. Ale babcia mu nie pozwoliła...

– Czemu? – zdziwiła się Danusia.

– Była z innych czasów – uśmiechnęła się Kasia. – Mówiła, że wszyscy aktorzy to bezbożnicy, bezwstydnicy i skończą w piekle. Poza Piotrem Adamczykiem, bo zagrał papieża...

– Miło z jej strony, że zrobiła choć jeden wyjątek – przyznała Danusia. – Po co przenosiła się w takim razie do Los Angeles? Siedliska zła?

– Pewnie dlatego, że nie chciano zrealizować jej marzenia i wydać pozwolenia na wybudowanie domu bezpośrednio na placu świętego Piotra w Watykanie – mruknęła Kasia. – A tak serio, to na starość zaczęła mieć spore problemy reumatyczne, a Los Angeles leży w strefie klimatu subtropikalnego. Zawsze jest tam ciepło, co jej znakomicie robiło na kości. No i udało im się tak bardzo okazyjnie kupić dom, należący do jakiejś starej dewotki, której hobby było kupowanie najbrzydszych i najbardziej przerażających obrazów religijnych świata. Byłam tam kilka razy i miałam wrażenie, że zwiedzam muzeum parafialne, ewentualnie jakieś gabinety grozy. Babcia zawsze przygotowywała dla mnie sypialnię na piętrze, pomalowaną na bordowo i ozdobioną dziełami, które zostały

po poprzedniej właścicielce. Cud, że nie wpadłam w obłąd, patrząc na te bohomyzy. Na jednym żołnierze, wyglądający jak nasi menele z Centralnego, dźgali dzidami jakiegoś świętego z otwartymi ustami i bez zębów, skrępowanego od tyłu i nieprzywiązanego do niczego, bo autor najwyraźniej zapomniał domalować drzewko, pał albo cokolwiek, o co miałby się ów nieszczęśnik opierać. Na drugim straszna, gruba baba w czerni i z bielmem na oczach uciekała przez wilkami wielkości bawołów po ciemnym lesie, a całość obserwowały z góry zadowolone najwyraźniej z takiej rozrywki, uśmiechnięte, tłuste aniołki. Co do trzeciego, to nawet trudno było się domyślić, co właściwie przedstawia. Darek wykoncypował kiedyś, że jest to obraz gnijącej wątróbki na tle surówki ze startych buraczków, a ja że ranny gołąb w kałuży krwi i nawet się o to założyliśmy, ale żadne z nas nie wygrało, bo babcia stwierdziła, że to Noe w czasie potopu. Zawsze, kiedy tam spałam, miałam koszmary...

– Trudno się dziwić – przyznała Danusia. – A tym bardziej trudno dla czegoś takiego popełniać morderstwa!

– Pewnie masz rację... – powiedziała Kasia w zamyśleniu. – A z drugiej strony, sama zobacz, co mnie czeka. Stanę się zgorzkniałą rozwódką w średnim wieku. Do starej pracy w prasie nie wrócę, bo gazety zdychają i prędzej tam kogoś zwolnią niż zatrudnią, a w Internecie płacą grosze i szukają głównie studentów, żeby nie domagali się umowy na etat. Zawodu nie zmienię, bo nic nie umiem poza gładzeniem i pisanem. Moja wartość na rynku pracy jest zerowa. Będę żyła z marnych alimentów i zasiłku dla bezrobotnych...

– Nie chcę cię dobijać, ale zasiłku ci też chyba nie dadzą, bo o ile dobrze pamiętam, to on się należy tylko tym, którzy przepracowali rok w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy – powiedziała Danusia. – Ale i tak moim zdaniem przesadzasz. Przede wszystkim nie jesteś w średnim wieku. Dzisiaj trzydziestka to nowa dwudziestka. Poza tym masz urodę, prezencję...

– Faktycznie, będę urodziwie się prezentować za kasą w Tesco – wzruszyła ramionami Kasia. – Daj spokój! Dno i mogiła. Kury domowe w przypadku rozwodu powinno się po prostu zarzynać...

– A dasz mi dokończyć? – zniecierpliwiła się Danusia. – Mam na myśli to, że uroda pomaga w zdobyciu fuchy. Mogłabyś być na przykład sekretarką...

– Jasne, cudowna przyszłość – parsknęła Kasia. – Zamiast chodzić na przyjęcia z Bradem Pittem, będę parzyła kawę jakiemuś staremu przykowi i udawała, że to dobry żarcik, gdy mnie podszczypuje w tyłek. Bosko!

– Brad Pitt też jest już starym przykiem... – zauważyła trzeźwo Danusia.

– Ale jak się trzyma! – powiedziała Kasia. – Akurat on jako jedyny ze wszystkich starych ramoli mógłby mnie szczypać, po czym tylko chce. Ech... Sama popatrz, majątek na wyciągnięcie ręki i co? Pójdzie na zmarnowanie...

– A, właśnie! – przypomniało się Danusi. – Nie zdążyłaś mi wyjaśnić, co się stanie z całym tym bogactwem, jak okaże się, że nie możecie go odziedziczyć...

– Babcia zapisała go na kościół – przyznała Kasia, krzywiąc się na samą myśl o tym. – Rozdzielą go między kilkaset organizacji kościelnych, ale największa część ma przypaść

jakaś lokalnej parafii w Los Angeles. A co?

– Bo tak dumałam, że może byś się jakoś dogadała z pozostałymi spadkobiercami, żeby ci odpalili jakąś część – powiedziała Danusia. – W końcu moralnie ci się ona należy. Z tego, co opowiadasz, nawet minimalna cząstka spadku zapewniłaby ci dostatnie życie po wsze czasy.

– Tia, już ja widzę, jak mi te kościelne organizacje odpalają dolę – prychnęła Kasia. – Naprawdę w to wierzysz?!

– Mam brata, który jest księdzem w Stanach. On by się pewnie podzielił, ale zgadzam się, że byłby wyjątkiem. Jak tylko powiedziałaś, kto zamiast was dziedziczy, to od razu uznałam, że grosza z tego nie zobaczycie – odpowiedziała Danusia po chwili namysłu. – No dobrze, w sumie nawet i rozumiem, że ci przyszło do głowy, żeby zostać morderczynią, ale nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek cię w tym poprę.

– Znam cię na tyle dobrze, żeby nawet przez moment nie mieć na to nadziei – westchnęła Kasia, po czym nagle się ożywiła. – Zatrzymaj się!

Danusia odruchowo nacisnęła hamulec, o mało co nie wywołując kolizji. Kierowca, który jechał za nią i w ostatnim momencie zdołał zmienić pas, jednoznacznie dał jej do zrozumienia, co myśli o jej wyczynie.

– I tobie też, prosto w zadek, padalcu! – odrzyknęła Danusia, ostatkiem sił powstrzymując się, żeby także nie pokazać mu środkowego palca, po czym zjechała na skraj ciągnącego się przy ulicy chodnika i skierowała pełne wyrzutu spojrzenie w stronę Kasi. – Miałaś mi już dziś zaoszczędzić wstrząsów! Co znowu?!

– Śmietnik – Kasia wskazała ręką na mały budynek stojący między dwoma blokami mieszkalnymi. – Muszę się przecież pozbyć radia! Zaparkuj tu!

– Zwracam ci uwagę, że nie ma tu miejsca do parkowania – powiedziała Danusia. – Mogę co najwyżej włączyć światła awaryjne i udawać, że coś mi się popsuło.

– Zrób tak! – nakazała jej Kasia, otwierając drzwi. – To kilkaset metrów. Ukryję je gdzieś na dnie i zaraz jestem z powrotem.

Danusia nie do końca rozumiała, dlaczego jej przyjaciółka czuje potrzebę zakopywania radia w stertach śmieci, ale wolała już nie wdawać się z nią w dyskusję. Posłusznie kiwnęła głową i nacisnęła przycisk uruchamiający światła awaryjne. Z rezygnacją popatrzyła, jak Kasia biegnie tak zwanym świńskim truchtem do budyneczku. Minęła sekunda, dwie, trzy... Nagłe pukanie w znajdującą się obok niej boczną szybę sprawiło, że aż podskoczyła na fotelu. Skierowała wzrok w lewo i na widok osoby pukającej, a właściwie jej fragmentu widocznej w szybie, serce zaczęło jej bić niczym dzwon Zygmunta. Czym prędzej przycisnęła odpowiedni przycisk i szyba zaczęła zjeżdżać w dół.

– Co się obywatelce popsuło? – zapytał policjant, pochylając się i wsadzając głowę w okienko – Może w czymś pomóc?

„Święci pańscy”, pomyślała ze zgrozą Danusia, „Pomoc w ukrywaniu morderstwa! Jak nic wlepią mi piętnaście lat. I po marzeniu o dzieciach! Wyjdę z pudła w czasie menopauzy. No chyba, że wcześniej uwiodę strażnika...”

– Jak to miło, że pan pyta... – odpowiedziała, w panice usiłując sobie przypomnieć, co

w tym cholernym samochodzie może nie działać. Chyba nic, wzięwszy pod uwagę, że nie dawniej jak dwa tygodnie temu wrócił z warsztatu.

– My zawsze jesteśmy mili – wyjaśnił policjant z uśmiechem. – A więc...?

Danusia jeszcze przez ułamek sekundy robiła w myślach przegląd samochodu, po czym spłynęło na nią natchnienie.

– Z samochodem wszystko w porządku – poinformowała policjanta, odwzajemniając przy okazji jego uśmiech, co wyszło jej o tyle naturalnie, że uświadomiła sobie, że nie ukrywa morderstwa, tylko co najwyżej nieudany wypadek, więc może ją wypuszczać z mamra trochę wcześniej i zdąży zostać mamą na wolności. – To ja poczułam się źle...

– A co pani dolega? – zapytał podejrzliwie policjant.

Danusia wiedziała, że jest tylko jedna odpowiedź, która sprawi, że będzie go miała szybko z głowy.

– Och, to kobiece sprawy – powiedziała ze znakomicie udanym zakłopotaniem. – To początek tych dni. Obawiam się, że nie jest pan w stanie w żaden sposób mi pomóc...

Zgodnie z jej oczekiwaniem policjant lekko się zaczerwienił i wyraźnie spieszył.

– Yhm... tego... hmmm... – widać było, że usiłuje zebrać myśli, żeby powiedzieć coś odpowiedniego, ale nie wie, co. – W takiej sytuacji... no to tego... oczywiście, zrozumiałe. Musi pani tylko przejechać trochę dalej, bo tu jest nieprzepisowo. Jeśli się pani bardzo źle czuje, to możemy ją eskortować...

„Faktycznie, do kompletu brakuje mi już tylko asysty policji”, pomyślała Danusia.

– Nie, nie, dam radę – zapewniła policjanta, po czym licząc na to, że zawilóści kobiecej biologii są dla niego, jak dla większości płci brzydkiej, nieodgadnioną tajemnicą, dodała – Już się zresztą czuję o wiele lepiej. Te bóle czasem szybko przechodzą...

– Tak, tak, oczywiście – gorliwie przyświadczył policjant. – Moja żona też czasem boleśnie przechodzi ten... okr... znaczy, chciałem powiedzieć... czas!

– No to sam pan wie... – powiedziała Danusia, kątem oka notując, że Kasia wyszła ze śmietnika, zrobiła kilka kroków w jej stronę, po czym widząc, co się dzieje, zamarła jak żona Lota.

– Jasne, jasne... – potwierdził jeszcze raz policjant. – W takim razie życzę dobrego dnia. Proszę tylko stąd odjechać. Za kilkaset metrów jest zatoczka, tam może się pani zatrzymać.

Zabrał głowę z okienka. Danusia, czując, jak dopiero teraz z ulgi robi się jej trochę słabo, czym prędzej zamknęła szybę, wyłączyła światła awaryjne i ruszyła do przodu, z pewnym niepokojem odnotowując, że policyjny samochód jedzie za nią. W lusterku zauważyła jeszcze, jak Kasia przestaje udawać biblijną bohaterkę i zaczyna biec w kierunku przeciwnym niż ten, obrany przez nią samą. Danusia westchnęła, minęła wskazaną jej przez policjanta zatoczkę, z zadowoleniem zobaczyła, jak policyjny wóz skręca w jedną z bocznych uliczek, znikając jej z pola widzenia, po czym dodała gazu. Od szpitala bielańskiego dzieliło ją już tylko kilka minut jazdy...

ROZDZIAŁ XV

Diana zaparkowała auto w garażu. Wyłączyła silnik, ale nie wysiadła z samochodu. Oparła głowę o kierownicę i przez chwilę rozmyślała nad tym, co zrobić. Zdaje się, że wpakowała się w klasyczną sytuację bez wyjścia. Kilka miesięcy temu jej szef, Tygrys Złocisty, kazał jej się zatrudnić u tego cholernego Donka. Chciał w ten sposób kontrolować interesy człowieka, któremu pożyczył sporo kasy. Miała być jego szpiegiem w firmie i donosić mu o wszystkim, co się tu dzieje. Rozmowę kwalifikacyjną przeszła śpiewająco. Darkowi, wpatrzonemu hipnotycznym wzorkiem w jej wyeksponowany ponad granicę przyzwoitości dekolt, zamiast referować swoje kwalifikacje, mogła równie dobrze opowiadać o tym, że do tej pory zajmowała się mordowaniem swoich poprzednich szefów, a i tak z miejsca zostałyby przyjęta. Po kilku tygodniach niezbyt dwuznacznych zalotów z jego strony rozpoczęli ognisty romans. Początkowo wszystko między nimi układało się znakomicie i to na tyle, że po kolejnych paru tygodniach zauroczony nią Darek zdradził jej swój sekret. Otóż mógł się stać dziedzicem bajecznie wielkiego majątku, w dodatku znajdującego się za Oceanem. Warunek? Musi się pozbyć swojej żony. Radykalnie. Diana żony nie znała i nigdy nie widziała nawet z daleka, z opisu Darka stworzyła sobie obraz wiecznie nadętej megiery, zrzędlivej i zmierzłej, brzydkiej jak noc listopadowa, kompletnie aseksualnej, otyłej, z wyłysiałym łbem, liszajami, wągrami i bujnym wąsem, tyranizującej swojego ślubnego, który trzyma się jej jedynie ze względu na korzyści majątkowe, jakie może ewentualnie mieć z tego związku. Wziąwszy pod uwagę, z jakim monstrum przychodzi mu dzielić dach i łóżce, trudno było się dziwić, że chce sobie skrócić te męczarnie. Diana gotowa była mu w tym pomóc, tym bardziej, że jeśli ktokolwiek z nich miał doświadczenie w łamaniu prawa, to właśnie ona. Nigdy co prawda nikogo nie zamordowała, ale jej policyjna kartoteka nie świadczyła korzystnie o jej praworządności. Widząc już siebie jako kolejną panią Donkową, Diana postanowiła zataić przez Tygrysem informację o spadku. Razem z Darkiem opracowała plan usunięcia odrażającej megiery z tego padole i kiedy już z wolna zaczęli się przygotowywać do wdrożenia go w życie, nagle zapal jej partnera osłabł. Początkowo Diana usiłowała sobie wmówić, że to tylko jej wrażenie, ale fakty mówiły same za siebie. Coraz częściej odwoływane w ostatniej chwili schadzki, nieodpowiadanie na SMSy, wieczne „nie teraz” albo „bo jeszcze ludzie nas razem zobaczą” mówiły same za siebie. Jakoś jeszcze miesiąc temu Darek miał w nosie ludzi i mógł się z nią kochać tak, jak ktoś, kto dopiero co przegrał walkę z seksoholizmem i teraz odbija sobie tygodnie na odwyku. A teraz? Diana doskonale wiedziała, jak działają reakcje męsko-damskie i zbyt wiele razy przerabiała coś takiego w przeszłości, żeby zbyt długo mieć samą siebie. Nie ma co ukrywać, znudziła się Darkowi i tyle. Odkrycie tego faktu zabolowało ją bardziej niż mogłaby się spodziewać i uświadomiło jej, że była jednak bardziej zainteresowana Donkiem niż sama się do tego przed sobą do tej pory przyznawała. Najgorzej jednak, że koniec ich romansu oznaczał też rozstanie z wizją fortuny. A z tej Diana nie zamierzała rezygnować, o nie! Wymyśliła więc plan awaryjny

i w tym celu skontaktowała się z jednym ze swoich starych, dobrych znajomych, znanym w półświatku pod ksywką Ukrainiec, o tyle dziwną, że urodził się na warszawskiej Pradze Północ w rodzinie, której członkowie pewnie nawet nie umieliby wskazać na mapie, gdzie leży ojczyzna Wołodymyra Kłyczko, bo z miejsc na naszej planecie znali tylko to, w którym znajdowała się melina u pana Władka na Targowej. Znajomy Diany metody działania miał jednak tak finezyjne jak jego koledzy zza wschodniej granicy i każdy, kto mu stanął na drodze, wcześniej czy później przekonywał się, że nadana mu ksywka wcale nie była znowu taka niedorzeczna. Według planu awaryjnego Ukrainiec miał porwać Darka i przetrzymać go w ukryciu, aż do momentu, kiedy Diana pošle jego żonę na wycieczkę do zastępów niebieskich, a potem zaś skutecznie, acz może niezbyt łagodnie, przekonać do ożenku z sekretarką i przepisania na nią swojego majątku. Diana, choć urażona faktem, że została potraktowana przez Donka jak jakiś rupieć, którego można użyć, a potem wyrzucić na śmietnik, była nawet na tyle wspaniałomyślna, że planowała zostawić mu znaczną część spadku, tak żeby żył sobie spokojnie i miło ją wspominał. A teraz te wszystkie zamierzenia trafił szlag...! Nigdy by nie pomyślała, że ten cholerny Donek jest na tyle przebiegły, że skontroluje jej skrzynkę mailową i odkryje korespondencję z Ukraincem. Chyba w ogóle miała zaćmienie umysłu, skoro omawiała z nim te wszystkie plany w mailach! Choć z drugiej strony, używała zaszyfrowanej poczty, której nikt nie miał prawa odczytać. No chyba, że miał bezpośredni dostęp do jej komputera, czego w ogóle nie brała pod uwagę. Jak mogła zapomnieć o tym cholernym kumplu-hakerze Donka? No i co teraz? Darek z pewnością zabezpieczył się na wypadek porwania, kolejnego planu Diana nie miała, a do tego Tygrys zaczął się chyba domyślać, że nie mówi mu całej prawdy. A czego jak czego, ale podpaść temu zwyrodnialcowi, to akurat Diana nie miała zamiaru. Co innego, gdyby wraz z Donkiem znalazła się w Stanach, tam ten cały Tygrys mógł jej nagwizdać, ale, będąc w Polsce, lepiej było mu nie podpadać. Klasyczny pat. Co zrobić? Wyznać mu wszystko, czy może... na jakiś czas zapaść się pod ziemię i poczekać, aż wszystko rozwiąże się bez jej udziału? Tylko, czy Tygrys i tak jej nie znajdzie...?

Nie podjąwszy żadnej decyzji, Diana wysiadła z samochodu i skierowała w stronę windy. Wjeżdżając na górę, popatrzyła w lustro. Jaskrawe światło doskonale ukazało jej perfekcyjną twarz. No, prawie perfekcyjną... Diana z niezadowoleniem odkryła przy oczach kilka zmarszczek. Kolejnych! Nic dziwnego, że przestała działać na Donka, skoro się sypie w jakimś straszliwie kosmicznym tempie i zaczyna przypominać Babę Jagę. Po co mu żona-bis? Diana poczuła podwójną złość, ogólnie na mężczyzn, że są takimi cholernymi wzrokowcami, i szczególną na Darka, że okazał się klasycznym przedstawicielem swojej płci. „Będę musiała coś z tym zrobić...”, pomyślała Diana, delikatnie gładząc swoje, jak jej się nagle zaczęło wydawać, nieco już zdradzające skłonności do wędnięcia, policzki, po czym przez głowę przebiegła jej trzeźwa myśl, że kiedy Tygrys dowie się o jej matactwach, to i tak będzie musiała sobie zrobić dla kamuflażu operację plastyczną, zmieniającą rysy twarzy. Przy okazji z pewnością usuną jej te wszystkie chomiki, wiszące jak u shar peia powieki i cholerne zmarszczki. Mimo tej

pocieszającej wizji, Diana wyszła z windy wściekła jak osa i w rewolucyjnym nastroju. Już ona wymyśli coś takiego, że i Donkowi, i Tygrysowi pójdzie w pięty! Przeszła przez krótki korytarz i doszła do pomieszczeń, w których znajdowała się prowadzona przez jej kochankę firma. Otworzyła drzwi i weszła do dużego pomieszczenia składającego się z przeszklonych boksów. Po przekroczeniu progu miało się tu doskonały widok na wszystko, łącznie z jedynym w miarę odseparowanym od reszty, też przeszklonym gabinetem Darka. Plus tego pomieszczenia był taki, że zamontowano tam ścianki dźwiękoszczelne i żaluzje, co sprawiało, że nie można było podejrzeć ani podsłuchać, co dzieje się w środku. Korzystali z tego wiele razy, zabawiając się w najlepsze w chwili, kiedy obok odbywała się normalna praca. Teraz jednak żaluzje były podniesione, co pozwoliło Dianie jak na dłoni zobaczyć mrozącą krew w żyłach scenę. Jej szef siedział za biurkiem, skulony i z przerażonym wyrazem twarzy, a nad nim stał jakiś facet, wygrażając mu pięścią. Nie to było jednak najgorsze, a fakt, że w drugiej dłoni ów drugi mężczyzna trzymał spluwę! Diana szybko uświadomiła sobie, że choć żaden z panów jeszcze jej nie zauważył, to w każdej chwili może to zrobić. Błyskawicznie przykucnęła i ukryła się za stojącym najbliżej biurkiem.

– Nic mnie, kutasie, nie obchodzi, że nie masz szmalu! – dobiegł ją gniewny głos, z pewnością należący do bandziora i oznaczający, że drzwi do gabinetu Darka nie są zamknięte. – Odstrzelę ci najpierw jaja, to sobie może przypominisz. A jak nie, to następną kulkę dostaniesz prosto w łeb. Masz minutę na przemyślenie mojej oferty, cwelu!

Dianę przez chwilę kusiło, aby poczekać na realizację pierwszej części obietnicy zbira. W sumie, skoro ona nie może już mieć użytku z intymnych części ciała Donka, to niech i inne panie też nie mają takiej możliwości. Przez moment słuchała, jak jej kochanek szepcze coś po cichu. Nie odróżniła słów, ale z pewnością nie były tymi, których oczekiwał jego rozmówca.

– Drugi raz się na to, sukinsynu, nie nabiorę! – bez mała krzyknął bandzior. – A ponieważ znów mi kłamiesz, zmieniam swoją ofertę. Masz minutę i jak nie zmądrzejesz, to pozdrowisz ode mnie moją matkę tam na górze. A raczej na dole, bo do nieba jej na pewno nie wzięli. Czas, start...!

Diana zamarła, przerażona wizją nie tyle morderstwa, które zaraz rozegra się na jej oczach i uszach, a bardziej wizją rozpływającego się właśnie w niebycie marzenia o fortunie, którą wciąż miała nadzieję jakoś zdobyć. Bez żywego Darka stanie się to niemożliwe, bo przecież nie uwiedzie i nie poślubi jego żony. Coś trzeba zrobić! Diana rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu jakiejś broni. Na biurkach leżały głównie papiery. Jedyne, co można było nimi zrobić, to przeciąć sobie palec. Do bani. Pilnując starannie, żeby nie można jej było zobaczyć z gabinetu, Diana na czworaka przeszła kilka metrów pod osłoną biurek tak, aby znaleźć się jak najbliżej.

– Czterdzieści sekund – słowa bandziora, choć skierowane do Darka, zabrzmiały dla niej jak głośny stoper, informujący, ile ma jeszcze czasu na wymyślenie czegokolwiek. Diana delikatnie otworzyła jedną z szuflad znajdującego się tuż przy niej biurka, należącego na

co dzień do dziewczyny, ze względu na tuszę nazywanej przez współpracowników Dziką Lochą. „Skoro żre tu non stop przez cały dzień, to może ma jakiś nóż”, pomyślała z rozpaczą, grzebiąc w szufladzie, ku jej rozczarowaniu wypełnionej jedynie pustymi opakowaniami po batonikach „Pawełek z advocatem”. „To dlatego ma wiecznie pomarańczowe kącki ust...”, pomyślała Diana z ulgą, bo wcześniej podejrzewała, że Dziką Lochę wykończyła sobie spożywanymi artykułami wątrobę i bała się jej podawać rękę, tudzież korzystać z jednej ubikacji, żeby nie zarazić się żółtaczką.

– Trzydzieści sekund!

Diana otworzyła kolejną szufladę i oczom jej ukazało się plastikowe opakowanie ozdobione złotym napisem „Salceson marynarski – plastry”. „Świetna broń, szkoda tylko, że biologiczna”, przemknęło jej przez głowę i nagle zachciało jej się śmiać, co – jak przypuszczała – oznaczało, że z wolna zaczyna wpadać w histerię.

– Dwadzieścia sekund!

Diana zamknęła szuflady i pociągnęła za rączkę, otwierając znajdujący się pod nimi schowek, po czym błyskawicznie zatkała sobie palcami nos. Chwilę trwało, zanim dotarło do niej, co widzi. Wnętrze schowka prezentowało się jak stojący przez restauracją kontener na śmieci. Było tu wszystko! Napoczęty, oceniając po wyglądzie, bardzo dawno temu kawał, teraz już pleśniejącego, żółtego sera, liczne skórki z chleba, kostka jełczejącego masła, kilka nadgniłych owoców, porastająca czymś zielonym marchewka i parę plasterków konwenującej z nią kolorystycznie wędliny. Pośrodku tego wszystkiego stała wielka szklana miska z poczerniałą ze starości sałatą i kilkoma plasterkami nadgniętego pomidora. Diana poczuła, jak wszystkie spożyte od rana posiłki podchodzą jej do gardła.

– Dziesięć sekund!

Nie namyślając się już ani chwili dłużej, Diana chwyciła szklaną miskę. Wyprostowała się, z ulgą odkrywając, że bandzior nadal stoi do niej tyłem. Ostrożnie wysunęła nogi ze szpilek i bezszelestnie pokonała odległość, dzielącą ją od gabinetu Darka. Wbiegając tam, uniosła miskę najwyżej jak mogła. Dalej wszystko rozegrało się błyskawicznie! Darek spojrzał na nią z zaskoczeniem, bandzior, idąc za jego wzrokiem, odwrócił się dokładnie w tej samej chwili, kiedy Diana, stojąca już prawie przy nim, zamachnęła się miską. Idealnie wycelowana zastawa walnęła bandziora w czoło. Jego jęk został zagłuszony przez huk wystrzału, a potem dźwięk tłuczonego szkła. Zbir osunął się na podłogę. Darek zerwał się z fotela, podbiegł do niego, a następnie wyjął mu z ręki pistolet.

– Nic ci się nie stało?! – krzyknął do Diany.

Oszołomiona sekretarka pokręciła przecząco głową.

– Co tu się działo? – zapytała nieswoim, ochryłym lekko z emocji głosem. – Kim jest ten człowiek?

Darek zastanowił się, czy powiedzieć jej prawdę, a jeśli tak, to czy aby całą.

– Posłaniec od kogoś, komu jestem winny pieniądze – wyjaśnił. – Trzeba będzie się go jakoś stąd pozbyć...

Do Diany z wolna docierała treść jego słów.

– Od kogo? – zapytała, czując, jak z wolna uginają się pod nią nogi. – Kto go tu wysłał?!

– Taki jeden... – mruknął Darek, przyklękając przy nie dającym znaku życia bandziorze. – Mało sympatyczny jegomość. Jego personalia i tak ci wiele nie powiedzą. Chyba za ostro go walnęłaś...

Diana poczuła niepokój. Sama nie wiedziała, czy bardziej za sprawą odkrycia faktu, że Tygrys Złocisty przestał jej najwyraźniej ufać, skoro wysłał tu jakiegoś swojego fagasa, czy też z powodu tego, że mogła przed chwilą tego fagasa zabić.

– Czy on...? – zaczęła z przerażeniem, ale Darek przerwał jej machnięciem ręki.

– Nie, nie, żyje, ale łeb ma rozwalony na cacy – wyjaśnił. – Chyba trzeba go będzie przetransportować do jakiegoś szpitala...

– Zwariowałaś?! – oburzyła się Diana, odzyskując z wolna przytomność umysłu. – I co tam powiemy? Że go walnęłam szklaną misą, bo chciał cię zastrzelić?!

– Niekoniecznie zaraz musimy mówić prawdę – powiedział Darek. – Wymyśli się jakąś bajeczkę, że go znaleźliśmy na ulicy albo w rowie na poboczu...

– To i tak wezwą policję, a ta każe nam zeznawać – powiedziała Diana z niezadowoleniem. – Chyba oboje mamy zbyt dużo na sumieniu, żeby ryzykować...

Darek przez chwilę milczał, rozważając sytuację.

– Masz rację – przyznał wreszcie. – Trzeba go będzie po prostu gdzieś podrzucić i to tam, gdzie nie ma tego cholernego monitoringu, wywalić z samochodu, a potem wykonać anonimowy telefon. Jak do tego czasu nie wykituje, to sprawa powinna się rozejść po kościach...

– Gdzie chcesz go podrzucić? – zapytała Diana.

– Jak najdalej stąd – zastanowił się Darek. – Myślę, że najodpowiedniejsze będą Bielany, akurat druga strona Warszawy. Można go podrzucić gdzieś w Lasku Bielańskim. Zaraz obok niego jest szpital, nawet nie będą musieli daleko jechać.

Chwilę potem kolejny nedorobiony trup rozpoczął swoją drogę do tego mniej więcej samego miejsca, w którym teraz na tylnym siedzeniu innego pojazdu podskakiwał na dziurawych jak sito warszawskich drogach pierwszy niedoszły nieboszczyk...

ROZDZIAŁ XVI

– Za 100 metrów skręć w lewo. Adama Mickiewicza. Potem jedź prosto Adama Mickiewicza – beznamyślnym tonem wygłosiła nawigacja.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała z niezadowoleniem Mary. – Moim zdaniem ta nawigacja ma zapisaną wycieczkę turystyczną dookoła tego cholernego miasta. Na mapie to była jedna prosta linia, a teraz wiecznie każe mi gdzieś skręcać.

– Może trzeba wyłączyć opcję unikania korków – poradziła siedząca obok niej Alma. – Niektóre nawigacje tak mają...

– To sobie wyłącz, proszę cię bardzo – odpowiedziała Mary. – Kurde, trzeba było wziąć tego małego wypierdka, akurat by się przydał do tłumaczenia. Poza tym tu wszędzie, gdzie się nie ruszysz, są korki, zupełnie jak u nas, albo nawet gorzej. Jeszcze przedwczoraj byłam przekonana, że w tym kraju jest wieczna zima, po ulicach biegają niedźwiedzie polarne, a ludzie mieszkają w igloo, ubierają się w skóry i jeżdżą saniami zaprzęgniętymi w alaskany czy tam inne pieski, a tu proszę, jak na Manhattanie w godzinach szczytu. Życie jest pełne niespodzianek!

– Ciekawe, ale jeden z samochodów spadkobierców zmierza w naszą stronę – poinformowała ją Alma, patrząc na małe urządzenie, które na pożegnanie dostały od sprzedawcy. – Od trochę innej strony, ale kieruje się tam, gdzie my. BMW. Może któreś z nich wraca do domu?

– Cudownie byłoby, gdyby byli w nim oboje – rozmarzyła się Mary. – Mogłybyśmy załatwić wszystko za jednym zamachem.

– Moim granatnikiem! – ucieszyła się Alma, odwróciła i pogłaskała znajdujący się pod kocem ukochany sprzęt. – Takie cacuszko nie może się marnować!

– Zdaje się, że już swoje odsłużyło u Ruskich kilkadziesiąt lat temu – przypomniała Mary, pomna opowieści sprzedawcy. – Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja. Jak nie będzie wyjścia, to pozwolę ci użyć tego szatańskiego wynalazku. Choć wolałabym to załatwić bardziej dyskretnie.

– Dyskrecja dyskrecją, a dobry wybuch nie jest zły – powiedziała rozmarzonym głosem Alma. – Poza tym oni chyba są tu przyzwyczajeni do takich akcji. Co parę tygodni mają jakiś zamach terrorystyczny...

– To chyba nie tu... – zastanowiła się Mary. – Tylko w krajach arabskich. Syrii, Egipcie, Iraku i chyba Bułgarii, ale nie jestem pewna... Tu raczej nie załatwia się problemów za pomocą grantów przeciwpancernych. Przynajmniej od drugiej wojny światowej.

– Serio? Ale ostatnio coś było w telewizji o zamachach we Francji... – przypomniała Alma. – To przecież Europa i chyba jakoś za miedzą... Tak mi się wydaje. Kurczę, na lekcjach geografii zamiast słuchać, robiłam pierwsze wytrychy, żeby potem włamać się do pokoju nauczycielskiego i pozmienić sobie stopnie. Ty, słuchaj, a Rosja?

– Co Rosja? – zdziwiła się Mary.

– Rosja jest jakoś blisko... – powiedziała niepewnie Alma. – Tam też są wiecznie

zamachy i chyba wojna.

– To sobie tam pojedź i zaciągnij się do Armii Czerwonej! – zniecierpliwiła się Mary. – Moim zdaniem tutaj jest spokojnie i naszą sprawę też należałoby załatwić po cichu. Wystarczą dwa strzały i po problemie. A ty mi tu będziesz robiła jakieś fajerwerki jak w Dzień Niepodległości. Jeszcze nam takim sposobem ściągniesz na głowę Interpol albo jakąś inną francę.

– No dobrze, już się tak nie złość – uspokajała ją Alma. – Pojedziemy w nocy do lasu i przynajmniej tam sobie wypróbuję to cudo. Licho wie, kiedy trafi mi się znów okazja trzymać coś takiego w rękach...

– Za 100 metrów zjedź drugim zjazdem na rondzie. Zygmunta Krasińskiego. Potem kontynuuj Zygmunta Krasińskiego – ogłosiła nawigacja.

– I popatrz, znowu mamy skręcić – zezłościła się Mary, zerkając na plan trasy. – Zwariuję z tą cholera. Żeby jeszcze wiedziała, co ona mówi! A jak spadkobiercy?

Alma spojrzała na ekranik trzymanego w ręku urządzenia.

– Hmm, oddalają się od nas – powiedziała ze zdziwieniem. – To znaczy, nie tyle oddalają, co jadą zupełnie inną drogą.

– Jeśli wracają do domu, to i tak się spotkamy – zawyrokowała Mary. – Dojadę i rozejrzemy się za jakimś dogodnym miejscem, żeby się na nich zacząić. Tak czy siak, dzisiaj nam nie uciekną...

– Niekoniecznie musiałeś go rzucać na mrowisko – powiedziała Diana z wyrzutem, strząsając z kurtki kilka owadów. – Cała oblażłam!

– Kto mógł wiedzieć, że w środku miasta są mrowiska? – odpowiedział Darek. – Sama przyznasz, że wyglądało to niewinnie i zachęcająco...

Po przedarciu się przez korki, z jakich w godzinach szczytu składa się trasa z Mokotowa na Bielany, i zaparkowaniu na skraju znajdującego się tam lasu, oboje przez kilkanaście minut czekali, aż w polu ich widzenia nie będzie nikogo. Niestety, z reguły wyludniona okolica tym razem zamieniła się w najbardziej oblegane miejsce świata. Poza osobami wyprowadzającymi psy, pojawiło się także kilka zakochanych par, a na koniec cały zastęp harcerski z patyczkami w dłoniach, najwyraźniej skierowany do oczyszczenia tej części miasta ze śmieci.

– Mam ochotę wyjść i nabić tę pindę z warkoczykami na jej kijaszek – powiedziała gniewnie Diana, obserwując, jak rumiana i pulchna harcerka stojąca kilka metrów od ich samochodu, wrzuca kolejne odpadki do plastikowego worka. – No, sio stąd, mała maszkaro...

– Mnie bardziej fascynuje ta pryszczata para, która siedzi na ogrodzeniu – stwierdził Darek. – Popatrz, on przyssał się do niej jakieś dobre pięć minut temu jak jakaś ameba. Cud, że się jeszcze nie udusiła...

– Nie tak dawno też trudno ci się było ode mnie oderwać – przypomniała Diana. – I tak myślę, że skoro już uratowałam ci życie, to mógłbyś mi się czymś odwzajemnić...

– Czym? – zapytał Darek.

– Odrobiną szczerości – powiedziała Diana, nagle czując się straszliwie zmęczona tym wszystkim, co ostatnio się wydarzyło w jej życiu. – To w sumie niezbyt wiele...

– Pytaj, o co chcesz – Darek patrzył na nią uważnie, a w jego oczach wyczytała, że to idealny i może jedyny moment, aby raz a dobrze wszystko się między nimi wyjaśniło.

– Masz mnie już dość, prawda? – zapytała, łudząc się odrobinę, że usłyszy słowa zaprzeczenia, choć rozum podpowiadał jej, że za sprawą takich nadziei dołącza właśnie do grona kretynek, które kantują same siebie, bojąc się postawić właściwą diagnozę swojemu związkowi, choć doskonale znają symptomy toczącej go choroby.

– Tak – głos Darka zabrzmiał ostro i stanowczo. W sumie powinna mu być wdzięczna, że załatwił to krótko i po męsku, bez prób mataczeń i owijania prawdy w bawełnę.

– Od kiedy? – upewniła się tylko po to, aby sprawdzić, czy intuicja jej nie zawiodła.

– Myślę, że już od kilku tygodni – wyjaśnił Darek. – A już na pewno od chwili, kiedy odkryłem twoją uroczą korespondencję.

– Ach, to... – Diana machnęła lekceważąco ręką. – Wiesz, już Marilyn Monroe śpiewała, że to nie mężczyźni a diamenty są najlepszymi przyjaciółmi każdej dziewczyny. Z tym, że ja preferuję gotówkę. Poza tym, jeśli przeczytałeś moje maile, to wiesz, że nie chciałam cię skrzywdzić...

– A, tak – uśmiechnął się Darek. – Czytałem o tej czarującej propozycji pozostawienia mi ochłapów z pańskiego stołu. Przepraszam, ale mam większy apetyt...

– Rozumiem, że się jakoś zabezpieczyłeś? – upewniła się Diana.

– Oczywiście, ale nie jestem na tyle naiwny, żeby ci powiedzieć jak – stwierdził Darek, a na jego twarzy pojawił się ten szelmowski, chłopięcy wyraz, który tak lubiły wszystkie jego partnerki. – W każdym razie, jeśli ten twój Ukrainiec mnie tknie, to po kilku godzinach i tak już będę na wolności.

– A ten bandzior, którego mamy w bagażniku? – Diana postanowiła wyjaśnić wszystko do końca za jednym zamachem. – Kto go na ciebie nasłał?

– Po co ci to wiedzieć? – zaciekawił się Darek. – Mówię ci, że nie znasz...

– Jak zdążyłeś zauważyć mam wiele dziwnych znajomości – przypomniała Diana. – Chcę wiedzieć...

– To Kazik, jeden z podwładnych miejscowego kacyka półświatka, noszącego niewinną ksywkę Tygrys Żłocisty – wyjaśnił Darek.

A jednak! Diana poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz.

– Zbladłaś – zauważył Darek. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wiesz, o kim mówię?!

– Owszem – potwierdziła Diana. – I chyba oboje się nieźle pograżyliśmy. Jak myślisz, skarbie, kto kazał mi się u ciebie zatrudnić?

Darek przez chwilę wybałuszał na nią oczy, po czym gwizdnął z podziwem.

– To skurwiel... – powiedział z podziwem – A co właściwie miałaś robić?

– Kontrolować twoje interesy – wyjaśniła Diana. – Sprawdzać, jak gospodarujesz pożyczonymi od niego pieniędzmi, dać cynk, czy nie planujesz się ulotnić gdzieś na stałe.

Nazwijmy mnie taką jednoosobową Najwyższą Izbą Kontroli...

– A seks? – zaciekawiał się Darek. – Miałaś sprawić, żebym nie wydawał zbyt dużo kasy na dziwki?

Diana opanowała chęć spoliczkowania go.

– Bardzo zabawne... – powiedziała z politowaniem. – Seks wyszedł sam z siebie, nie był zaplanowany...

– E, to jeszcze nie jest ze mną aż tak źle – ucieszył się Darek.

– Jasne, Adonisie, jesteś tak ponętny, że nie sposób utrzymać rąk przy sobie – Diana popukała się w głowę. – Byłeś po prostu tak zdesperowany i namolny, że zaczęłam się obawiać, że jeśli dalej będę ci odmawiała, to albo mnie zwolnisz, albo ci jądra eksplodują. Oba te przypadki nie byłyby mile widziane przez mojego mocodawcę...

– A, szkoda – zmartwił się Darek. – Bo już zacząłem sobie wyobrażać, że jestem nowym wcieleniem Apollina Belwederskiego! Cóż za rozczarowanie... I co teraz?

– Nie wiem, co z tobą, bo Tygrys nie odpuści, znasz go przecież – ostrzegła Diana – ale ja postanowiłam zniknąć na jakiś czas. Nowy adres, nowa tożsamość, nowe papiery. Myślę, że nie będzie mnie szukał. W końcu poza okazaniem małej nielojalności, nic mu nie zrobiłam. A i o tym w sumie nie musi się dowiedzieć. A ty? Masz tę jego kasę?

– Mizerne resztki – przyznał niechętnie Darek. – Sporą część wpakowałem w firmę, ale jak zdałem sobie sprawę, że i tak jej nie uratuję, to resztę wydałem na przyjemności. Jak już mam być bankrutem, to niech chociaż będę bankurtem w nowym BMW. Poza tym sama wiesz, że potem zacząłem już liczyć na to, że spłacę Tygrysa z tego, co dostanę w spadku...

– A po co w takim razie oddałeś mu te dziesięć tysięcy? – zapytała Diana. – Podobno nieźle go to rozsierdziło.

– I o to chodziło! – uśmiechnął się Darek. – Pamiętasz, jakie ostrzeżenie wysłał Tygrys do bozola rolniczego z Grójca? Tego, który wisiał mu kasę za wypożyczenie ludzi do sprzątnięcia konkurencji w przetargu na kontrakt dotyczący produkcji półtuszy świńskich?

Diana popatrzyła na niego ze zrozumieniem i pokiwała głową.

– Porwał jego narzeczoną! – wykrzyknęła. – A potem...

– No właśnie! – potwierdził Darek. – Jak mu mimo to nie zapłacił, to odesłał ją w kilku kawałkach.

– Liczyłeś na to, że to samo zrobi z twoją żoną? – Diana poczuła się lekko wstrząśnięta. – To... nieludzkie!

– Bardziej nieludzkie niż nasze plany? – zdziwił się Darek – Przynajmniej ktoś inny odwaliliby za nas czarną robotę. Ale teraz to i tak już nie ma znaczenia, skoro załatwiliśmy jego człowieka – powiedział powątpiewająco Darek. – A, przy okazji, chyba mamy pustkę na horyzoncie. To, co?

Wysiedli z samochodu i otworzyli bagażnik. Kazik leżał w środku dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ułożyli go kilkadziesiąt minut wcześniej na parkingu, najpierw tłukąc zamontowane tam kamery. Wyjęli go i szybko przenieśli na skraj lasu.

– Tu jest jakieś wzniesienie – powiedział Darek, kiwając głową w stronę alejki

spacerowej. – Możemy go, póki co, ukryć tutaj, żeby ktoś go za wcześnie nie zauważył...

Przenieśli Kazika w upatrzone miejsce i już mieli go tam porzucić, kiedy nagle w dalszej części alejki pokazała się znajoma sylwetka.

– To ta tłusta pinda z patyczkiem! – warknęła Diana – Co ona tu znowu robi? Przecież już wyczyściła ten lasek z każdego pieprzonego papierka, listka i igiełki!

Harcerka zbliżała się do nich w zatrważająco szybkim tempie. Oboje popatrzyli na siebie w panice. Darek zrobił kilka kroków w tył, w stronę dostrzeżonego sekundę wcześniej solidnego kawałka konaru, najwyraźniej urwanego przez jedną z ostatnich nawałnic. Dziewczynka była już prawie przy nich.

– Czuwaj! – krzyknęła z daleka z uśmiechem. – Czy mogłabym w czymś państwu pomóc?

W tym momencie jej wzrok padł na wystające zza wzniesienia męskie nogi.

– O-o, a co tu się stało...? – zapytała zdumiona, po czym po chwili osunęła się nieprzytomna na poszycie leśne, trafiona konarem w potylicę.

– No to możemy to już ogłosić oficjalnie. Będę się smażyć w dziewiątym kręgu piekła razem z Judaszem, Brutusem i Kasjuszem – powiedział Darek, odrzucając konar i otrzepując ręce. – Przenieśmy ją obok Kazika i zwiewajmy stąd. Kurde, cały jestem w mrówkach...

– Ja też – zauważyła ze zdziwieniem Diana, patrząc na swoje buty, po czym nieco uważniej zlustrowała wzorkiem wzniesienie, za którym ułożyli zbira i harcerkę. – Tu jest mrowisko!

– Żartujesz? – powiedział Darek. – Faktycznie... Chyba trzeba ich przenieść...?

– Nie ma czasu – Diana skinęła głową, pokazując mu alejkę, na której końcu pojawiły się kolejne osoby. – Za to na pewno trzeba szybko powiadomić pogotowie.

Darek wyjął z kieszeni telefon, który wraz z kartą kupili po drodze w kiosku. Zwięźle, starając się jak najbardziej zmienić swój głos, poinformował dyżurną na infolinii pogotowia, gdzie jej koledzy znajdą w Lasku Bielańskim dwie nieprzytomne osoby, po czym starannie wytarł telefon i wyrzucił go do kosza na śmieci.

– Gdzie mam cię podrzucić? – zapytał, kiedy już w tempie godnym jazdy do pożaru opuścili okolice Lasku Bielańskiego. – Bo sam muszę pojechać do domu i sprawdzić, czy... Sama wiesz co!

– Czyli nie skasowałeś naszego planu? – zdziwiła się Diana. – Byłam pewna, że skoro zrezygnowałeś ze mnie jako współniczki, to i cały pomysł szlag trafił. Myślisz, że kurier już to dostarczył?

– Powinien... – powiedział Darek. – I jeśli wyszło tak, jak planowaliśmy, to czekają tam na mnie jej zwłoki.

Diana przez chwilę rozważała sytuację.

– To może trzymajmy się ustalonego wcześniej harmonogramu – zaproponowała. – Ty wysiądziesz przed domem i sprawdzisz, jak wygląda sytuacja. A ja wrócę do domu, poczekam na znak od ciebie i jeśli wszystko wyjdzie tak, jak chcieliśmy, załatwię nam alibi. A potem podrzucę ci auto w pobliże domu. Odpalisz mi za to coś z tej swojej

fortuny...

– Mogę ci odpalić tyle, żeby naprawdę starczyło ci na spokojne życie... – powiedział Darek, pierwszy raz od dłuższego czasu czując przyływ sympatii do Diany. Jako niekochanka była całkiem znośna. Przez kilka minut jechali w milczeniu, zbliżając się do osiedla, na którym mieszkali Donkowie.

– A to co za cudactwo?! – zdumiony głos Diany przerwał ciszę. – Jakaś cyrkówka czy co? Chodnikiem, jakieś kilkadziesiąt metrów przed nimi, szła dziwaczna, zwalista postać. Ubrana była w potężną pstrokatą płachtę w jaskrawych kolorach, na nogach miała coś w rodzaju kaloszy w porażającym odblaskowym żółtym odcieniu, na głowie bujne blond loki, których mogłaby jej pozazdrościć nawet Magda Gessler, a w rękach dwa ogromne, konwenujące kolorystycznie z całą resztą zielono-różowe plastikowe wory. W sumie prezentowała się jak słoń, który chwilę temu przez przypadek dostał się do pracowni malarskiej, powywracał wszystkie puszki z farbą, a następnie wytarzał się w ich zawartości.

– To – powiedział Darek głosem, w którym zdziwienie mieszało się z rezygnacją – nie jest żadna cyrkówka. To moja teściowa. Basieńka.

Diana spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Jest poszkodowana na umyśle? – zapytała. – Czy niewidoma?

– Nie. Jest... oryginalna – wyjaśnił Darek. – Lubi się wyróżniać. I kocha kolory...

– Kocha też nimi oślepiac – zawyrokowała Diana. – Jest chyba równie widoczna z kosmosu co Mur Chiński, a może nawet lepiej. Przecież od samego patrzenia na nią można dostać oczopląsu i obłędu. Co robimy?

Darek zatrzymał samochód.

– Przesiadaj się, wykręć w drugą stronę i zniknij z pola widzenia – rozkazał. – A ja się dowiem, co ona tu robi. Obawiam się, że idzie do nas z wizytą, co jest o tyle dziwne, że ponoć miała się źle czuć i leżeć w domu. Coś tu nie gra i może nam pokrzyżować plany...

Wysiadł z samochodu. Diana posłusznie przesiadła się na jego fotel i ruszyła samochodem w stronę, z której przyjechali. Darek popatrzył chwilę za nią, po czym westchnął i, przyspieszając kroku dogonił Basieńkę.

– Dareczek! – ucieszyła się na jego widok teściowa. – Niebiosa mi cię zsyłają! Zapomniałam, jak daleko jest do was od przystanku. Mam wrażenie, że zaraz padnę trupem na zawał.

„Marzenie”, pomyślał Darek.

– To tylko jakieś trzysta metrów – zauważył pocieszająco.

– W moim wieku trzysta metrów to jak droga dookoła świata – powiedziała z wyrzutem Basieńka, która co prawda dobiegała dopiero do sześćdziesiątki, ale zachowywała się tak, jakby miała już sto lat, przeżyła dwie wojny i trzy rewolucje, w tym dwie na barykadach.

– Weź no ode mnie, kochany, te torby...

Darek przejął z jej rąk dwa wory, bez mała uginając się pod ich ciężarem. W środku coś podejrzanie pobrzękiwało.

– A co mamusia tam ma? – zapytał.

– Coś, co bardzo lubisz! – Basieńka obdarzyła go uroczym uśmiechem, zalotnie poprawiając sobie spływające potem loki, co sprawiło, że część z nich przylepiła jej się do czoła, a druga zwinęła się na podobieństwo baranich rogów, nadając jej wygląd wiedźmy z baśni Walta Disneya. – Dżemy, powidła i marmolady! W tym twoje ukochane z mirabelek! Tym razem zrobiłam ich trzy razy więcej niż wcześniej!

Darkowi aż pociemniało przed oczami. Częściowo z powodu wagi niesionych przez siebie worów, a częściowo także na wspomnienie konfitur teściowej. To im w głównej mierze zawdzięczał fakt, że zamiast niedawnego pokazowego kaloryfera miał teraz na brzuchu koło ratunkowe. Te cholerne, przesłodzone mirabelki nie dość, że zanim jeszcze dotarły do żołądka od razu zamieniały się jego zdaniem w tłuszcz, to jeszcze nijak nie dawały się spalić. Niestety, nie umiał pokonać swojej do nich słabości. Niech to szlag, przez tę babę, będzie niebawem przypominał Jabbę z „Gwiezdnych wojen”.

– Bardzo miło z mamy strony – powiedział, łapiąc się na myśli, że ma ochotę zamordować Basieńkę i od razu podrzucić jej zwłoki do Lasku Bielańskiego obok poprzednich dwóch ofiar. – A mamusia się tak w ogóle dobrze czuje?

– Serce mi nawala – Basieńka zrobiła smutną minę. – Wydaje mi się, że w piątek znów miałam zawał. To już szósty w tym roku! Poszłam nawet do tego konowała, mojego lekarza z przychodni, ale ten dureń zaczął mnie wypytywać o dietę. Czy oby ostatnio nie jem zbyt tłusto. No też coś! Wyobrażasz to sobie, Dareczku, ja mu mówię, że miałam zawał, a on mi każe pić dwa litry wody dziennie i unikać smażonego. Ci wszyscy lekarze to skończone nieuki...

Darek potulnie pokiwał głową, nawet nie próbując się z nią wdawać w dyskusję. Basieńka w swoim mniemaniu gotowała najzdrowsze potrawy świata, choć zdecydowana większość z nich z pewnością przyprawiłaby każdego dietetyka o palpacje serca. Zupa jej zdaniem nie była zupą, jeśli wbita w jej środek łyżka nie stała na baczność, ziemniaczki miały swój smak tylko wtedy, gdy zmiksowało się je z toną masła i kilkoma litrami śmietany kremówki, a schabowy nie istniał, jeśli nie zapiekło się go dodatkowo w żółtym serze. Darek już dawno nauczył się przed każdą wizytą u niej łykać na wszelki wypadek rapacholin, a i tak po obiedzie miał wrażenie, że wątroba próbuje w panice wyrwać mu się z ciała i uciec jak najdalej.

– To straszne, tyle zawałów... – potaknął ze współczuciem.

– I kręgosłup mnie wiecznie kłuje – kontynuowała Basieńka. – Poszłam nawet do przychodni na rehabilitację, ale tam trzeba siedzieć na jakimś stole i machać rękami i nogami. No, sam powiedz, czy ja jestem jakąś sikszą, żeby uprawiać gimnastykę artystyczną? Poza tym, właściciel tej przychodni to skończony gbur. Klepie kobiety po tyłkach, stary cap!

– Jak to? – zaciekawiał się Darek, nie mogąc sobie nijak wyobrazić takiego capa, który w celach erotycznych klepnałby, już nawet nie w tyłek, ale w cokolwiek, jego teściową. Musiałby to być jakiś straszliwy zboczeniec o wyjątkowo zwyrodniałym guście.

– Nie pozwala się pochylać – wyjaśniła Basieńka. – Mówi, że trzeba kucać albo przyklękać. Ma na tym punkcie manię. Jak widzi, że ktoś się pochyla, to zachodzi go od

tyłu i daje mu mocnego klapsa. Odważył się tak zrobić nawet jakiejś osiemdziesięcioletniej hrabinie! Akurat przy mnie! Ta biedna staruszka powiedziała potem, że gdyby nie fakt, że dzięki niemu może chodzić bez laski, to jej noga nigdy więcej nie powstałaby w jego przychodni, bo ten gbur ma gorsze maniery nawet od jej stajennych przed wojną.

– To czemu mama tam nie chodzi? – zdziwił się Darek, naciskając przycisk domofonu. – Skoro jest tak skuteczny?

– Nie chcę, żeby mnie po niczym klepał – odpowiedziała z godnością Basieńka. – Poza tym, jeszcze póki co poruszam się o własnych siłach. A ten ból traktuję jak krzyż, który muszę nosić. Każdy z nas ma jakiś swój...

„Jasne, mój nazywa się dżem z mirabelkami”, pomyślał Darek, przyciskając kolejny raz domofon. Niestety, nie doczekał się sygnału oznajmiającego otwieranie drzwi. „Jeśli zaraz natkniemy się na zwłoki Kasi, to dopiero będzie katastrofa. Chociaż z drugiej strony, Basieńka dostarczy mi wtedy rewelacyjnego alibi. O ile faktycznie nie kojfnie na zawał...”, myślał Darek. Z lekkim niepokojem wstukał kod, otworzył drzwi, przepuścił Basieńkę przed siebie, po czym już pod mieszkaniem, odłożył jeden z worów i wyciągnął z kieszeni klucze.

– To Kasi nie ma w domu? – zdumiała się Basieńka.

– No, właśnie sam się dziwię – powiedział Darek, przekręcając klucz w zamku, otwierając drzwi i podnosząc cholerny, ważący chyba ze trzy tony wór. – Zapraszam do środka. A pytałem o zdrowie, bo Kasia coś wspominała, że mama coś słabuje i że chciałyby jechać na weekend, żeby się mamą zaopiekować...

Basieńka zrobiła duże oczy.

– O niczym takim nie... – zaczęła, po czym, pomna własnych wymówek sprzed kilku lat, kiedy to zdradzała swojego męża z przystojnym majorem z Pruszkowa, szybko dodała: – To znaczy, możliwe, że chciała mi zrobić niespodziankę. Jak tak teraz myślę, to wydaje mi się, że faktycznie coś o tym wspominała. Mam ostatnio taką sklerozę...

„Yhm, i zapomniała mama, że jest tak chora, że ledwo co rusza się z łóżka”, pomyślał zgryźliwie Darek.

– Kasia? – krzyknął na wszelki wypadek, choć wiedział, że skoro drzwi zamknięte były na dwa zamki, to oznaczało, że jego żony nie ma w domu. Gdyby była, zamknęłaby się zwyczajowo tylko na jeden.

– Tak, tak, na pewno byłyśmy umówione! – perorowała dalej Basieńka. – Sama nie wiem, po co wiozłam wam te wszystkie słoje. I to jeszcze z moim kręgosłupem! Chyba już mnie dopadła demencja starcza. Mogłam je dać Kasieńce, skoro miała do mnie przyjechać.

Oczyrna duszy Darek wyobraził sobie z miejsca scenę, jak jego, objuczona przez swoją matkę konfiturami, żona ugina się pod ciężarem tachanych przez siebie specjałów, po czym próbując je przenieść, doznaje z wysiłku udaru, wylewu, zawału albo jakiejś tam innej śmiertelnej przypadłości, w wyniku której ginie na środku chodnika, przywalona toną dżemów z mirabelek. Wizja była na tyle kusząca, że przez chwilę Darek rozważał, czy nie wymyślić czegoś, aby zapakować teściową razem z całym tym majdanem do samochodu i nie odwieźć z powrotem do domu. Jedyne, co go powstrzymało przed

realizacją tej myśli, to trzeźwa konstatacja, że jego samochód odjechał właśnie kilka chwil temu w stronę dal wraz z Dianą.

– Ojejku! – okrzyk Basieński wyrwał go z zamyślenia. – To nie może tak leżeć!

Darek potoczył wzrokiem za palcem teściowej, która z oburzoną miną pokazywała na walające się po przedpokoju tekturowe pudła, wypełnione po brzegi konfiturami, które dostarczyła im kilka miesięcy wcześniej.

– Och, przepraszam... – powiedział ze skruchą. – Przeprowadzka, potem remont, nie mieliśmy kiedy ich zjeść...

– Ja to wszystko rozumiem – odpowiedziała Basieńka – ale to nie może leżeć w takiej temperaturze. Przecież tu jest ciepło! To, co nie spleśnieje, to się scukrzy! Trzeba to natychmiast przenieść...

– Owszem, miałem się tym zająć w weekend – przypomniał sobie Darek. – Obiecałem Kasi, że zrobię w piwnicy półki, na których to postawi. W piwnicy zawsze jest chłodniej, idealne warunki dla mamusinych delicji...

– Już ty mnie nie bierze pod włos! – fuknęła Basieńka, szalenie zadowolona, że wykrycie niewybaczalnej zbrodni dokonanej na jej przetworach usunęło w cień kwestie tego, czemu nie pamięta, że była umówiona z córką. – To nie może leżeć i czekać w nieskończoność. Półki półkami, a konfitury muszą przez cały czas leżeć w chłodzie. Przenieśmy je natychmiast!

Ostatnie, czego chciało się teraz Darkowi, to kicać po piętrach z ciężarami niczym jakiemuś osiołkowi w greckim miasteczku, ale wzrok teściowej nie pozostawił mu żadnych wątpliwości, co do tego, w jaki sposób oboje spędzą kolejnych kilkadziesiąt minut.

– Oczywiście, jak mamusia chce – przytaknął. – Może jednak najpierw trochę odpoczniemy, zrobię kawę albo herbatę, a potem...

– Żadne potem! – przerwała mu stanowczo Basieńka. – Jak już usiądę na tej waszej kanapie, to nie będzie mi się chciało ruszyć. Za wygodna jest! Kawkę możesz zrobić, czemu nie? A ja zacznę powoli już znosić słoiki do piwnicy...

– A nie będzie mamusi... – zaczął Darek, ale teściowa znowu nie dopuściła go do głosu.

– Za ciężko? Nie, nie! Przełożę sobie po kilka do reklamówki – poinformowała. – A jak już przygotujesz kawę, to do mnie dołączysz i dokończymy razem. Akurat mi wystygnie. Wiesz przecież, że nie cierpię gorącej kawy...

Darek znał Basieńkę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że dyskusja z nią nie ma większego sensu. Z rezygnacją popatrzył, jak teściowa sięga po jedną z leżących na przedpokojowej szafce reklamówek, wytrząsa z niej starannie układane przez niego wczoraj przez kilka godzin w kolejności chronologicznej dokumenty, czyniąc z nich niemożliwy do ogarnięcia śmietnik, po czym zapełnia ją słoikami. Hamując cisnące mu się na usta niekoniecznie kulturalne słowa, machnął na to ręką i przeszedł do kuchni, skąd zobaczył, jak jego teściowa przechodzi przez korytarz, a następnie otwiera kłapę, prowadzącą do piwnicy. Chwilę potem Basieńka stanęła na pierwszym schodku...

ROZDZIAŁ XVII

Od chwili, kiedy zobaczyła radiowóz, zaparkowany za samochodem Danusi, i policjanta stojącego przy jej drzwiach, Kasia straciła zdolność logicznego myślenia. Na pewno je śledzili! A teraz z pewnością aresztują i wrzucą do jakiegoś ciemnego, pełnego szczurów lochu! Czując już bez mała, jak na jej rękach zaciskają się kajdanki i widząc w duchu siebie, ogoloną na łyso i ubraną w łachmany, prowadzoną bliżej nieznaną ulicą wśród krwiożerczo nastawionej gawiedzi, skandującej „Morderczyni! Morderczyni!” na podwyższenie, na którym stoi zakapturzony kat z ogromnym toporem, mający za moment jednym ciosem sprawić, że jej głowa oddzieli się od reszty kadłuba, wpadła w niemożliwą do opanowania panikę. O nie! Za nic nie chce skończyć jak Maria Antonina, tym bardziej, że podobnie jak ona nic złego nie zrobiła! To nie jej wina, że jakiemuś imbecylovi zachciało się włamywać, a potem zażywać kąpieli akurat w najmniej ku temu stosownym momencie. Przez chwilę jeszcze z narastającym przerażeniem patrzyła, jak policjant pochyła się nad oknem Danusi, po czym przestała walczyć ze swoim instynktem. A ten nakazywał jej tylko jedno: uciekać. Długą chwilę zajęło jej wcielenie tego rozkazu w życie, bo jej dolne kończyny przestały zniechęcać reagować na wszelkie bodźce. Zamieniły się w granit, marmur czy jakąś tam inną niemożliwą do ruszenia skałę. Kasia z wysiłkiem zrobiła jeden krok, mając wrażenie, że porusza się w zastygającym cemencie. Drugi już był łatwiejszy, trzeci wyszedł całkiem sprawnie. Kasia jeszcze raz spojrzała w stronę samochodu Danusi, odnotowała, że jej przyjaciółka rusza, najpewniej od razu na komisariat, wnosząc po tym, że jest eskortowana przez radiowóz, po czym zaczęła biec. Tak szybko, jak tylko umiała...

– I co? – Mary przechyliła się na drążkiem do zmiany biegów, zaglądając Almie przez ramię. – Ile jeszcze go od nas dzieli? Mogę już odbezpieczyć mojego gloczka?

Alma miała niezdecydowaną minę.

– Wygląda na to, że się rozmyślili i wracają – powiedziała, patrząc na ekranik. – Dojechali już prawie do nas, po czy nagle zrobili w tył zwrot...

– Może nas zobaczyli? – zapytała Mary.

– I co? Domyślili się, że czekamy tu, żeby ich wysłać na tamten świat? – powiedziała z irytacją Alma. – Akurat mieli atak jasnowidzenia? Weź się i puknij w czoło!

– No to sama nie wiem, co robić. Oni są jacyś nielogiczni... – zastanowiła się Mary. – O matko, popatrz na to coś...

Przez chwilę razem z Almą kontemplowały zjawisko, które przedefilowało im tuż przed maską.

– Kto to był do licha ciężkiego?! – powiedziała oszołomiona nieco Mary.

– Powiedziałabym, że Whoopi Goldberg – odpowiedziała równie zdziwiona Alma. – Gdyby nie fakt, że nie jest czarna i ma blond loki. A już myślałam, że w tym kraju

ubieranie się w inne kolory niż czarny, granatowy i szary jest karane dożywociem! Zauważyłaś? Tu wszyscy chodzą ubrani, jakby byli w żałobie...

– Jak widać, są i szokujące wyjątki – stwierdziła Mary, po czym trochę się ożywiła. – Słuchaj, popatrz, gdzie oni wchodzą!

Oryginalna niewiasta i jej objuczony worami towarzysz stanęli przed blokiem, który od ponad godziny obserwowali, po czym zniknęli w środku.

– Myślisz, że to ci spadkobiercy? – zapytała Alma. – On jak on, nie zdążyłam nawet mu się przyjrzeć, ale ona chyba była na zdjęciach nieco szczuplejsza?

– Może coś zjadła... – powiedziała Mary, czując, że jej wypowiedź nie ma zbyt dużego sensu.

Alma spojrzała na nią dziwnie.

– Chyba bawoła indyjskiego – mruknęła. – I to w całości, z kopytami i porożem. Zwariowałaś?!

– Nie, to chyba jednak nie oni – zastanowiła się Mary. – Już mam po dziurki w nosie stania w tej uliczce. Może jednak ruszymy za tym samochodem. Znamy numer rejestracyjny, wiemy, że to beemka i dokąd jedzie. Niby tu na tej zapomnianej przez wszystkich uliczce byłoby łatwiej, a i świadka żadnego, ale może ta beemka też wjedzie gdzieś, gdzie nikogo nie ma...

– A mi się marzy jakaś duża eksplozja – oznajmiła rozanielonym głosem Alma. – Takie duże bum! Nawet i w publicznym miejscu. Zawsze, gdy oglądam filmy, w których są wybuchy, to żałuję, że sama nie mogę tak w kogoś przycelować...

– Powinnaś się zgłosić na casting do „Mission: Impossible” – poradziła Mary, patrząc na nią z politowaniem. – Tam są same wybuchy...

– Mogłabym – potwierdziła Alma – ale bałabym się, że mnie ten nawiedzony karzeł wciągnie do sekty...

– Tom? – upewniła się Mary. – Podobno wciąga tylko miliarderów. Póki co, jeszcze tyle nie nakradłyśmy. A nawet do tych groszy, co je buchnęłyśmy, nie mamy dostępu. Byłabyś dla niego bezużyteczna jako bankomat. A poza tym on jest ponoć bardzo sympatyczny.

– Może i sympatyczny, ale wzrostu siedzącego psa. I białas! – zaoponowała Alma, dla której mężczyzną marzeń był Dennis Rodman. – Co ja bym robiła z takim metr pięćdziesiąt w kapeluszu? Chyba pół nocy szukała go w łóżku...

– Oj, tam – mruknęła Mary, która z kolei uwielbiała filigranowych facetów w stylu Jareda Leto albo Reeve’a Carneya. – Za to potem przez resztę nocy masz więcej miejsca dla siebie. Już nie przesadzaj! Z Toma kawał faceta. Wzrost nadrabia klata...

– Tia, i wygląda jak kwadrat – nie dała się przekonać Alma. – Ruszajmy stąd i po drodze kupmy coś do picia. Myślisz, że tu mają coca-colę?

– W hotelu mieli – przypomniała Mary. – Zresztą podobno jeden alpinista, jak się wdrapał na szczyt któregoś tam z ośmiotysięczników, to pierwsze, co zauważył to puszkę coca-coli. Skoro jest tam, to musi być i tu.

– A co puszką coca-coli robiła na ośmiotysięczniku? – zdziwiła się Alma. – I jak się tam znalazła?!

– Zamarzła na amen i ten alpinista musiał ją podgrzewać na palniku – Mary postanowiła odpowiedzieć po kolei. – I nie wiem. Może ją zrzucili z samolotu? A może jakiś poprzedni alpinista ją zostawił. Co cię to obchodzi? To jak? Jedziemy czy nie?

– Jedziemy – rozstrzygnęła stanowczo Alma. – Wiem, że stoimy tu dopiero kwadrans, ale już mam dość. Licho wie, dokąd ci spadkobiercy pojechali i kiedy wrócą. Nie mamy w zapasie miesiąca, żeby na nich czekać.

– Dobrze – Mary odpaliła silnik. – To dokąd mam jechać?

Alma pochyliła się nad ekranikiem i podała jej instrukcje. Mary westchnęła i ruszyła we wskazanym przez nią kierunku...

Dokładnie w tym samym momencie, kiedy samochód z siostrami ruszył w stronę Lasku Bielańskiego, zziajana Kasia pojawiła się na rogu swojej ulicy. Choć pokonała zaledwie trzy kilometry, czuła się tak, jakby miała za sobą maraton. A nawet dwa! Serce biło jej jak oszalałe, pot spływał strumieniami po plecach, a przed oczami latały mroczki. Nie miała jednak czasu. Na pewno Danusia, którą teraz jak nic przypalają i łamią kołem na komisariacie, wydała ją już jako swoją współpracowniczkę. Jaką tam współpracowniczkę?! Prowodyrkę, zbrodniarkę, lady Macbeth! Ma więc tylko chwilę, żeby pojawić się w mieszkaniu, zapakować najważniejsze rzeczy, wziąć paszport i nawiać. Wszystko jedno dokąd, byle dalej od Polski! Na przykład do Niemiec, a stamtąd gdzieś, gdzie z reguły uciekają kryminaliści. Może do Szwajcarii, która nie dość, że graniczy z Niemcami, to jeszcze chyba jest neutralna i nie ma z nikim umowy o ekstradycję. Albo jeszcze dalej... Zanim wydadzą za nią międzynarodowy list gończy, z pewnością minie trochę czasu. Może zresztą ten kudłaty chłopak przeżyje i dadzą jej spokój. Nidoszłych morderców chyba nie ganiają aż tak wytrwale...? Kasia zrobiła kilka kroków w stronę swojego bloku, po czym przystanęła, rozglądając się uważnie, czy aby nie jest on obstawiony tajniakami. Popatrzyła też w górę, żeby zobaczyć, czy na dachach sąsiednich budynków nie kryją się czekający na nią snajperzy. Nikogo nie wypatrzyła, co ją odrobinę uspokoiło. Minął ją jedynie jakiś pojazd z dwiema, niezbyt podejrzanie wyglądającymi, kobietami w środku. Czyli policja jeszcze tu nie dotarła... Widać Danusia mężnie znosi wrywanie paznokci, podtapianie i prezentowanie jej w ramach tortur zdjęć Rafała Maślaka z czasów, kiedy nie był jeszcze misterem Polski, i póki co jej nie wydała. Kasia odetchnęła i zrobiła kolejnych kilka kroków, odnotowując z lekkim zdziwieniem, że w jej mieszkaniu pali się światło. Czyżby mąż tak wcześnie wrócił?! A może w środku buszują już policjanci, zabezpieczając ślady jej zbrodni? Wchodzić czy uciec? W końcu zamiast w Zurichu, może się ukryć na Dworcu Centralnym. Bezdomni żyją tam latami, to i ona by mogła...

– Z drogi!!! – okrzyk za nią spowodował, że o mało nie dostała ataku serca. – Gdzie łazisz debilko!!!

Rowerzysta wyminął ją w ostatniej chwili. Faktycznie, szła po pasie przeznaczonym dla pojazdów na dwóch kółkach. Skaranie boskie z tymi rowerzystami! Już nie mają, kiedy jeździć, tylko wtedy, gdy ona jest taka zdenerwowana! Któryś minister miał rację, gdy

powiedział, że rowerzyści to przyczyna wszelkich nieszczęść w naszym kraju. Niech sobie jeżdżą, ale nie wtedy, kiedy ona akurat tędy przechodzi. Kasia zbliżyła się do drzwi wejściowych. Oglądając się co i rusz za siebie, wbiła kod i pchnęła drzwi. Przed swoim mieszkaniem wzięła kilka głębszych oddechów. „Raz kozie śmierć”, pomyślała i nacisnęła klamkę. W domu panowała cisza i nic nie wskazywało na to, żeby grasowało tu stado stróżów prawa. Kasia poczuła lekką ulgę. Zamknęła za sobą drzwi, weszła do salonu i opadła na kanapę, czując, że na razie nie ma siły wykonać żadnego ruchu. Z piętra dobiegły ją odgłosy, wskazujące na to, że mąż jednak wrócił. Kasia zaczęła się zastanawiać, jak mam mu wytłumaczyć rumowisko w łazience. Powiedzieć całą prawdę? Odpada. Przecież nie przyzna się, że chciała go wysłać na tamten świat! Trzeba będzie jakoś dyplomatycznie skłamać. Tylko jak...?

– Katarzyna! – głos męża wyrwał ją z zamyślenia. – Gdzie cię wyniosło?

Darek stał w drzwiach kuchni i patrzył na nią pytająco.

– Byłam... – Kasia przez chwilę rozważała, jak odpowiedzieć. – Z Danusią na zakupach!

– Na zakupach? – mąż popatrzył na nią podejrzliwie. – Przecież robiliśmy zakupy na cały tydzień dwa dni temu. Szpilki do lodówki nie wciśniesz.

– Na babskich zakupach – sprecyzowała Kasia. – Tobie zawsze słowo zakupy kojarzy się tylko z żarciem. Typowe!

– I co kupiłyście? – zaciekawiał się Darek.

„Nigdy go to nie ciekawi, a teraz oczywiście musi”, pomyślała z rozpaczą Kasia.

– Oj, no popatrz – spróbowała udąć zaskoczenie, ale chyba nie wyszło jej to najlepiej. – Zagadałyśmy się w drodze powrotnej i zostawiłam torby w bagażniku w wozie Danusi. Będę je musiała jutro odebrać.

Mąż nadal patrzył na nią wzrokiem, który zdawał się ją przewiercać na wylot. Kasia zniecierpliwiona poczuła, że jakimś cudem dowiedział się o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin, i teraz poddaje ją jakiemuś testowi. Nie, to niemożliwe! A poza tym, skoro już zaczęła się rozmijać z prawdą, to musi być konsekwentna.

– Myślałem, że robiłaś zakupy dla mamusi na jutro – podsunął mąż zachęcająco. – Żeby już potem nie musieć. W soboty z rana w supermarketach zawsze są tłumy i rozgrywają się dantejskie sceny...

Mamusia! Jak mogła o niej zapomnieć! „Chyba z tego wszystkie mam już zaćmienie umysłu...”, pomyślała Kasia.

– Tak, tak, masz rację – potaknęła. – Dla mamusi też kupiłam parę rzeczy...

– To doskonale się składa – powiedział Darek, uśmiechając się szeroko. – Będiesz mogła jej szybko powiedzieć jakie, żebyście się nie zdublowały. Tak się składa, że mamusia jest właśnie naszym gościem.

Do Kasi sens ostatnich słów nie dotarł od razu.

– Gościem? – powtórzyła – Ale gdzie?

– Tu – wyjaśnił mąż, nie przestając się uśmiechać. – W naszym domu.

Kasia wgapiła się w męża niczym sroka w wyjątkowo okazały gnat, nie za bardzo wiedząc, jak zareagować na jego słowa.

– Jak to w naszym domu? – znów powtórzyła, po czym rozejrzała się dokoła, jakby mamusia była duchem, którego z niewiadomych przyczyn widzi tylko jej mąż. – Przecież jej tu nie ma!

– Owszem, jest – wyjaśnił Darek. – Przywiozła nowe słoiki z dżemami i właśnie rozkłada je w piwnicy razem z tymi, które tu już były. Chciałem jej ten pomysł wybić z głowy, ale wiesz, że z nią nie ma dyskusji. Powiedziała, że musi to zrobić, bo inaczej zawartość słoików trafi szlag. Ciekawe, czemu siedzi w tej piwnicy tak cicho. Już od dłuższego czasu nie słyszałem jej tutaj...

Kasia zdawała sobie sprawę z tego, że jej mąż mówi jakieś straszne rzeczy, ale jej umysł przez długą chwilę bronił się przed przyswojeniem sobie całej prawdy. Kiedy wreszcie się poddał, Kasia zerwała się z kanapy na równe nogi. Piwnica! Spróchniałe schodki! Pułapka! Mamusia nabita na halabardę! A może dzidę? Cholera wie, co to jest. I w ogóle to nie jest ważne! Ważne, że w piwnicy czeka na nich krwawa miazga! Ratunku!

Czując, że z wolna zaczyna tracić panowanie nad sobą, a na oczy nachodzi jej czerwona mgła, Kasia jak błyskawica przemierzyła odległość, dzielącą ją od zejścia do piwnicy. Kłapa była otwarta, a w środku panował mrok. Cholerne schody lekko zakręcały i nie widać ich było w całości z góry, zwłaszcza przy tak lichawym oświetleniu. Kasia klęknęła przy klapie i wsadziła głowę do środka.

– Mamusiu!!! – krzyknęła straszliwym głosem. – Mamusia żyje?!!!

– Dlaczego miałyby nie żyć? – zdziwił się Darek, dochodząc do niej z wolna. – No, chyba że spróbowała któregoś ze swoich dżemów...

„Zwierzę”, pomyślała Kasia.

– Mamusiu!!! – ponowiła okrzyk. Niestety, dziura nie raczyła odpowiedzieć. Kasia spojrzała na męża z rozpaczą w oczach. – Pomóż mi!!!

– Ale niby co mam zrobić? – zaciekawił się Darek. – Mamy wrzeszczeć na dwa głosy? Co to niby ma być, dumka na dwa serca?! Zresztą, radzisz sobie sama z tymi okrzykami całkiem nieźle. Moim zdaniem słyhać cię nawet za granicą...

Kasia poczuła, że traci panowanie nad sobą.

– Mamusi na pewno coś się stało – jęknęła rozpaczliwie. – Przecież słyszysz, że nie daję znaku życia!

– Może nic do niej nie dociera przez te jej loki? – zastanowił się Darek. – Taki gąszcz kłaków musi działać lepiej niż stopery do uszu...

– Sam jesteś kłak! – zezłościła się Kasia i z determinacją stanęła na pierwszym schodku. – Lepiej idź po jakąś latarkę i mi tu poświeć. Mamusia mogła sobie skrócić kark w tych ciemnościach.

„Tia. Jakby marzenia tak łatwo się spełniały”, pomyślał Darek, ale grzecznie poszedł do przedpokoju i wyciągnął z szafki latarkę. Był już prawie w połowie drogi powrotnej, kiedy z dziury wydobył się krótki, acz mrozący krew w żyłach krzyk. Przyspieszył kroku i wszedł do piwnicy, oświetlając schodki latarką. Po kilku stopniach zobaczył dość zaskakujący obrazek, a mianowicie górną połowę kadłuba swojej teściowej, leżącą na jednym ze schodków. W pierwszym momencie przyszło mu do głowy, że z niewiadomych

przyczyn jego małżonka zwariowała, przecięła swoją rodzicielkę piłą i z dolną częścią jej zwłok gdzieś uciekła, ale po chwili zrozumiał, co ma przed oczami. Pod Basieńką najwyraźniej zarwał się jeden ze schodków, powodując, że połowa jej ciała wpadła do środka, a druga utknęła na zewnątrz. Nie było w tym w sumie nic specjalnie dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że większość trzydziestokilogramowej nadwagi jego teściowej umiejscowiona była w jej talii i biuście. Takie koło ratunkowe uchroniło ją najwyraźniej przed runięciem w dół, zatrzymując w połowie. Tym niemniej widok nadal był mocno szokujący. Darek pokonał jeszcze kilka schodków i stanął tuż nad Basieńką. Kucnął i lekko nią potrząsnął. Bez żadnego efektu.

– Nie ruszaj jej! – usłyszał przed sobą gniewny głos żony. – Chyba straciła przytomność. Ale żyje, sprawdziłam przed chwilą. Trzeba wezwać pogotowie.

W tym momencie Basieńka wydała z siebie lekki jęk.

– Nie wiadomo, czy czegoś sobie nie złamała... – dokończyła Kasia, która nieco wcześniej w błyskawicznym tempie pokonała wte i wewte resztę schodków, upewniając się ku swojej ogromnej uldze, że mamusia jest cała i nie robi konkurencji rożnowi. Na szczęście była o kilkadziesiąt centymetrów niższa od Darka, a w dodatku się zaklinowała i dzida nic złego jej nie zrobiła. Mężowi, który z pewnością przeleciałby na wylot przez schodek, nie przeszłoby tak ulgowo. Nabiłby się na dzidę niczym Tuhajbejowicz na pal. Na wszelki wypadek Kasia od razu przesunęła całą swoją misternie skonstruowaną pułapkę w jak najdalszy kąt.

– Gdzie ja jestem? – zapytała półprzytomnie Basieńka. – Co się stało?

– Niech mamusia nic nie mówi – rozkazał Darek. – Wpadła mamusia w schody.

– No co też ty bredzisz?! – zdziwiła się coraz bardziej świadoma Basieńka. – W jakie schody?! Niewygodnie mi! Wyciągnijcie mnie stąd!

– A na pewno mamusia się dobrze czuje? – upewnił się Darek. – Nic nie boli? Czuje mamusia ręce i nogi?

– Wszystko czuję – zapewniła Basieńka stanowczo. – Na czele z tym, że w tyłek wbija mi się jakaś drzazga. Wyciągnijcie mnie do stu piorunów!

– Dobrze, dobrze, spokojnie... Ja pchnę mamusię do góry od dołu – zaproponowała Kasia – A ty ją złap pod ramiona i podnieś!

Darek próbował wykonać polecenie, ale nie wyszło mu to najlepiej. Muśliny i jedwabie, składające się na kreację Basieńki, były cholernie śliskie i teściowa wymusnęła mu się z rąk akurat w tym momencie, kiedy z wydatną pomocą Kasi lekko unieśli ją do góry. Widząc, że traci kontrolę nad Basieńką, Darek odruchowo w pierwszej chwili chciał ją chwycić za głowę. Przypomniał sobie jednak kurs udzielania pierwszej pomocy, jaki niedawno przechodził. „Nigdy nie należy nikogo szarpać za głowę, bo można spowodować trwałe uraz kręgosłupa szyjnego”, zabrzmiał mu w uszach głos instruktora. Pomny tego zakazu, Darek cofnął ręce, trafiając idealnie na moment, gdy Kasia, pewna, że mąż trzyma mamę w objęciach, przestała ją asekurować od dołu. Nietrzymana takim sposobem przez nikogo Basieńka znów całym ciężarem runęła na schodek, który tym razem postanowił się definitywnie poddać i zarwać. Widząc, jak jego teściowa leci w dół,

Darek automatycznie chciał ją chwycić już za cokolwiek się tylko dało.

Średnio głośny upadek Basieński na piwniczną podłogę został całkowicie zagłuszony przez histeryczny ryk Darka.

– Oskalpowałem mamusię!!! – brzmiała treść ryku. – O nie!!! Ratunku!!!

Kasia spojrzała w górę i aż się zachłysnęła z przerażenia. Jej mąż trzymał w garści jakąś straszliwą ilość blond loków. Potrzeba było dłuższej chwili, żeby Kasia zorientowała się w sytuacji.

– Zamknij się jak rany!!! – wrzasnęła do wciąż wydającego z siebie histeryczne kwiki męża. – Nikogo nie oskalpowałeś!!! To są doczepy!!!

Darek zamarł w pół okrzyku i ze zdumieniem obejrzał to, co trzymał w ręku.

– Lepiej zejdz tu i mi poświęć – powiedziała Kasia. – I przestań się wgapiać w te kłaki. To nawet nie prawdziwe włosy, tylko włókno szklane. Weź je gdzieś wywal. Mamusia ma ich w domu pod dostatkiem, kupiła sobie w chińskiej hurtowni po pięć zeta za pukiel, to sobie potem znów jakieś doczepi...

Zdumiony Darek, czując, że nie stać go w tej chwili na żaden komentarz dotyczący oryginalnego owłosienia teściowej, machnął trzymane przez siebie chińskie loki w kąt i grzecznie zszedł na dół. Basieńka znów straciła przytomność, ale na szczęście oddychała i nie wyglądało na to, żeby stało jej się coś bardzo groźnego. Kasia w duchu pogratulowała sobie przebłysku intuicji, który nakazał jej usunąć spod schodów pułapkę.

– Teraz to już na pewno trzeba zadzwonić po pogotowie... – powiedziała zrezygnowanym głosem.

Kwadrans później spod domu Donków ruszyła karetka na sygnale. W środku poza personelem medycznym znajdowały się dwie kobiety. Starsza, nieprzytomna, została podłączona do respiratora. Młodsza, jak najbardziej przytomna, dumiała zaś, jak wyplątać się z tego wszystkiego, co nakręciła wcześniej tego dnia. I niestety, nie przychodziło jej do głowy nic poza myślą, że akurat w tym momencie chętnie zamieniłaby się ze swoją rodzicielką na miejsca...

ROZDZIAŁ XVIII

Leżący na łóżku w hotelowym pokoju Patrick usiłował zrelaksować się oglądaniem programów serwowanych mu przez telewizję. Niestety, nie znalazł ani jednego kanału, który by mu w tym pomógł. Na pierwszym, który włączył, jakaś pani, której kompletnie nieruchoma twarz przez kilkanaście minut nie wyraziła żadnego uczucia, doradzała innym kobietom, jak zamienić skutecznie swoje życie. Po metamorfozach, polegających głównie na kupieniu sobie przez owe nieszczęsnice kwiecistych kiecek oraz błyszcząca i pudru, po użyciu których to panie prezentowały się jak sfatygowane córki Koryntu, rzucały się one na szyję prowadzącej ze szlochem: „Teraz już naprawdę wiem, jak żyć!”. Na drugim kanale kilku – jak to określił lektor – prawdziwych mężczyzn, w większości ze sporymi brakami w uzębieniu i ubranych tak, jakby swoje ciuchy znaleźli parę minut wcześniej na śmietniku i w związku z tym nawet nie zdążyli ich jeszcze wyprać, szukało przez portale randkowe wybranek swego serca, częstując zapoznane takim sposobem kandydatki tekstami w stylu: „Mam dwa hektary, ciągnik i kilka świnek, więc będę umiał o ciebie zadbać”, sens której to myśli stanowił dla Patricka nieodgadnioną tajemnicę. Wreszcie na kanale trzecim równie zażywna, co furiatyczna blondyna rzucała brudnymi garami po kuchni, wrzeszcząc na wgapiające się w nią z przerażeniem w oczach starsze kobiety, że trują ludzi. Po czym dokonała czegoś, co sama nazwała rewolucją, a co polegało na zamianie całkiem przytulnie prezentującego się wnętrza restauracji w coś w rodzaju połączenia ogrodu botanicznego ze skansenem ludowym. Na koniec zaś cała radosna jak transwestyta na paradzie miłości zaserwowała gościom jakąś dziwną breję, którą szumnie nazwała „przepyszny krem z białych warzyw”, a na widok której Patrickowi zrobiło się niedobrze, bo skojarzył mu się z wmuszaną mu przez pół dzieciństwa zupą mleczną z lanymi kluskami. Czując, jak spożyta niedawno w hotelowej restauracji lasagne podchodzi mu pod przętyk, i mając dość wrażeń wizualnych, Patryk wyłączył telewizor i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w sufit. Wreszcie przypomniał sobie, że od czegoś takiego skazańcy w celach dostają w ekspresowym tempie pomieszczenia zmysłów, wstał więc i podszedł do okna, skąd rozciągał się widok na Śródmieście. Świadomość, że gdzieś tam, być może nawet w zasięgu jego wzorku, te upiorne wywłoki, które od kilkunastu miesięcy znał jako cichutkie i pokorniutkie zakonnice, próbują właśnie zamordować dwoje niewinnych ludzi, nie dawała mu spokoju. Patryk nie był święty, często ulegał swoim słabościom i szedł na daleko idące kompromisy z życiem, ale z drugiej strony nie miał też duszy kryminalisty. Gdyby tylko był bardziej religijny, z pewnością pomodliłby się teraz o to, aby wydarzyło się coś, co zmieniłoby plany jego towarzyszek...

Dźwięk dzwonka komórki wyrwał go z zamyślenia. Patrick rzucił okiem na wyświetlacz i lekko się zdziwił.

– Tak, wujku? – powiedział.

– No, jak tam w kraju? – głos Adama wskazywał na to, że ten dopiero niedawno się

obudził. – Dojechaliście już na miejsce? Wszystko w porządku?

Patrick przez moment miał ochotę powiedzieć mu prawdę, ale – pomny gróźb swoich towarzyszek – szybko wyrzucił tę pokusę z głowy.

– Tak, wszystko w porządku – potwierdził. – Jesteśmy jeszcze w drodze, ale cel już bliski.

– Podejrzewam, że straszliwie się nudzisz w towarzystwie sióstr – powiedział ze współczuciem wuj. – Pewnie przez cały czas się tylko modlą.

– Prawie przez cały... – westchnął potakująco Patrick, wznosząc oczy do góry.

– Kochane siostry – skwitował ksiądz. – Kiedy oświadczyły mi, że chcą jechać do Polski, mojego ojczystego kraju, żeby tam pomodlić się o pomyślność naszej parafii, poczułem, że to znak. Modlitwa niewinnych, czystych duszyczek zawsze pomaga...

– Niewątpliwie – zgodził się Patrick. – Zwłaszcza tak niewinnych sióstr jak nasze.

Adam nie wychwycił w jego głosie ironii.

– I wyobraź sobie, że jeszcze nie dojechały, a ich modły zostały już być może wysłuchane! – oświadczył Adam.

– Jak to?! – zdziwił się szczerze Patrick, oderwany od rozmyślań, czy przed użyciem granatnika Alma faktycznie zmówi jakąś zdrowaśkę. – Co wujek ma na myśli?

– Obudził mnie dzisiaj telefon z kancelarii prawnej – poinformował go ksiądz. – Tej, która jest odpowiedzialna za spełnienie ostatniej woli naszej bogatej rodaczki. Okazuje się, że zostawiła ona dla mnie przed śmiercią list, który jednocześnie jest też dokumentem. Ci ludzie z kancelarii byli bardzo tajemniczy i nie za wiele chcieli mi zdradzić przez telefon. Powiedzieli tylko, że ktoś z ich pracowników przez przypadek wsunął go przez nieuwagę w testament i dopiero teraz się znalazł.

– I co jest w tym liście? – spytał przejęty z każdą chwilą coraz bardziej Patrick.

– Tego nie wiem – przyznał ksiądz. – Ale wierzę, że jakaś dobra wiadomość. Pani Klementyna nie zostawiłaby naszej parafii bez jakiegoś hojnego daru. Zawsze byłem tego pewny.

– Czy wujek mógłby udać się czym prędzej do kancelarii i dowiedzieć się, co jest w liście?

– zapytał Patrick – To dla mnie bardzo ważne!

– Czemu? – zdziwił się szczerze Adam.

Patrick przez moment milczał, zastanawiając się, co wymyślić. Przecież nie powie: „Bo inaczej siostra Alma wysadzi w powietrze samochód ze spadkobiercami, a jeśli ci przeżyją, to siostra Mary dobije ich strzałem w głowę z nowego Glocka, za którego zapłaciłem pieniędzmi, które parafianie dali nam na tacę”!

– Mam przeczucie, że ten list jest bardzo ważny – wyjaśnił. – I nie zasnę, nie wiedząc, jaka jest jego zawartość! A jestem już bardzo zmęczony i senny!

– No jasne... – ksiądz nadal wydawał się być zaskoczony. – Jeśli ci zależy... Umówiłem się po południu, ale mogę zadzwonić i zapytać, czy mogę przyjść wcześniej.

– Niech wujek koniecznie to zrobi! – poprosił Patrick, nagle czując, jak budzą się w nim nowe siły. – I wyśle mi SMS-a, czy się udało. A po wyjściu z kancelarii natychmiast zadzwoni do mnie!

– Jak sobie życzysz – powiedział nadal zdumionym tonem Adam. – Pozdrów ode mnie siostry i przekaż im moje błogosławieństwo.

– Nie omieszkam, z pewnością będą wniebowzięte – mruknął Patrick, rozłączając się z wujem.

Świetnie! Jeśli w liście od starszej pani jest coś związanego z pieniędzmi, które pozwolą przetrwać parafii, misja Mary i Almy stanie się bezcelowa. Teraz tylko trzeba je jak najszybciej odnaleźć. Patrick wyciągnął komórkę i niecierpliwie wyszukał w spisie kontaktów ten, który teraz był dla niego najważniejszy...

Od kilkunastu dobrych minut Diana była pewna, że ktoś ją śledzi. Gdziekolwiek nie pojechała, wcześniej czy później pojawiał się za nią czerwony citroën DS3 z dwiema kobietami na przednich siedzeniach. Wmawiając sobie początkowo, że po dniu pełnym wrażeń, z pewnością ma omamy, Diana na wszelki wypadek wykonała swoim samochodem kilka kompletnie niedorzecznych manewrów. Najpierw z lewego pasa skręciła w boczną uliczkę z prawej strony, przecinając w tym celu drugi pas i w ostatniej chwili cudem unikając kolizji z jadącą nim taksówką. Nie minęło kilka chwil, a w uliczkę wjechał też citroën. Diana objechała więc bez sensu dokoła znajdującego się na końcu uliczki Lidla. Citroën zrobił dokładnie to samo. Trzymał jej się tak, jakby go holowała. To stanowczo nie był przypadek! Czując narastającą z każdą chwilą panikę, Diana zastanawiała się, co ma zrobić. Czyżby ten cholerny Tygrys dowiedział się już o jej zdradzie i nasłał na nią jakieś swoje cizie? Ciekawe, czy kazał im odstrzelić jej głowę czy może potraktować jakoś bardziej łagodnie? Tak czy siak, Diana nie zamierzała dać się złapać. Wyjechała z powrotem na główną ulicę i stanęła na światłach. Upiorny citroën stanął kilka samochodów za nią. Bezradnie rozejrzała się i nagle nieco ożywiła. Na tylnym siedzeniu kierowanego przez nią BMW dostrzegła kobiece futro. Czując, jak świta jej w głowie załazek pomysłu, Diana sięgnęła po nie i przełożyła je na siedzenie obok siebie. Futro było dość pokaźne, a w dodatku zaopatrzone w kaptur. Idealnie! Pomysł Diany z miejsca rozkwitł. Jeśli dojedzie do pewnego, znakomicie jej znanego miejsca, to potrzebuje tylko kilku minut, aby odwrócić uwagę śledzących ją osób i zniknąć im z pola widzenia. Tak, futro powinno doskonale się nadać do roli kamuflażu. Diana dodała gazu i na następnych światłach jej przewaga nad citroënem powiększyła się o kilka kolejnych pojazdów. Mając pewność, że śledzące ją kobiety tymczasowo jej nie widzą, Diana wykonała na swoim siedzeniu kilka figur akrobatycznych godnych co najmniej primabaleriny Moskiewskiego Baletu Narodowego i założyła na siebie futro. Na następnych światłach, wyjęła z futra rękę. Teraz mogła już przystąpić do realizacji clue swojego planu. Dociskając z całych sił pedał gazu i modląc się, żeby na drodze nie wyrósł jej patrol policji drogowej, zjechała z ulicy Sokratesa w stronę Szekspira. Droga jakimś cudem była kompletnie pusta, choć teoretycznie powinno na niej być sporo ludzi wyprowadzających o tej porze psy. Prując niczym jeździec Apokalipsy, Diana przejechała przez nią i z determinacją wjechała na chodnik dla pieszych. Przejechała obok placu zabaw i zwolniła dopiero, gdy na drodze

wyrósł jej mostek przeciągnięty nad Stawami Brustmana. Rzuciła okiem w lusterko. Nie dostrzegła citroëna. Mogło się więc jej udać, zwłaszcza że dokoła panował już mrok. Zatrzymała auto, szybko otworzyła drzwi i wysiadła. Futro leżało tak, że oświetlone od tyłu musiało wyglądać, jakby w środku auta za kierownicą siedział człowiek. Diana zamknęła drzwi i, bijąc rekord szybkości, dopadła do mostku. Nie przeszła na drugą stronę, bo wiedziała, że prawdopodobnie nie ma na to czasu, a poza tym znajdowała się tam otwarta przestrzeń, na której byłaby znakomitym celem, tylko zeszła z małej skarpki, z której wyrastał mostek, i schowała się pod nim. Ubrana na czarno doskonale zlała się w jedną całość z ciemną konstrukcją. Diana zrobiła kilka głębszych oddechów, próbując uspokoić rozdygotane serce, i w tym samym momencie usłyszała przybliżający się dźwięk silnika samochodowego. Pościg dotarł na miejsce!

– Ta idiotka wyszła z tego cało! – usłyszał w tym samym momencie w swojej komórce siedzący kilka kilometrów dalej przed swoim komputerem mężczyzna. – Spartoliłeś sprawę!

– Wiem – powiedział ze skruchą. – Ale tłumaczyłem ci, że te programy są jeszcze w fazie testowania. Komputer centralny szybko wyłączył wirusa i włączył mechanizm obronny, czyli reset. Tak jak mówiłem...

– Reset-sreset – głos nadal był wkurzony. – Efekt taki, że nadal jesteśmy w punkcie wyjścia. Ale może to i lepiej.

– Co masz na myśli? – zapytał niepewnie mężczyzna.

– Sprawy się nieco zagmatwały – wyjaśnił głos – więc na razie na wdrazajmy w życie planu b, a właściwie to nawet c, bo b już zdaje się jest przygotowany. Dam ci znać, jeśli znów będziesz potrzebny.

– Zawsze służę swoimi usługami – zapewnił mężczyzna. – O każdej porze dnia i nocy.

– No, myślę – powiedział głos. – Za taką kasę! Odezwę się. Tylko dopilnuj, żeby tym razem znów nie schrzanić sprawy...

ROZDZIAŁ XIX

– No i czego ona tak siedzi w tym samochodzie? – zapytała gniewnie Alma, obserwując uważnie stojące kilkadziesiąt metrów dalej BMW. – Odmawia tam jakieś godzinki, czy co? Weź no, poświęć mocniej.

Mary posłusznie na kilka sekund włączyła długie światła. W ich blasku postać siedząca za kierownicą BMW była już widoczna jak na dłoni.

– Po co ona przyjechała na to odludzie? – zaciekała się Mary. – Ma tu z kimś spotkanie? I w ogóle zachowywała się jak kretynka. Najpierw złamała wszystkie możliwe przepisy, potem zrobiła rundę krajoznawczą dokoła sklepu spożywczego, a na koniec zatrzymała się na pustkowiu. Słuchaj, może ona jest nie zrównoważona psychicznie?

– Już nie mam nic lepszego do roboty, tylko analizować stany psychiczne jakiegoś babska – mruknęła Alma. – Poza tym, jak jest nienormalna, to tym większy sprawimy prezent światu, czym prędzej się jej z niego pozbywając – dodała stanowczo, zaczynając majstrować przy utrzymanym na kolanie granatniku.

– Można wiedzieć, co ty wyprawiasz? – zaciekała się Mary, obserwując jej machinacje. Alma spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jak to co? Przygotowuję moje cacuszko – oznajmiła z czułością. – Przecież nie wybiegniesz z pistoletem, bo jeszcze cię zauważy w lusterku i nawieje. A z tej odległości nie wycelujesz w nią dobrze. Nie jesteś przecież kotem i nie widzisz w ciemnościach! Sama popatrz, tu dokoła nikogo nie ma. Łaził tu jakiś frajer z pieskiem, ale też już go nie ma. Idealna okazja, żebym użyła mojego cudeńka! Druga taka może mi się nie trafić...

– Zwariowałaś? – spytała ze zgrozą Mary. – Przecież dopiero co minęliśmy jakieś budynki mieszkalne. I to duże!

– No to co z tego? – ofuknęła ją Alma. – Przecież nie zamierzam ich zbombardować, tylko rozwalić jeden mały samochodek. Chyba mi nie odmówisz tej przyjemności? Ostatnio głównie ty się wyżywałaś artystycznie. Nie sądzisz, że i mi się wreszcie coś od życia należy?

– Trochę szkoda auta – mruknęła Mary. – Ale jasne, oczywiście, ulżyj sobie, kochanieńka, skoro tak ci zależy.

Alma uśmiechnęła się szeroko, po czym z taką zręcznością, jakby od urodzenia wychowywała się i służyła w wojskach lądowych Stanów Zjednoczonych, załadowała granatnik. Następnie wyjęła z kieszeni mały pakunek, wręczony jej na pożegnanie przez sprzedawcę, po czym wyciągnęła z niego dwie niewielkie różowe kulki. Jedną z nich podała Mary.

– Stopery – wyjaśniła. – Podziel je sobie i wsadź, bo huknie pewnie całkiem nieźle.

Mary z rezygnacją wykonała polecenie. Alma zrobiła to samo, po czym wysiadła z Citroëna i przeszła kilka korków. Stała tak, aby mieć BMW Donków dokładnie na wprost siebie i wycelowała. Mary zdziwiła się, że kobieta w środku samochodu nie zareagowała, ale po chwili doszła do wniosku, że trudno jej się dziwić, bo w coraz bardziej

nieprzeniknionych ciemnościach miała prawo nie dostrzec Almy. Ta przez chwilę jeszcze rozkoszowała się trzymaną przez siebie bronią, po czym zdecydowanym ruchem nacisnęła spust. Potem wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy! Nieprzygotowana do końca na siłę odrzutową granatnika Alma z impetem upadła placami na ziemię, dokładnie w tym samym momencie, kiedy granat dosięgnął samochodu. Rozległ się huk, mogący śmiało konkurować z najgłośniejszymi noworocznymi petardami. Wybuchający granat rozerwał tył BMW na kilka części. Po chwili rozległ się drugi głośniejszy huk – tym razem eksplozji samochodu, a następnie w stronę nieba wystrzelił okazały kłęb dymu.

Minęło kilkanaście sekund, a Alma dalej nie wstawała z ziemi. Zaniepokojona Mary wypadła z samochodu i podbiegła do swojej koleżanki. Alma leżała na wznak, nie dając znaku życia. Wystarczył jeden rzut oka, aby Mary pojęła, co się stało. Traf chciał, że jej koleżanka upadła tak nieszczęśliwie, że walnęła głową w duży płaski kamień. „Jeszcze mi tutaj brakuje jej zwłok do kompletu”, pomyślała Mary, czując jak powoli narasta w niej lekki niepokój. Na szczęście Alma oddychała. Mary bez trudu przeniosła ją do Citroëna i umieściła na fotelu pasażera. Ledwo co sama usiadła za kierownicą i zamknęła drzwi, a już dostrzegła w lusterku, jak od strony, z której przyjechały, zaczynają biec w ich kierunku jacyś ludzie. Szybko oceniła, że na razie nie mają szans zobaczyć ich samochodu, odpaliła silnik i przejechała kilkadziesiąt metrów w stronę jakichś niskich budynków. Ukrywszy za nimi Citroëna, sięgnęła po swoją komórkę i ze zdziwieniem zobaczyła, że ma kilka nieodebranych połączeń od Patricka. Szybko wybrała jego numer.

– Mamy problem – powiedziała, kiedy tylko się połączyła. – Potrzebuję twojej pomocy!

– Co zrobiłyście?! – jęknął Patrick. – I dlaczego nie odbieracie moich telefonów?! Dzwoniłem, żeby powiedzieć, że odwołuję całą akcję!

– A to niby czemu?! – zdziwiła się gniewnie Mary.

Patrick w kilku krótkich zdaniach streścił jej rozmowę z wujem.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – podsumowała Mary. – Ta stara raszpla równie dobrze mogła mu napisać w liście, żeby codziennie odprawiał za nią mszę. I w ogóle to nie jest teraz najważniejsze. I tak wykonałyśmy już pół roboty!

Usłyszała, jak Patrick wydaje z siebie cichy jęk.

– Kobietę mamy już z głowy – poinformowała go. – Został facet. Jest tylko jeden mały szkopuł...

– Jaki?

– Alma nabawiła się lekkiej kontuzji – powiedziała Mary – i jest niedysponowana. Myślę, że dobrze byłoby, gdyby obejrzał ją lekarz. Czy w tym kraju są prywatni lekarze?

– Jasne, że są – powiedział Patrick. – A co jej się stało?

– Walnęła głową o kamień i straciła przytomność – wyjaśniła Mary. – Zrobiliśmy mały wybuch. To znaczy miał być mały, ale wyszedł taki trochę większy.

– Wybuch?! – Patrick znów jęknął. – Czy wyście oszalały?! Tu jest Polska, tu się nie robi takich rzeczy. Tu co najwyżej wybuchają awantury między kibicami albo afery polityczne! A nie granaty! Przynajmniej od czasów drugiej wojny światowej!

– Moda wraca falami, nie wiedziałeś? – poinformowała go Mary. – Uznajmy, że jesteśmy

prekursorkami powrotu do wybuchów. To znaczy Alma, bo ja byłam przeciwna. Ale ona się uparła.

– Gdzie zrobiliście ten wybuch?! – zapytał Patrick. – I gdzie teraz jesteście?

Mary popatrzyła na nawigację, po czym podała mu adres, co było o tyle łatwe, że nazwisko Szekspira w każdym języku brzmi przecież tak samo.

– Wyjdę po ciebie na główną ulicę... – zaproponowała – Kas... Kasp... Kasprawajcza? Bo tu sam możesz nie trafić. Musiałam trochę ukryć nasz samochód.

– Kasprowicza – zrozumiał Patrick. – W porządku, już jadę.

– Lepiej się pospiesz! – zażądała na koniec. – Bo tu już ludzie walą tabunami, a w dodatku chyba słyszę sygnał radiowozu albo karetki. Nie chciałabym, żeby jakieś służby dopadły nas przed tobą.

– Postaram się być tak błyskawicznie, jak to będzie możliwe – zapewnił zrezygnowanym głosem Patrick, przerwał połączenie, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu znajdującego się na szafce przy łóżku i nacisnął klawisz oznaczony cyfrą zero.

– Recepcja? – upewnił się. – Chciałbym poprosić o zamówienie taksówki. I to jak najszybciej się tylko da...

Odgłos eksplozji dotarł do uszu Diany w momencie, kiedy ta dochodziła właśnie do wniosku, że dłużej już nie wytrzyma pod mostkiem. Przykucnięta pozycja dawała się jej we znaki z każdą sekundą coraz bardziej. Sekretarka przestała już co prawda czuć mrowienie w nogach, a przy okazji też i same nogi, za to miała wrażenie, że ktoś dźga ją sztyletem w okolicy kości ogonowej, a chłodny powiew od znajdującej się kilkadziesiąt centymetrów od niej wody przenika ją bez mała na wylot. Diana prawie zaczęła szcząkać zębami, kiedy rozległ się pierwszy huk. Widząc, jak nagle wszystko wokół niej jaśnieje, wychyliła się spod mostku. Skarpa zasłaniała jej nieco widok, więc zobaczyła jedynie dziwaczną łunę światła, najwyraźniej mającą początek tam, gdzie zostawiła BMW. Zdziwiona, chciała zrobić kilka kroków, aby zobaczyć, co to za dziwaczne zjawisko, ale pozbawione przez długi czas normalnego dopływu krwi nogi odmówiły jej współpracy. Diana potknęła się i w tym momencie nastąpiła druga eksplozja. Sekretarka poczuła, że traci równowagę. Chcąc się ratować przed upadkiem, wyciągnęła rękę w stronę mostku i w tym momencie poczuła przerażający ból z tyłu głowy. Zdawała sobie sprawę, że spada i wpada do wody, ale nie mogła już nic na to poradzić. Po chwili straciła przytomność...

Patrick wysiadł z taksówki na wszelki wypadek kilkaset metrów od miejsca, w którym umówił się z Mary. Ta czekała na niego, przechadzając się nerwowo dokoła przystanku autobusowego.

– Jechałeś tu karocą zaprzęzoną w leniwe woły czy kulawi nieśli cię w lektyce?! – przywitała go z wściekłością. – Alma została sama w samochodzie. Może już wykitowała, choć w sumie nie było widać, żeby była ranna. Ale może mieć wstrząs mózgu albo jakiś

wewnętrzny wylew. Pospieszmy się...

Patrick posłusznie skinął głową. Oboje weszli na jezdnię i rozejrzeli się, czy coś nie nadjeżdża z lewej strony. Widząc pustą ulicę, przeszli przez pasy, a następnie zatrzymali się pośrodku na wysepce oddzielającej dwupasmówkę ciągnącą się w stronę Huty Warszawa od tej, którą można było dojechać do centrum. Drugie dwa pasy były zapchane, jak zawsze o tej porze. Przepuścili kilka wozów, aż wreszcie jeden – jadący na pasie bliżej – przystanął.

– Wreszcie znalazł się ktoś uprzejmy – mruknęła Mary.

Patrick puścił „salut” kierowcy. Dalej wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka – potężne uderzenie z prawej strony, pisk hamulców, widok czerwonej karoserii, krzyk Mary, uczucie spadania w przepaść, niekończący się tunel... Patrick przekoziołkował przez maskę i upadł na ziemię, tuż za krawężnikiem. Zawsze czytał w powieściach, że w momencie wypadku człowiekowi przelatuje przed oczami całe życie. Nic z tego! Żadne życie, myśli, obrazy – Patrick poczuł w głowie po prostu kompletną pustkę. Obraz jedynie zwolnił na chwilę i każdy ułamek sekundy rozciągnął się tak, jakby nagle rzeczywistość zamieniła się w film, oglądany klatka po klatce. Gdy poczuł, że upada na ziemię, wiedział, że stało się coś strasznego, ale jego oszołomiony umysł nie potrafił jeszcze sprecyzować, co konkretnie. W uszach miał dziwaczne metaliczne odgłosy i słyszane jakby za ścianą krzyki ludzi. W kolejnym ułamku sekundy uświadomił sobie, co – w zwolnionym tempie – dociera do jego umysłu. Nigdzie nie widział Mary! Sekunda, w której Patrick podniósł się z ziemi i jednocześnie zobaczył, jak jego znajoma upada kilka metrów dalej, rozciągnęła się w jego umyśle w nieskończoność. Zerwał się i w zawrotnym tempie dopadł do Mary z dramatycznym okrzykiem: „Żyjesz?!”. Mary leżała na plecach, miała otwarte oczy i nic nie mówiła. Patrick klapnął na kolana tuż przy niej, uświadomił sobie w przebłysku rozsądku, że zadał pytanie po polsku, po czym powtórzył okrzyk po angielsku, niewątpliwie nieco chrapliwie, bo miał wrażenie, że struny głosowe odmawiają mu posłuszeństwa. Mary zamrugła oczami i przez chwilę jeszcze nie mogła wydobyć z siebie głosu. „Żyję, uspokój się, żyję”, wyszeptała wreszcie z wyraźnym wysiłkiem.

– Ale w was pierdolnęło! – zziębnięty zażywny pan pobiegł do nich, ciągnąc za sobą na smyczy mocno przestraszonego pieska. – Myślałem, że nie będzie, co zbierać. No, po prostu pięknie!

Ton jego głosu był tak entuzjastyczny, jakby sam ich przejechał i to z premedytacją oraz po długich staraniach, a teraz z dumą podziwiał swoje dzieło.

– Boże, nic wam nie jest? – gdzieś na głowę Patricka rozległ się drugi, tym razem mniej zadowolony, a bardziej przerażony męski głos. – Żyjecie? Wypadliście tak nagle, nie miałem jak zahamować... Nic wam nie jest?! To nie moja wina!

Patrick zobaczył, jak wyraz oszołomienia na twarzy Mary zamienia się we wściekłość. Siostra, bo Patrick w myślach ciągle tak ją tytułował, zerwała się na równe nogi i prosto w twarz wyryczała przerażonemu panu, co sądzi o wariatach kierowcach jako takich oraz o nim w szczególności, ozdabiając swoją wypowiedź różnymi słowami, ogólnie uznawanymi za obelżywe. Ponieważ zrobiła to oczywiście po angielsku, oszołomiony pan

poza słowem *fuck* i *motherfucker* zrozumiał niewiele. Stał i patrzył na rozsierdzoną Mary baranim wzrokiem niczym na zjawę z innego wymiaru. Patrick upewnił się za to ostatecznie, że jego znajoma żyje. Gdyby umarła, na pewno zachowywałyby się nieco ciszej. Ulga, jaką odczuł, sprawiła, że klapnął na nieco wilgotnej glebie i zaczął wracać do jako takiej przytomności. Najpierw odnotował, że bolą go nogi ze szczególnym uwzględnieniem prawego kolana, po czym zobaczył, że ma zakrwawione ręce i zaciekał się, od czego. Zanim zaczął to analizować, Mary – oklapnąwszy nieco po wybuchu – usiadła obok niego.

– Zobaczysz, czy się nie zraniłam w głowę? – poprosiła. – Bo jak przejechałam sobie tam ręką, to mam ją teraz całą we krwi...

Patrick pomacał potylicę Mary, ale nic na niej nie znalazł poza wyczuwalną już lekko opuchlizną.

– Będziesz miała siniaka jak drugi baniak – zawyrokował. – A ręce to i ja mam czerwone. Ale to chyba nic wielkiego... Choć może lepiej sprawdźmy...

Macanie się po różnych częściach ciała przerwała im sympatyczna pani w średnim wieku, która nadeszła od strony pobliskiego osiedla.

– Przepraszam, czy państwo byli na pasach? – zapytała, upewniwszy się, że Patrick i Mary nie mdleją, nie chce im się wymiotować, nie kręci im się za mocno w głowach, tudzież mogą – z trudem, bo z trudem – ale poruszyć wszystkimi kończynami.

– Tak! – odpowiedział Patrick.

– A sprawca się zatrzymał? – zapytała pani.

– Tak, tu jestem! – odpowiedział wystraszony człowieczek w pikowanej kurtce.

Pani uśmiechnęła się i zza pazuchy wyciągnęła odznakę policyjną.

– W takim razie poproszę pana ze mną na bok – powiedziała stanowczo. – Czy ktoś wezwał pogotowie i drogówkę?

– Tak – powiedział sympatyczny chłopak z samochodu, który przepuścił ich jako pierwszy. – Zjechałem od razu, bo pomyślałem, że może się do czegoś przydam.

– To nie moja wina! – upierał się sprawca wypadku. – Państwo pojawili się na pasach zupełnie znikąd!

– Niech pan nie opowiada bzdur! – przez chwilę wydawało się, że policjantka ma zamiar uderzyć go w twarz ze złości. – Tutaj kierowcy zawsze pędzą jak szaleni i nie zwracają uwagi ani na ograniczenie prędkości, ani na przejście dla pieszych. Nie ma miesiąca, żeby tu nie było jakiegoś wypadku. Nie dalej jak kilka tygodni temu prawie zginęła tu kilkuletnia dziewczynka. Zapraszam pana ze sobą za chwilę, tylko zadzwonię po kolegów...

– Policja?! – zapytała ze strachem Mary. – Czy ona wspomniała coś o policji?! Jeszcze tego nam brakuje. Uciekajmy!

Patrick, który chwilę wcześniej doszedł do wniosku, że ma nogę złamaną w siedemdziesięciu pięciu miejscach, spojrział na nią bezradnie. W tym stanie ich ucieczka nie miałyby większego sensu. Akurat daleko by nawiali, kulawi, obolali i z zawrotami głowy! Z drugiej strony, jeśli policja ich spisze w okolicy miejsca, gdzie kilkadziesiąt minut

wcześniej nastąpił wybuch, to... W swoim stanie Patrick nie umiał wymyślić, czym może się to skończyć, ale zgadzał się z Mary, że coś takiego nie powinno mieć miejsca. Zauważywszy, że policjantka na nich nie patrzy, a i reszta ludzi nie jest zajęta nimi, a winowajcą, którego najchętniej by od razu na poczekaniu zlinczowali, Patrick zaczął z wolna podnosić się z ziemi. Mary poszła w jego ślady. W tym samym momencie usłyszeli sygnał. Wymienili się przerażonymi spojrzeniami, ale okazało się, że nie należy on do radiowozu, a karetki pogotowia.

– Żadnego czekania na policję! – rozstrzygnął lekarz, który z niej wysiadł i wysłuchał relacji z tego, co się wydarzyło, po czym zwrócił się do policjantki. – Ostatnio, jak zdecydowałem się to zrobić, to nie tylko ofiary wypadku o mało co mi nie zeszły z tego świata, ale i ja sam. Z nudów! Godzina czekania! Zabieram państwa, a pani kolegów zapraszam do Szpitala Żoliborskiego. Znajdą poszkodowanych na ostrym dyżurze. I nie życzę sobie słyszeć żadnych protestów w tej kwestii!

Patrick popatrzył na rozzłoszczonego starszego pana z wdzięcznością, odetchnął i przetłumaczył Mary jego gniewną tyradę.

– Zbadają nas, zobaczą, czy nic nam nie jest, ewentualnie opatrzą i wtedy nawiejemy – powiedział. – Gorzej, że nie wiem, co z Alną...

Mary przez chwilę się zastanawiała, po czym machnęła ręką.

– Trudno – oznajmiła z rezygnacją. – Co będzie, to będzie. I tak w tej chwili nic nie działyśmy.

– Dobrze chociaż, że tutaj mamy już z górki... – powiedział Patrick, nie przypuszczając nawet, że wypowiada te słowa w złą godzinę.

Dopiero teraz bowiem rozpoczęła się rozrywkowa część ich wieczoru.

Do karetki zostali wniesieni na noszach. Na sygnale przejechali do szpitala i na tym uprzejmość służby zdrowia się wyczerpała. Pielęgniarki co prawda litościwie przytachali im pod karetkę dwa wózki, ale już nie pomogli im się na nie przesiąść, bo w końcu co za dużo troski, to niezdrowo. Jakby tego było mało, ledwo co oboje usadowili się na siedzeniach, ich pomocnicy błyskawicznie zniknęli im z pola widzenia. Lekko zdezorientowani, Mary i Patrick, obracając kółeczkami przy wózkach, przemierzali trasę do gabinetu chirurga. Ten, nawet na nich nie spojrzawszy, ani ich nie dotknąwszy, od razu wypisał im skierowanie na prześwietlenie.

– Może ma obsesję na punkcie czystości, a my jacyś tacy trochę brudni... – zastanowił się Patrick, kiedy już dopchnęli swoje wózki pod pracownię rentgenowską. Chwilę potem musiał bardzo się hamować, żeby nie obić twarzy zatrudnionemu tam oprawcy, który metody zajmowania się pacjentami czerpał najwyraźniej z horroru „Hostel II”. Najpierw zażądał od Patricka, żeby ten wspiął się na stół o wysokości Kilimandżaro, patrząc przy tym na niego wzrokiem nauczyciela fizyki, który złapał ucznia na braku wiedzy, co się mierzy w dżulach. Nieco przerażony Patrick wyraził obawę, czy uda mu się wspiąć na ów postument.

– No niech pan tu nie robi z siebie primadonny! – wysyczał ze złością oprawca, po czym, kiedy Patrick spełnił już jego żądanie, wydał mu zimnym tonem kolejne polecenia –

A teraz proszę najpierw położyć się na prawy bok i podsunąć lewe kolano pod brodę, a następnie przekręcić się na lewy i unieść prawą nogę, lekko ją przy tym zginając. No już, migiem! Nie mamy na to całej nocy!

Patrick z trudem wykonał jego polecenia, dumając nad sensem aplikowania takiej lekcji w-fu ludziom z podejrzeniem złamań i znajdując tylko jedno wytłumaczenie. Najwyraźniej szpitala nie stać na kogoś, kto opisuje zdjęcia rentgenowskie, i w związku z tym robi się to na oko. Jeśli ktoś da radę wykonać te wszystkie figury gimnastyczne, to znaczy, że nic mu nie jest i można go odesłać do domu. Zemdleje – a, to może trzeba go jednak wpakować w gips. „To się nazywa medycyna doświadczalna”, przemknęło mu przez myśl. Patrick poczuł, że zaraz zacznie się głośno śmiać, co wskazywało, że z wolna zaczyna odreagowywać wypadek. Z trudem się powstrzymał. Po kilku minutach z rentgena wyjechała potraktowana przez oprawcę równie uprzejmie Mary. „Gdybym miała przy sobie pistolet, to bym go użyła”, skomentowała. Oboje przejechali do lekarza, który – poświęciwszy ich prześwietleniom jakieś trzy sekundy – nabazgrał coś na kartce papieru, wręczył im ją, po czym niecierpliwym machnięciem ręki dał do zrozumienia, żeby opuścili jego gabinet i nie zwracali mu dłuższej głowy.

– W sumie może to i lepiej – zauważyła Mary. – Ciągłe jeszcze nie ma policji i mamy szansę nawiać. Tylko to cholerne szkło... Popatrz, pielęgniarka! Może ją poprosisz, żeby mi czymś dezynfekowała głowę...

Patrick spróbował zatrzymać trenującą najwyraźniej do maratonu, na co wskazywała szybkość, z jaką pokonywała korytarz, siostrę. Ta nie zwolniła, a słysząc wykrzyczaną przez niego prośbę, zachnęła się gniewnie.

– Niech sobie ta pani przemyje głowę w domu pod kranem – powiedziała. – Nie mam czasu na głupoty. Ja tu pracuję!

– Do tej pory byłam pewna, że najgorszy szpital znajduje się w Meksyku. Zamiast znieczulać, wsadzają tam pacjentom w czasie operacji kawałek drewna między zęby jak na filmach o Dzikim Zachodzie, a rany dezynfekują podróbkami perfum, bo mają choć trochę alkoholu. Ale tu jest równie ciekawie... – podsumowała filozoficznie Mary, kiedy już znaleźli się przed szpitalem. – Co on nabazgrolił na tej kartce?

Patrick spojrział na trzymany przez siebie wypis ze szpitala i przez chwilę był pewny, że w wyniku wstrząsu przestał rozumieć język swoich przodków.

– Jakby nas zaczęła boleć głowa, to kazał nam sobie kupić Ibuprom, a w rubryce „zalecenia”, wpisał „prowadzenie spokojniejszego trybu życia” – przeczytał z bezgranicznym zdumieniem.

– W sumie ma rację – powiedziała Mary, kiedy już oboje przestali się śmiać. – Nie wpadajmy już więcej pod samochody.

– Nie zamierzam – mruknął Patrick, po czym rozejrzał się dokoła. – To co? Jedziemy po Almę? Akurat mamy pod nosem postój taksówek.

Mary przez chwilę rozważała jego propozycję, po czym pokręciła przecząco głową.
– Za duże ryzyko – powiedziała. – Tutaj już nas znają. Mało tego, mają zarejestrowane nasze twarze, bo na korytarzach widziałam kamery monitoringu. Musimy zniknąć, a nie

pchać się im w łapy. Wcześniej czy później przyjedzie tu policja, żeby nas przesłuchać w sprawie wypadku. Jeśli nas nie zastaną, to przecież nie zaczną nas szukać od razu. To w końcu nie my popełniliśmy przestępstwo! Wyjdą z założenia, że sami się do nich zgłosimy ze skargą. To naturalne. A my w tym czasie się ulotnimy. A tak, jak przywieziemy tu Almę, to sami wejdziemy im w ręce. Nie wiem jak ty, ale ja raczej bym tego nie chciała...

– Ja też nie – przytaknął Patrick – ale przecież nie zostawimy Almy bez pomocy...

– Może jakoś dojdzie do siebie... – zastanowiła się Mary. – W końcu kiedyś o mały włos jeden z klientów by ją udusił w czasie seksu, raz tańcząc na rurze o mały co nie zwichnęła sobie karku, no i kilka razy zdarzyło jej się przedawkować, a jakoś wciąż żyje!

– Za dużo informacji... – wymamrotał pod nosem Patrick. – Oszczędź mi szczegółów waszego życia.

– Ale z drugiej strony głupio ją tam zostawić... – powiedziała zamyślona Mary. – Tylko jak ją zawieźć do szpitala, żeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń?

– Możemy spróbować w innym szpitalu – Patrick nagle doznał olśnienia. – A w ogóle to jestem skończonym osłem! Przecież ja doskonale znam kogoś, kto będzie wiedział, co zrobić z siostr... z Almą!

Wyciągnął z kieszeni komórkę i z kontaktów wybrał odpowiedni numer.

– Ciocia Danusia...? – powiedział. – Tu Patrick. Jestem w Warszawie. I bardzo by mi się teraz ciocia przydała...

ROZDZIAŁ XX

– Pani mamie na pewno nic nie będzie – dobrotliwy, ale i budzący zaufanie starszy pan w kitlu patrzył na Kasię z uśmiechem. – Jest mocno potłuczona, ale nie ma żadnego złamania ani krwotoku. Poleży sobie u nas na obserwacji z dzień, dwa i wypuścimy ją jak nowo narodzoną.

– Czy ja mam zostać? – spytała Kasia. – Jest taka możliwość?

– Możliwość to jest, oczywiście płatna – powiedział doktor. – Ale nie ma najmniejszego sensu. Pani mama dostała środek uspokajająco-nasenny. Z pewnością prześpi najbliższych kilkanaście godzin. A pani z pewnością zrobi lepiej, jak pojawi się tutaj z rana, wypoczęta i zrelaksowana. Chce pani też coś na uspokojenie?

Kasia pokręciła głową. Nigdy nie używała żadnych tego typu specyfików i trochę bała się, jak na nie zareaguje, a intuicja podpowiadała, że trzeźwość umysłu będzie jej jeszcze tego wieczoru potrzebna. Pożegnała doktora, zajrzała na chwilę do pokoju, gdzie jej mama spała snem sprawiedliwego, wychrapując coś, co Kasi skojarzyło się z eurowizyjnym hitem Margaret, po czym opuściła szpital, o mało co nie zostawszy przy tym stratowana przy wyjściu przez jakiegoś łysego oblecha w dresie, który w swoim pędzie nie tylko ją potracił, ale jeszcze wytrącił jej z ręki komórkę. Mamrocząc gniewne słowa pod jego adresem, Kasia podniosła telefon, po czym zamówiła sobie taksówkę. Czekając na nią, wykręciła jeszcze numer do Danusi. Czując jak kamień spada jej z serca, wysłuchiwała relacji o jej rozmowie z policją i tym, że w szpitalu bez problemu uwierzyli jej w to, że zgarnęła chłopaka z budowy po tym, jak poraził go prąd z zakładanej tam przez niego instalacji elektrycznej. Danusia na wszelki wypadek nie wdawała się w szczegóły, wychodząc z założenia, że jak chłopak odzyska przytomność, ustalą wspólną wersję. W tym celu poprosiła, żeby natychmiast ją zawiadomić, gdy kudłaty się ocknie i będzie mógł rozmawiać. Kasia podziękowała jej, postanawiając w najbliższym czasie sprezentować jej coś wyjątkowo cennego, po czym wsiadła do taksówki. Tym razem trafiła na jakiegoś gburowatego kierowcę, który na jej „dobry wieczór” burknął coś niezrozumiałego pod nosem, po czym gdy tylko podała mu adres, natychmiast podgłośnił radio, najwyraźniej dając jej tym samym do zrozumienia, że nie ma co liczyć na konwersację. Kasi, która chciała obmyślić strategię postępowania z mężem, było to na rękę. Radio, serwujące jakąś dyskotekową papkę, w rozmyślaniach jej nie przeszkadzało. Za oknem przesuwały się dość monotonne obrazy Bielan, a potem Śródmieścia. Kasia kochała Warszawę, ale dzisiaj nie miała siły, żeby ją podziwiać. Co tu ukrywać, nie było najlepiej. W wyniku jej idiotycznych pomysłów już dwie osoby znalazły się w szpitalu. Dobrze w sumie, że nie próbowała nic zrobić z grzybami, bo biorąc pod uwagę dotychczasowy rozwój wypadków, z pewnością też skonsumowałyby je ktoś przypadkowy. Mordowanie wcale nie jest takie proste, jak można by było przypuszczać. No i co teraz? Kasia uświadomiła sobie, że wcześniej podjęła decyzję. Pora wreszcie na konfrontację z mężem. I to natychmiastową, zanim ją aresztują za próbę jego zabójstwa albo zanim

mąż nie usunie z tego świata jej...

– Gdzie jest mój skarb?! – zwałisty, wygolony na zero mężczyzna w dresie i z grubym złotym łańcuchem na szyi walnął ze złością pięścią w blat okienka na izbie przyjęć w Szpitalu Bielańskim. – Gdzie do jasnej cholery jest moja córka?

Pełniąca tego dnia dyżur pielęgniarka oderwała się od telefonu komórkowego, gdzie właśnie sprawdzała na Tinderze, z jakim facetem mogłaby się umówić po skończeniu pracy, i przyjrzała mu się z niekłamanym zachwytem. Od razu widać było, że to prawdziwy mężczyzna, masa i siła, a nie jakaś zniewieściała ciota, których pełno ogłaszało się w Internecie. Facet z jej snów, macho!

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała, zalotnie poprawiając włosy i uśmiechając się w swoim przekonaniu seksownie.

– Dostałem telefon, że trafiła do was moja córka – ku jej rozpaczy mężczyzna w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. „Bez sensu”, przemknęło jej przez głowę, „że też dałam się namówić tej głupiej Zośce na rudy kolor. Jak mam kogoś poderwać, jeśli przypominam jakąś pieprzoną Fizię Pończoszanek?!”. Nadal wpatrywała się w niego w nabożnym zachwycie.

– No, co tak, kurwa, pani na mnie rzepi? Tępa pani jest czy opóźniona w rozwoju? – ryknął gniewnie mężczyzna. – Niech pani ruszy dupę i sprawdzi w tym swoim burdelu, gdzie jest moja córka!

„Nie dość, że męski, to jeszcze taki wygadany i elokwentny. I jakie ma podejście do kobiet!”, pomyślała z podziwem pielęgniarka. „Że też chodzą jeszcze po ziemi takie ideały!”.

– A jak nazwisko córeczki? – zapytała swoim najśłodszym głosem, a kiedy mężczyzna jej odpowiedział, odwróciła się i – w ostatniej desperackiej próbie zwrócenia na siebie jego uwagi – seksownie kręcąc tyłeczkiem podeszła do kartoteki, a następnie, udając że musi sięgnąć na najniższą półkę, lekko rozstawiła nogi i pochyliła się w swoim przekonaniu z gracją godną tancerek go-go. Niestety, szybko okazało się, że trochę jej do nich brakuje. Zastygła bowiem w połowie wyprostowywania się, czując, jak sto tysięcy noży dźga ją w kręgosłup i biodra. Mimowolnie głośno jęknęła i oparła się jedną ręką o kartotekę. Jęk zwabił do dyżurki jej koleżankę, ze względu na przymioty fizyczne nazywaną Wąsatym Wielorybem.

– A co ty się tak tu rozkraczyłaś? – powiedziała nowo przybyła uprzejmie, podchodząc i w dość mało delikatny sposób pomagając jej w powrocie do normalnej pozycji. – Idźże do doktora, niech ci walnie blokadę. I zapnijże ten kitel, bo ci cycki zaraz odlecą do Afryki. Ja się tu zajmę panem. No, czego...?!

Gdyby miała nóż albo choćby skalpel, pielęgniarka niewątpliwie wbiłaby go koleżance w serce, ale na szczęście żadne śmiercionośne narzędzie nie wpadło jej w oko. Pojękując lekko i trzymając się za biodro, rzuciła ostatnie spojrzenie na swój ideał, a potem pokuśtykała do pokoju lekarzy. W tym czasie mężczyzna w dresie biegiem przemierzał

korytarze szpitala, poszukując pokoju, w którym leżała jego latorośl...

– Czy wyście wszyscy powariowali?! – Danusia patrzyła na swojego siostrzeńca zdumionym wzrokiem. – Ile jeszcze wybrakowanych trupów mam dzisiaj eskortować do szpitala? Co za dzień!

Patrick spojrział na nią z zaskoczeniem.

– A to już ciocia kogoś dzisiaj odwoziła? – zapytał. – Coś w przychodni? Jakiś wypadek?

– Bardziej upadek. I to umysłowy. Nie wdawajmy się w szczegóły – odpowiedziała wymijająco Danusia. Podeszła do Almy, zbadała jej puls, a następnie podniosła po kolei obie powieki. – Moim zdaniem nic wielkiego jej nie jest. Moglibyśmy nawet spróbować ją ocucić na miejscu, ale faktycznie lepiej, żeby obejrzał ją lekarz i żeby zrobili jej prześwietlenie, skoro jak mówicie, uderzyła się mocno w głowę. A dlaczego sam nie możesz odwieźć tej pani?

Patrick, który spędził ostatni kwadrans na tłumaczeniu Mary jak fantastyczną, godną zaufania i dyskretną osobą jest jego ciocia, spojrział teraz na swoją towarzyszkę błagalnym wzrokiem. Ta wzruszeniem ramion dała mu znać, żeby sam zdecydował.

– Wyjaśnię cioci wszystko – powiedział z determinacją – ale niech ciocia przez cały czas pamięta, że chodzi o dobro naszej rodziny. Tylko dlatego dałem się w to wszystko wciągnąć. Mamy mało czasu, więc postaram się jak najbardziej streszczać. Otóż kilka lat temu pewna starsza pani napisała testament...

Patrick zagłębił się w wyjaśnienia, omijając tylko kilka szczegółów z przeszłości Mary i Almy oraz ich działalności dzisiejszego wieczoru. Już po kilku zdaniach Danusi zaczęło świtać, że słucha drugi raz tej samej opowieści, co kilka godzin wcześniej, tyle że ujętej innymi słowami. Nie przerwała jednak siostrzeńcowi, tylko z narastającym niepokojem oczekiwała, aż zakończy on swoją historię.

– A jak się nazywają ci spadkobiercy? – upewniła się, choć w sumie nie musiała. I tak wszystkie inne szczegóły się zgadzały i to aż za dobrze.

– Donek – powiedział Patrick. – Katarzyna i Dariusz.

Danusia przyłożyła sobie rękę do czoła i przez chwilę kręciła głową, usiłując uporządkować chaos, jaki zapanował w jej myślach.

– Żyłam w przekonaniu, że mam porządną rodzinę i spokojnych, wręcz nudnych znajomych – powiedziała po chwili. – A okazało się, że jestem otoczona potencjalnymi mordercami i gangsterami. Pięknie, chyba muszę sobie kupić okulary, bo najwyraźniej nie zauważyłam, kiedy ośleplam. Mój brat o tym wszystkim wie?

– No co ty, ciocia! – zaprzeczył Patrick z oburzeniem. – Przecież by nas wyklął i nigdzie nie puścił!

– Chociaż jeden normalny – mruknęła Danusia. – Chcę ci powiedzieć, że nie wy jedni polujecie na Donków. Oni na siebie wzajemnie też.

Patrick popatrzył na nią osłupiałym wzrokiem.

– Czy ciocia...? – zaczął.

– Owszem, znam Kasię Donek – wyjaśniłamu litościwie Danusia. – Tak się składa, że to od wielu lat jedna z moich najserdeczniejszych przyjaciółek.

– Dlaczego ja nigdy nic o niej nie słyszałem?! – zapytał zaskoczony do granic możliwości Patrick.

– A ty mi opowiadasz o wszystkich swoich znajomych? – powiedziała Danusia. – Zastanów się! Ale jeśli to jakaś pociecha, to o ciotce miliarderce, spadku i innych sprawach też dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

Mary chrząknęła. Patrick przetłumaczył jej konwersację z Danusią, która nie posługiwała się angielskim.

– A więc twoja ciotka zna Donków? – upewniła się Mary, po czym pomacała swoją torebkę. – Zamierza nas wsypać? Mam ją sprzątnąć?

– Ani mi się waź! – powiedział Patrick z przerażeniem. – Już dosyć dzisiaj głupot narobiłyście. Profesjonalistki z czarnej dziury w Idaho!

– Czy ty się wyrażasz niepochlebnie o mnie i Almie? – wysyczała ze złością Mary. – Bo jeden szeryf w Kolorado też mówił o nas złe rzeczy, a potem znaleźli go na wysypisku miejskim z dwunastoma kulami w klatce piersiowej. Taka dziwna koincydencja! Rozumiesz?

– Jasne. Oczywiście, że nie miałem nic złego na myśli – wycofał się Patrick. – Robiłyście wszystko tak, jak należy, tylko teraz musimy się z tego jakoś wyplątać. I moja ciocia na pewno nam się do tego przyda.

– Oby! – powiedziała Mary. – Bo po takim dniu jak dzisiejszy jestem tak wkurzona, że najchętniej rozładowałabym napięcie, pakując komuś kilka kulek w łeb. Uważaj więc, żeby to nie była głowa twojej uroczej cioteczki – dokończyła, uśmiechając się mile do Danusi. Ta odwzajemniła uśmiech.

– Co powiedziała twoja przyjaciółka? – zapytała, odwracając głowę w stronę Patricka.
– Że bardzo jej ciocia przypadła do gustu – wyjaśnił ten szybko. – I że w innych okolicznościach z pewnością byście się zaprzyjaźniły.

– No nie wiem... – mruknęła Danusia. – Dobrze, zawiozę tę panią do szpitala, ale obiecaj mi, że na razie odpuścicie sobie polowanie na Donków. Przynajmniej do czasu, jak mój brat da wam znać, co jest w tym liście...

Patrick zastanowił się, czy będzie umiał w razie czego powstrzymać Mary. Jasne, że nie.
– Oczywiście, że tak – zapewnił. – Jest ciocia pewna, że to dobry pomysł, żeby zawieźć ją do szpitala? Nie lepiej do jakiejś prywatnej kliniki? Tam chyba zadają mniej pytań...

– Może w Ameryce – Danusia popatrzyła na niego z politowaniem. – U nas władze uważają, że w prywatnych klinikach pracują potencjalni przestępcy, którzy dorabiają się majątków na wypisywaniu lewych recept, wykonywaniu nielegalnych zabiegów i ukrywaniu swoich dochodów. W związku z czym papierkologia jest sto razy gorsza niż w publicznych zozach. Myślę, że lepiej ją przewieźć do zwykłego szpitala. Zwłaszcza, że w bielańskim mam znajomych. Już raz dzisiaj wyświadczyli mi przysługę, nie zadając zbyt wielu pytań. Może uda się i teraz. Za to, jak dojedziemy na miejsce i pozbędziemy się jednego problemu, to ja z miłą chęcią zadam ci parę...

Przenieśli Almę na tylne siedzenie auta Danusi. „Po tym wszystkim chyba będę musiała je wymienić”, pomyślała z przekąsem lekarka. Mary usiadła przy swojej przyjaciółce, Patrick zajął miejsce obok ciotki. Ta przekręciła klucz w stacyjce, przy okazji uruchamiając radio, nadające akurat wiadomości.

– Do niecodziennego wypadku doszło dzisiaj, około dwie godziny temu, na warszawskich Bielanach – rozległ się głos lektora. – Zniszczeniu uległ samochód marki BMW. Jak udało się ustalić naszemu reporterowi, przyczyną zniszczenia był wybuch granatu, do odpalenia którego użyto prawdopodobnie ręcznej wyrzutni. Nie wiadomo, czy są ofiary śmiertelne. Komendant stołecznej policji odmówił odpowiedzi na pytanie, czy wypadek ten jest pierwszym przypadkiem aktu terrorystycznego na terenie naszego kraju, choć skojarzenia z podobnymi incydentami, jakie mają miejsce na Bliskim Wschodzie, a ostatnio w Paryżu i Brukseli, nasuwają się same...

Danusia spojrzała na swojego siostrzeńca z rozpaczą w oczach.

– Powiedz mi, że choć z tym nie mieliście nic wspólnego! – jęknęła.

Patrick chrząknął kilka razy, czując, że nie umie wygłosić słów zaprzeczenia.

– Ja nie miałem – powiedział w końcu – ale te dwie diabllice wręcz przeciwnie. Obawiam się, że tym sposobem pozbyły się przyjaciółki cioci na amen.

Danusia poczuła, że nic nie rozumie.

– Ale... – powiedziała. – Lektor mówił, że eksplozja miała miejsce dwie godziny temu!

– I...? – nie zrozumiał Patrick.

– A ja rozmawiałam z Kasią tuż przed tym, zanim do mnie zadzwoniłeś – dokończyła Danusia. – Jakieś dwadzieścia minut temu. I zapewniam cię, że nie sprawiała wrażenia, jakby znajdowała się na tamtym świecie!

Patrick odwrócił się, spojrzał ze zgrozą na Mary i histerycznym głosem krzyknął:

– Kogo wyście właściwie zamordowały?!

ROZDZIAŁ XXI

– Nie wie pani, pod którym numerem mieszka ktoś o nazwisku Donek? – sympatyczny młody człowiek patrzył na Kasię z nadzieją w oczach. – Coś się wylało na przesyłkę i, niech pani popatrzy, widać tylko numer domu, a ten mieszkania kompletnie się zamazał...

Kasia, która od kilku minut stała przed domofonem, bezmyślnie pukając w jego obudowę i obmyślając ciągle strategię rozmowy z mężem, a na postronnych osobach sprawiając wrażenie osoby z Alzhaimerem, niepotrafiącej sobie przypomnieć, gdzie mieszka, popatrzyła na młodzieńca z roztargnieniem. Treść jego pytania w ogóle do niej nie dotarła.

– Przepraszam, mógłby pan powtórzyć? – poprosiła.

– Donek, takie nazwisko – z twarzy młodego człowieka nie zniknął uśmiech. – Czy wie pani, pod jakim numerem mieszka. Mam dla niego przesyłkę. Spóźniłem się trochę, bo miałem ją dostarczyć już dwie godziny temu.

Kasia, oderwana od wizji, jak to w wyniku wzajemnych wyjaśnień zaczynają się z mężem ganiać po domu z nożami w dłoniach, i myśli, że powinna w takim razie od razu ustawić się strategicznie jakoś bliżej kuchni, potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, że młodzieniec najwyraźniej szuka jej. Ewentualnie tego draba, który chce ją zabić.

– Ja nazywam się Donek – powiedziała z westchnieniem, myśląc jednocześnie, że po rozwodzie, a pewnie na tym się skończy, powinna zmienić nazwisko. – A jakie ma pan tam imię? Katarzyna czy Dariusz? Bo może to być przesyłka dla mojego męża, ale wtedy nie ma kłopotu, też mogę ją od pana odebrać.

– Katarzyna – odczytał chłopak.

Wręczył Kasi nieduże pudełko, mruknął „do widzenia”, odwrócił się i szybkim krokiem podszedł do stojącego niedaleko motoru. Kopnął nogą hamulec, odpalił go i błyskawicznie zniknął z jej pola widzenia. Kasia, zaskoczona tym, że młodzieniec wzorem innych kurierów nie poprosił ją o żaden dowód tożsamości, ani też nie kazał jej gryzmolić po małym ekraniku swojego nazwiska rysikiem, co zawsze wychodziło jej tak, że stworzony przez nią bazgroł przypominał wszystko tylko nie jej autograf, przyjrzała się uważnie trzymanej paczce w poszukiwaniu danych nadawcy. Niestety, pudełko starannie okręcone kilkoma warstwami taśmy klejącej poza kwadratowymi, nieco koślawymi literami, którymi ktoś napisał jej imię, nazwisko i adres, nie posiadało niczego więcej. Kasia chętnie od razu by je otworzyła i zobaczyła, co kryje, ale niestety taśma na to nie pozwalała. Musiałaby ją rwać zębami, a i to nie wiadomo, z jakim efektem. Szukanie dentysty, który na oczekaniu dopasuje jej sztuczną szczęką, po tym jak wszystkie jej zęby zostaną w taśmie, raczej nie było jej dzisiaj potrzebne do szczęścia. Przydałyby się raczej nożyczki...

Zaciekawiona zawartością przesyłki, Kasia odruchowo wystukała kod i w tym momencie uświadomiła sobie, że klamka zapadła – za chwilę stanie oko w oko z mężem.

Przemierzyła korytarz, czując się dokładnie tak, jak kilka tygodni wcześniej, kiedy szła w klinice na drugą w życiu gastroskopię, po pierwszej mając już pełną świadomość, że wbrew uspokajającym zapewnieniom lekarzy nie jest to prościutkie, szybciutkie i niezbyt bolesne badanie, tylko coś na kształt średniowiecznych tortur i że zaraz poczuje się jak hodowlany indyk, któremu na siłę wpycha się pokarm przez rurę. Przed drzwiami Kasia wzięła głębszy oddech i czując, że serce zaczyna jej bić tak, jakby właśnie przebiegła maraton, nacisnęła klamkę. Mąż, co zauważyła od razu po wejściu, siedział na kanapie, znajdującej się na środku ich salonu. Słyszając skrzypnięcie drzwi i kroki, odwrócił się. Kasia przystanęła, zaskoczona dość oryginalnym wyrazem twarzy swojego małżonka. Ostatni raz widziała u niego podobny, gdy okazało się, że tancerka brzucha, której występem zachwycił się bezgranicznie na wakacjach w Turcji, nazywając ją najseksowniejszą kobietą świata, ma jabłko Adama i na imię Hassan.

– Co ci się sta... – zaczęła i w tym momencie jej wzrok padł na to, co znajdowało się na kanapie tuż obok Darka. Odbijający światło żyrandola blask rozsypanych przed mężem małych przedmiocików, które w pierwszym momencie wzięła za stłuczone szkło, zmusił ją do zmrużenia oczu. Kasia poczuła, jak słowa więzną jej w krtani. Myśląc, że może z nerwów dostaje już omamów, podeszła do kanapy, odłożyła trzymane przez siebie pudełko na znajdujący się przed nią stolik, przyklękała i wzięła do ręki jeden z owych przedmiocików. Przez chwilę przyglądała mu się z uwagą.

– Co to jest?! – spytała ze zdziwieniem, zwracając spojrzenie na męża i tymczasowo zapominając o wszystkich innych sprawach, jakie jeszcze kilka minut wcześniej bezgranicznie zaprzętały jej głowę – Czy to jest...

– Tak – odpowiedział Darek, nie zmieniając swojego oszołomionego wyrazu twarzy. – Według tego, co mi wiadomo, trzymasz w ręku brylant.

Kasia popatrzyła raz jeszcze na bez mała przezroczysty kamyczek.

– Brylant? – upewniła się. – A nie diament? Czy to jedno i to samo?

Darek pokręcił głową.

– Diamenty mają nieregularną formę i z reguły matową powierzchnię – wyjaśnił. – A te tutaj zostały starannie oszlifowane. Jako tako są o wiele cenniejsze od diamentów.

– Ile są warte? – zapytała Kasia. – I skąd się wzięły na naszej kanapie?

– Licho wie, brylant brylantowi nierówny – odpowiedział Darek. – Najcenniejsze są te czyste, bez żadnej skazy ani rysy. Kiedyś jeden z moich kontrahentów pokazał mi swoją kolekcję kamieni szlachetnych. Miał tam brylanty, diamenty, rubiny, topazy, a nawet coś osobliwego, co nazywało się jeremejevite i ponoć jest jednym z najrzadziej spotykanych minerałów na Ziemi. Tłumaczył mi wtedy, po czym ocenia się wartość takich kamieni. Diament ze skazą, matowy, popękany, z jakimiś farfocłami w środku wart był jego zdaniem kilkaset złotych, a taki nieco tylko większy brylant, krystalicznie przejrzysty, bez mała jak kawałek lustra, nawet kilkadziesiąt tysięcy. Obejrzałem kilka z tych, które tutaj leżą i wydaje mi się, że o ile tylko są autentyczne, należą do tych najcenniejszych.

Kasia wsunęła rękę w kamyki i nabrała ich pełną garść.

– Chcesz powiedzieć, że mogę mieć teraz w ręku kilkaset tysięcy złotych? – zapytała

z niedowierzaniem, po czym nieco się przecknęła. – Obrabowałeś kogoś?

– Nie – z twarzy Darka zniknął wyraz oszołomienia, ustępując miejsca ciekawości. – Znalazłem to w naszej łazience, na górze.

Patrzył teraz na nią z takim natężeniem, z jakim hazardziści, grający w Lotto, wpatrują się w telewizor podczas wybierania przez maszynę losującą piłeczek z numerami.

– W naszej mocno zrujnowanej łazience – powiedział powoli, starannie akcentując każde słowo. – Masz mi coś o tym do powiedzenia?

Kasia milczała, starając ułożyć sobie w głowie wszystko to, co wiedziała, oraz to, co teraz niejasno zaczęło jej się klarować.

– Katarzyno... – zachęcił ją mąż. – Może jednak coś mi powiesz?

Ponad wszystkimi myślami zaczęła królować jedna i Kasia poczuła, że za chwilę strzeli ją apopleksja, jeśli najpierw nie wyjaśni z mężem swojej podstawowej wątpliwości.

– Dlaczego chciałeś mnie zabić? – zapytała, czując, że nie ma siły wyrazić tego pytania bardziej dyplomatycznie ani podstępnie.

Darek milczał, lustrując ją uważnie spojrzeniem, którego znaczenia Kasia nie umiała odczytać. Na wszelki wypadek, udając, że od kucania zdrętwiały jej nogi, usiadła i nieco przesunęła się do tyłu, myśląc niejasno, że jakby rzucił się ją dusić, to zdąży chwycić leżący pod stolikiem, przywieziony im kiedyś przez przyjaciół z wakacji na Sri Lance, kijek wypełniony piaskiem, służący tam lokalnym szamanom do przywoływania deszczu, i dać mu nim po łbie. Mąż jednak ani drgnął.

– A skąd ten pomysł? – zapytał po kilku sekundach milczenia, które w głowie przerażonej Kasi rozciągnęły się do kilkudziesięciu minut.

– Kazałeś mi jechać do warsztatu samochodem, w którym nagle wszystko się popsuło, na czele z hamulcami, i to w momencie, kiedy przekroczyłam dość znaczną prędkość – powiedziała. – Mareczek mówi, że w jeepach takie rzeczy się nie zdarzają. No chyba, że ktoś popsuje je naumyślnie. Ale nie może tego zrobić pierwszy lepszy, tylko ktoś, kto doskonale zna się na komputerach. Na przykład jakiś haker...

Wymawiając to ostatnie słowo Kasia patrzyła na męża z taką uwagą, jak szykujący się do skoku kot na przechadzającego się przed nim gołębia. Kiedy zobaczyła, jak Darkowi mimowolnie drgnęła prawa brew, wiedziała już, że jej podejrzenia, choć przez cały czas wmawiała sobie, że to tylko jej fantasmagorie, są prawdziwe. Mąż opanował się natychmiast, ale ten ułamek sekundy, kiedy nie zdołał nad sobą zapanować, przesądził sprawę. Darek też szybko to zrozumiał.

– Dlaczego tak histerycznie zareagowałaś, kiedy powiedziałem ci, że mamusia poszła do piwnicy? – zapytał, nie nawiązując w ogóle do tego, co usłyszał przez chwilę. – I dlaczego nasza łazienka wygląda tak, jakby jakiś górnik dostał w niej ataku szału?

„Wóz albo przewóz”, pomyślała kolejny już tego dnia raz Kasia, nagle czując w sobie przyływ desperackiej odwagi.

– Myślę, że znasz odpowiedź na pierwsze pytanie – powiedziała stanowczo. – A na drugie nie umiem ci odpowiedzieć, bo sama nie wiem... To znaczy wiem, ale nie do końca.

Darek westchnął i wstał z kanapy. Kasia wysunęła rękę i namacała pod stolikiem kijek.

Mąż jednak nie rzucił się na nią, tylko podszedł do znajdującego się w kącie barku, wyciągnął z niego dwa kieliszki i butelkę białego wina. Otworzył ją, napełnił kieliszki, jeden z nich postawił wraz z butelką na stoliku przed Kasią, a z drugim z powrotem usiadł na kanapie.

– Skoro już robi nam się reality show „Wieczór prawdy” – powiedział – to chyba lepiej się trochę znieczulić. Tak kompletnie na trzeźwo może nam to wyjść bokiem. W takim razie, proszę, zaczynaj...

– A może jednak ty? – zaproponowała Kasia. – Bo to chyba od ciebie się jednak zaczęło...
– Ode mnie? – zdziwił się mąż, po czym machnął ręką. – No dobrze, może i faktycznie. Co chcesz wiedzieć?

Kasia sięgnęła po kieliszek, wypila trochę wina i poprzez szkło spojrzała na męża. Wydało jej się to tak teatralne, że przez chwilę miała wrażenie, że gra w jakiejś kiepskiej sztuce i za chwilę publiczność zacznie na nią buczeć.

– Ile miałeś kobiet przez ten czas, kiedy traktujesz mnie jak powietrze? – zapytała.
– Ani jedn... – zaczął odruchowo Darek, ale spojrzenie Kasi przywołało go do porządku, – No dobrze, jedną...
– Serio? – zdziwiła się Kasia, która w wyobraźni dorobiła mu cały harem. – Co tak marnie?

– I w dodatku szybko mi się znudziła – dodał mąż mimowolnie usprawiedliwiającym tonem.

– A to czemu? – Kasia zrobiła wielkie oczy. – Skoro już wybrałaś tę jedyną, to liczyłam na to, że będzie specjalna. Nie była?

– Niezbyt – mruknął Darek. Przez chwilę się wahał, ale dokończył. – Zresztą okazało się, że jest ze mną tylko dlatego, że jej kazano.

Kasia parsknęła śmiechem, ale szybko się opanowała.

– Kazano?! To straszne! Biedactwo, prawie mi cię szkoda... A kto jej kazał? – zapytała czujnie – I po co?

– Ktoś, komu byłem, a właściwie to nadal jestem, winny sporo pieniędzy – wyjaśnił Darek. – Miała przypilnować, czy na pewno mu oddam.

– I co? – zaciekawiała się Kasia. – Pilnuje cię nadal?

– Po drodze się rozmyśliła, bo dowiedziała się o spadku – Darek napił się trochę wina, łapiąc się na myśli, że z każdym łykiem żona wydaje mu się coraz bardziej atrakcyjna. – I wymyśliła sobie, że bardzo by chciała wejść w jego posiadanie...

– A to niby jak?! – zapytała Kasia, po czym nagle dotarła do niej prawda. – Rozumiem, że chcieliście mnie usunąć z tego świata we dwoje. No, pięknie...

– Zaćmienie umysłu – powiedział Darek. Wstał i dolał wina i sobie, i Kasi. – Bo tak naprawdę dość szybko zrozumiałem, że nasz, nazwijmy to, związek nie ma żadnej przyszłości. Nawet dokładnie wiem, kiedy się to stało.

– Kiedy? – Kasia znowu łyknęła wina i ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że mąż nie wydaje jej się wcale aż tak obleśny jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Chyba jest jakaś nienormalna, że dochodzi do takiego wniosku teraz, kiedy ów zbir potwierdza jej

najgorsze obawy. Jeśli wyjdzie z tego cało, będzie musiała czym prędzej zapisać się na wizytę u psychologa. A może psychiatry? Albo psychoanalityka? Licho wie. W każdym razie jakiegoś specjalisty od sprawdzania, dlaczego ma pusto w głowie i postępuje jak pomyłona.

– Kiedy prezentując moim klientom wykresy strategicznego rozwoju mojej firmy, zniechęcała zaprezentowałem im zdjęcia, przedstawiające mnie w czasie seksualnej orgii w różnych pozycjach z dwoma policjantami – powiedział Darek. – Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale wyglądało to wyjątkowo realistycznie, zupełnie nie jak fotomontaż...

– Kilka świńskich stron i krótki kurs Photoshopa – wyjaśniła Kasia. – Nie pozwoliłaś mi pracować, więc miałam dużo czasu na naukę. Coś przecież musiałam robić! Siedzę tu całe dni i się nudzę!

– Mogłaś na przykład czasem tu posprzątać – mruknął mąż. – Ale przynajmniej nauczyłaś się gotować...

– Tere-fere – Kasia uśmiechnęła się złośliwie. – To catering. Zaprzyjaźniony...

– Wiedziałem! – oznajmił triumfująco Darek. – To dlatego w soboty i niedziele zawsze jemy wszystko odgrzewane!

– Nie rozprasza się! Co ci uświadomiła ta prezentacja? – zgromiła go Kasia i zniechęcała tknęła ją nieco przerażająca myśl. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że nagle odkryłeś, że wolisz facetów i chcesz mi teraz powiedzieć, że poznałeś dwóch przystojnych policjantów, zamieszkacie razem i będziesz się z nimi non stop bzykał?!

Darek popatrzył na nią z politowaniem.

– Na razie jeszcze nie odkryłem w sobie żadnych niecodziennych ciągót – powiedział stanowczo – ku rozpaczy jednego z klientów, który po tej prezentacji nieustannie nagabuje mnie, żebym pojechał z nim do SPA, gdzie pójdziemy sobie do sauny, i oferuje, że wynajmie nam najlepszy apartament, żebyśmy, że też zacytuję, zabawili się za wszystkie czasy. Nie, dzięki, to zdecydowanie nie dla mnie. Uświadomiłem sobie za to wtedy, dlaczego kiedyś tak bardzo cię uwielbiałem...

– To ciekawe – zamyśliła się Kasia. – Bo i ja sobie coś uświadomiłam niedawno. Właściwie kilka godzin temu... Nieważne, na moje zwierzenia przyjdzie jeszcze czas. Kontynuuj...

– I pomyślałem sobie przez moment, że jeszcze chyba nie jest za późno, żebyśmy się dogadali – powiedział Darek. – Ale ponieważ wszystko już było ugadane i ustalone...

– Nie zastosowałaś prawa łaski? – dokończyła Kasia. – To chciałeś powiedzieć?

Darek pokiwał twierdząco głową.

– Ale zdaje się, że nie tylko ja jeden postanowiłem zostać mordercą – spojrzał na Kasię i mrugnął okiem. – Piwnica...? Miałem tam sobie skrócić kark?

– Nie – niezbyt chętnie zaprzeczyła Kasia. – Przelecieć przez schodek, który spiłowałam, i nabić na tę dzidę, którą przywiozłeś kiedyś z Grunwaldu.

– Żartujesz?! Spiłowałaś schodek? Ty?! – Darek wyglądał na zaskoczonego. – Swoją drogą, trochę straszna śmierć. Ja ci wymyśliłem łagodniejszą!

– W zapasie miałam jeszcze porażenie prądem i w ramach uczenia się gotowania, do

czego tak gorliwie mnie namawiałeś, przygotowanie zupy z trujących grzybów – wyjaśniła Kasia.

– Mogłaś ugotować cokolwiek – powiedział złośliwie Darek. – Efekt byłby podobny...

– Widzisz! – Kasia znów zgromiła go wzrokiem. – To jest właśnie to, czego w tobie nie lubię.

– Naprawdę?! – szczerze zdziwił się Darek. – Zawsze wydawało mi się, że lubisz moją złośliwość!

– Owszem, lubię, ale nie jak jestem jej obiektem – wyjaśniła Kasia. – Jeszcze od czasu do czasu jakoś to zniosę, ale ostatnio czepiałeś się tylko mnie. Na dłuższą metę nie da się tego wytrzymać...

Darek przez chwilę milczał, rozważając jej słowa.

– No dobrze – zgodził się wreszcie bez entuzjazmu. – Może i masz trochę racji. Ale wiesz, jak ze mną jest. Im bardziej kogoś lubię, tym mu bardziej dokuczam...

– No, to mnie musisz uwielbiać nad życie! – prychnęła Kasia.

– Może tak jest... – powiedział Darek.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Co nie zmienia faktu, że nadal mamy pat – powiedziała wreszcie Kasia. – Jeśli jedno z nas nie zejdzie z tego świata, majątek przejdzie nam koło nosa. A w dodatku, o ile dobrze rozumiem, wisisz kasę jakiemuś bandziorowi?

– Owszem, najgorszemu z możliwych – przytaknął Darek. – Ale zdaje się, że właśnie znalazłem coś, co pozwoli rozwiązać przynajmniej ten problem...

Wskazał na wciąż mieniące się kuszącym blaskiem kamyki.

– No, właśnie – ocknęła się Kasia. – Skąd je wytrzasnąłeś?

– Powiedziałem ci, z łazienki na górze – przypomniał Darek. – Nie wiem, co tam się wydarzyło, ale wystarczyło lekko popukać w miejsce, gdzie kiedyś były kafelki i ściana, żeby sypnęła się reszta i pojawiła dziura. A w dziurze leżało zawiniątko. Możesz mi wyjaśnić ruinę naszej łazienki?

Kasia w kilku zdaniach streściła wydarzenia dzisiejszego dnia.

– I Danusia podrzuciła włamywacza do Szpitala Bielańskiego? – ku zdumieniu swojej żony Darek dostał czegoś na kształt ataku śmiechu. – Pierdzielę, zapewniliśmy dzisiaj służbie zdrowia niezły dzień. Ciekawe, czy znaleźli chwilę, żeby zajmować się kimkolwiek innym niż nasze ofiary!

Kasia popatrzyła na niego pytająco. Darek bez oporów zdradził jej przebieg swojego dnia.

– A do tego jeszcze zawiozłaś tam oskalpowaną mamusię – dodał na koniec i znów zaczął się śmiać, ale złapawszy zirytowane spojrzenie żony, szybko spróbował się opanować. – Przepraszam cię, chyba odreagowuję cały dzień...

– Masz się z czego cieszyć – powiedziała Kasia. – Nie za bardzo wiem, jak z tego wybrniemy. Przecież te diamenty też do kogoś należą...

– Brylanty – sprostował Darek. – No i co z tego? Zdaje się, że ich właścicielowi zafundowałaś kurację w szpitalu. Swoją drogą, szkoda tego radia...

– Faktycznie, masz czego żałować – powiedziała z politowaniem Kasia. – Stary gruchot, w dodatku zacięty na jednej stacji. Złote Ramoty. Tam grają tylko Beatę Kozidrak. Po tysięcznym wysłuchaniu „Białej armii” sama miałam ochotę dosiąść Kasztanki i poprowadzić wojsko na Moskwę. Daj spokój...

– Czepiasz się, to kapitalna piosenka – zaproponował Darek. – Poza tym ja i tak kocham Beatę!

– To się jej oświadczy, albo raczej poprosi, żeby cię adoptowała! – prychnęła gniewnie Kasia. – Chodzi mi o to, że nie podejrzewam tego kołtuniastego, aby stał na czele jakiejś szajki. Nie wygląda na takiego. Myślę, że ma jakiegoś szefa i jak ten szef się dowie, że mamy jego brylanty, to będzie z nami cienko.

– Nie wiem, skąd u ciebie takie znawstwo szajek, ale niech ci będzie – zgodził się Darek. – Możemy na razie zapchać brylantami tego mojego i poczekać, co się stanie. Może skupi się na tym twoim kudłatym. Bo niby, jak on udowodni, że nie rąbnął brylantów dla siebie? Tym bardziej, jeśli dostanie amnezji po porażeniu prądem...

– Myślisz...? – zastanowiła się Kasia i dopiero zrozumiała, co mąż ma na myśli. – Że niby mamy mu tę amnezję podpowiedzieć? Hmm... Trochę się boję, że to może nie wyjść i jednak ktoś się będzie czepiał nas. A co ze spadkiem?

– Chyba musimy położyć na nim krzyżyk – zawyrokował z westchnieniem Darek. – Takie bogactwo pójdzie na kościoły. Jakby one nie miały dosyć majątku!

Kasia wstała i usiadła obok niego na kanapie, po czym znów wzięła do ręki kilka brylantów.

– A może po prostu nawiejmy z nimi? – zaproponowała. – Uciekniemy gdzieś daleko, spieniężymy je i będziemy żyli w spokoju po wsze czasy.

– Tygrys i tak nas znajdzie. Wykopie nas nawet spod ziemi – Darek pokręcił głową. – Nie, muszę go jakoś udobruchać, bo inaczej mamy przechlapane. Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

– Szkoda... – powiedziała z żalem Kasia. Uniosła jeden z brylantów i popatrzyła na niego pod światło. Tajemniczy blask bił od niego z uwodzicielską siłą. „Diamenty są najlepszymi przyjaciółmi każdej dziewczyny...”, przypomniało jej się zdanie z piosenki Marilyn Monroe. W tym samym momencie poczuła, jak mąż delikatnie całuje ją w szyję. Nieco zaskoczona odwróciła się i popatrzyła na niego uważnie. Darek uśmiechnął się w ten sam szelmowsko-chłopięcy sposób, którym lata temu podbił jej serce. Czy to za sprawą uśmiechu, czy trzymanego w dłoni brylantu, a najpewniej wypitego wina, Kasia poczuła, jak narasta w niej podniecenie. Delikatnie pogładziła policzek męża. Darek wziął jej rękę i pocałował w nadgarstek. Wiedział, że to uwielbia. Kasia cicho westchnęła. A potem sprawy potoczyły się już o wiele szybciej...

ROZDZIAŁ XXII

Telefon dzwonił jak wściekły. Raz, drugi, trzeci. Leżąca na dywanie, wtulona w męża Kasia w końcu nie wytrzymała. Wstała i podeszła do wieszaka. Przez chwilę macała swoją kurtkę, nie pamiętając, gdzie wsadziła tę cholerną komórkę. Wreszcie wyciągnęła ją z wewnętrznej kieszonki.

– Akurat teraz dostałaś ataku głuchoty?! – błyskawicznie rozpoznała gniewny głos Danusi. – Musisz natychmiast uciekać z domu!

– Kiedy mi tu jest dobrze – powiedziała zaskoczona niebotycznie Kasia. – Nawet więcej niż dobrze. Fantastycznie! Pogodziliśmy się z Darkiem...

– To dobrze. Powiedz mu, żeby też czym prędzej stamtąd nawiewał! – gorączkowała się Danusia. – Nie macie chwili do stracenia. Jedna taka jedzie was zastrzelić!

Kasia poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz, co mogło swoją drogą być spowodowane faktem, że stała naga w zimnawym korytarzu, gdzie w dodatku ciągnęło po nogach od drzwi wejściowych.

– Jaka jedna taka? – zapytała bezradnie.

– Zakonnica – oświadczyła Danusia grobowym tonem. – Fałszywa!

Kasia pomyślała, że najpewniej jej przyjaciółka zbzikowała. Albo może w ramach odreagowywania wstrząsających wydarzeń, w jakich brała udział, strzeliła sobie o jednego kielicha za dużo?

– Jaka znowu fałszywa zakonnica? – usiłowała sprecyzować. – W przebraniu?

– W żadnym przebraniu! – zaprotestowała Danusia. – W bardzo ładnej sukience. Ale to nie ma nic do rzeczy. Ma pistolet. I chce was zabić, oboje... Ukradła mi samochód i nasze telefony, jak przenosiłam z moim siostrzeńcem drugą zakonnice do szpitala. Po wybuchu!

– Po jakim wybuchu?! – zapytała ze zgrozą Kasia.

– Dużym – odpowiedziała smutno jej przyjaciółka.

Kasia, nadal nic nie rozumiejąc, z miejsca wyobraziła sobie, jak Danusia i bliżej jej nieznanymi siostrzeniec przenoszą rozmaite części kadłuba rozerwanej na strzępy w wyniku niesprecyzowanej eksplozji zakonnicy. Minęła chwila, zanim wymazała przed oczu ten makabryczny obrazek.

– Ale czemu ta siostra chce nas zabić? – zapytała, zostawiając na razie na boku kwestie wybuchu oraz sensu tachania rozmaitych oderwanych ludzkich organów do szpitala. Może przydadzą się na przeszczep? – Co jej zrobiliśmy?

– To zakonnica z Ameryki – wyjaśniła Danusia. – Dybie na wasz spadek. Przy okazji, ponoć ten spadek ma dziedziczyć mój brat. Nie wiem, jakim cudem nigdy o tym nie rozmawialiśmy...

Kasia poczuła, że od nadmiaru informacji za chwilę dostanie migreny.

– Twój brat? – jęknęła. – Kim jest twój brat?

– Księdzem w Stanach, przecież kilka razy ci o tym mówiłam – przypomniała Danusia.

– Od razu ci powiem, że on nic nie wie o tobie, ani o tym, co robią jego zakonnice, bo

wszystko przed nim ukryły. Słuchaj, nie ma czasu na gadanie. Ta zakonnica zaraz pewnie u was będzie...

– To nie może poczekać na ten spadek parę miesięcy? – zdziwiła się Kasia. – Przecież i tak w końcu twój brat go dostanie! My nie spełniamy warunków i kończy nam się czas...

– Spiesz się jak dziadowi na Kalwarię – wyjaśniła Danusia. – Zresztą możesz starać się ją przekonać. Ja próbowałam i o mało co nie zarobiłam za to kulki w głowę, więc uprzedzam, że to nie najszczęśliwszy pomysł. Ona nie mówi po polsku. A do tego jest tak jakby trochę uparta, zdesperowana i wyposażona w broń, która bez trudu pozwoli jej wejść do waszego mieszkania. Aha, jak już się pogodziłaś z Darkiem, to powiedz mu, że już nie jest właścicielem BMW.

– Bo...? – Kasia straciła nadzieję, że kiedykolwiek rozplącze mętlik, jaki miała w głowie.

– Bo właśnie eksplodował – wyjaśniła Danusia. – Z jakąś osobą w środku. Siostry były pewne, że to byłeś ty, ale niestety, przez przypadek wydało się, że nie. Inaczej to ta jedna polowała już tylko na Darka. Matko, czy ty jesteś głucha i nie dociera do ciebie, co mówię? Uciekaj z domu! Zamelinuj się gdzieś na dzień, dwa. Mój siostrzeniec twierdzi, że za dwa dni one muszą wrócić do Stanów.

– A co w tym wszystkim robi twój siostrzeniec? – zapytała Kasia.

– Przynosi wstyd naszej rodzinie – prychnęła gniewnie Danusia. – Nie mam czasu ci teraz tego wyjaśniać. Spierdzielajcie jak najdalej od domu. I wyłączcie telefony komórkowe, bo łatwo was dzięki nim namierzyć!

Danusia przerwała połączenie. Kasia przez chwilę patrzyła zdumionym wzrokiem na swoją komórkę, po czym przeniosła wzrok na męża. Darek zapinał właśnie guziki od koszuli, mając w oczach dwa znaki zapytania. Kasia wzięła głęboki oddech i powtórzyła mu treść rozmowy.

– Ktoś wysadził nasze BMW w powietrze?! – powiedział z niedowierzaniem Darek. – Jak to możliwe?!

– Gorzej, że ponoć w samochodzie znajdowała się w tym czasie jakaś osoba – dokończyła Kasia. – I zapewne wiesz, kto to był...

– O kurwa, Diana... – Darek złapał się za głowę. – Chcesz powiedzieć, że...

– Owszem, twoja kochanka wyparowała na tamten świat – potwierdziła Kasia. – Mnie w sumie bardziej żal samochodu, ale jak bardzo chcesz, to pozwolę ci się trochę pomartwić. Tak z minutę. I to pod warunkiem, że w tym czasie dokończysz się ubierać i zapakujesz brylanty. A poza tym...

W tym momencie zadzwoniła komórka Darka. Ten, zajęty zakładaniem swetra i mając w związku z tym skrępowane ręce, dał Kasi znak głową, aby odebrała.

– Włącz głośnik – poprosił, po czym, gdy wykonała jego polecenie, głośniejszym głosem powiedział. – Tak? Słucham!

– Ty pierdzielony łachmyto – głos ze słuchawki rozległ się z takim natężeniem, że aż echo poszło po pokoju. – Ty w cztery litery jechany cwelu. Ja ci dam zabijać mojego aniołka!

Darek od pierwszego słowa rozpoznał głos Tygrysa Żłocistego. Treść wygłaszanego przez

niego komunikatu wydała mu się jednak co najmniej zastanawiająca.

– O czym ty mówisz? – zapytał, próbując czym prędzej skończyć machinacje przy swetrze. Niestety, ten z całej siły stawiał opór.

– Już ty wiesz, o czym jak mówię, ty ciulu łomżyński – oznajmił gniewnie głos. – Przygotuj się na to, że dzisiaj zeżresz swoje własne jaja po tym, jak ci je wyrwę, ty matkojebco! Pożałujesz, że chodzisz po tej planecie!

– Ale co się stało?! – Darkowi udało się wyswobodzić jedną rękę. Sięgnął po komórkę i przyłożył ją do ucha, wyłączając tym samym głośnik. – Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi!

– I jeszcze mnie w konia robisz, piździochu ty cholerny – sapał po drugiej stronie Tygrys. – Żeby moją córkę zaprawić czymś w łeb i porzucić na mrowisku? Ona jest alergiczka! Wiesz, jak teraz wygląda? Jak jakaś pierdzielona mała zawodniczka sumo! Nie żyjesz, szmaciarzu. Nie wymyślono jeszcze w historii takich tortur, jakie ci dzisiaj zadam, skurczybyku w przedziałek zdzielony grabiami!

Darek poczuł, że za chwilę zwymiotuje, tudzież, że jego nogi zamieniają się w galaretę. – Tygrys, to nie jest tak, jak myślisz! – krzyknął w panice. – Nie wiedziałem, że to twoja córka! Nigdy bym się nie ważył jej tknąć! Przysięgam na wszystko, łącznie z rybą Darwina, masońską piramidą i rondlem rastafarianów!

– Jeszcze sobie, cioto, robisz ze mnie jakieś jaja?! – Tygrys nie brzmiał na udobruchanego. – Niech cię tylko dorwę!

– Tygrys, musisz mnie wysłuchać... – jęknął błagalnie Darek.

– Zaraz cię wysłucham, bądź tego pewny – powiedział Tygrys. – Właśnie jadę, żeby usłyszeć, jak wykrzyczysz swoje ostatnie słowa w życiu...

– Tygrys... – zaczął Darek, ale krótki sygnał w słuchawce dał mu znać, że nie ma już po co mówić dalej. – No, to koniec...

Teraz Kasia patrzyła na niego pytająco.

– Możesz mnie od razu zabić, będzie prościej – powiedział Darek zrezygnowanym tonem. – Ta harcerka, o której ci opowiadałem, to córka bandziora, któremu wiszę kasę. Jedzie tutaj, żeby mnie torturować i zabić. To naprawdę koniec.

Kasia poczuła, że dzień, który już i tak zdecydowanie zasługiwał na miano najbardziej intensywnego i męczącego w jej życiu, ma też coraz większe szanse na to, stać się ostatnim, jaki spędzi na tej planecie.

– Zdaje się, że żadne z nas nie przeżyje dzisiejszego wieczoru – zawyrokowała. – Ciebie zabije ten, jak mu tam? Lew...

– Tygrys – sprostował Darek ponuro. – Złocisty.

– Niech będzie, Tygrys – zgodziła się Kasia. – A mnie podczas rozpaczania nad twoimi zwłokami dobije jakaś amerykańska zakonnica. Pięknie...

Darek klapnął na kanapę i ukrył twarz w dłoniach.

– Tylko nie zaczynaj mi się tu mazgać – powiedziała gniewnie Kasia. – Właśnie odzyskałam do ciebie jakąś część sympatii, ale przysięgam, że jak mi tu zaczniesz histeryzować, to jeśli nawet przeżyjemy, jutro wnoszę sprawę o rozwód.

– Myślę, że i tak zostaniesz wdową – Darek zsunął ręce w dół twarzy i przez chwilę gładził się po swojej bródce. – Nie widzę żadnego wyjścia z tej sytuacji. A ty?

– Najpierw wpadło mi do głowy, że ukryjemy się na kilka dni w piwnicy – powiedziała Kasia. – Zapasów tam mamy nawet na cały tydzień. Co prawda wyszlibyśmy stamtąd z cukrzycą, bo to wszystko dzemy i powidła, ale przynajmniej żywi. Tyle że to pomysł do bani. Skoro ta zakonnica jedzie tu wyposażona w broń od stóp do głów, jak jakiś cholerny Robocop, a piwnica nie ma nawet kłódki, to też nas załatwi bez trudu...

– Może wezwiemy policję? – podsunął Darek.

– I jak im wytłumaczysz wszystko, co tutaj się dzisiaj wydarzyło? – Kasia popatrzyła na niego z politowaniem. – Naprawdę chcesz, żeby zrobili śledztwo i dogrzebali się do twoich pokątnych interesów z jakimiś bandytami i dziwkami, które ci podstępem nasłali na kark?

– Nie mówi się źle o nieżyjących! – zgorszył się Darek. – Poza tym Diana nie była dziwką. To znaczy, chyba nie była... Ale co racja, to racja. Lepiej się trzymać z dala od policji... To co robimy?

– Pójdziemy do mojej mamy – oznajmiła stanowczo Kasia. – Jej mieszkanie stoi teraz puste, mam do niego klucze. To co prawda jakaś godzina spaceru, ale co tam. Ważne, że nikt nas tam nie powinien szukać. Zaszycemy się i zastanowimy się, co dalej. Rusz się!

Darek zerwał się z kanapy i podbiegł do korytarza, żeby wziąć ich kurtki. Kasia pospiesznie zaczęła się ubierać.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że to, co przed chwilą tu przeżyliśmy nic na razie nie zmienia między nami? – zapytała. – I że jeśli nawet podejmiemy decyzję, że chcemy dać sobie jeszcze jedną szansę, to czeka nas długa droga? Nie wiem, czy jestem ci w stanie znów zaufać...

– Naprawdę uważasz, że teraz jest czas na tę dyskusję? – zdziwił się Darek. – Za moment jedyne, w co będziemy mogli zaufać, to w to, że znajdzie się ktoś, kto nas pochowa w miarę przyzwoicie.

Kasia rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu swojej torebki, ale szybko przypomniało jej się, że zostawiła ją w samochodzie Danusi. Myśl, że teraz kieruje nim jakaś amerykańska wywłoka, którą w myślach wyobrażała sobie jako żeńską wersję Terminatora, sprawiła, że zrobiło jej się trochę niedobrze. Złapała jednak zniecierpliwione spojrzenie męża i szybko wzięła się w garść. Nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą. Darek szarmancko pomógł jej włożyć kurtkę. Zamknęli mieszkanie i przeszli przez ciemny korytarz. Nie zapalili światła, bo z niewiadomych przyczyn wydawało im się obojgu, choć nawet tego nie skonsultowali ze sobą, że muszą działać jak najbardziej konspiracyjnie. Kasia przemknęła nawet przez głowę, że może powinni przedostać się do mieszkania jej mamy pod ziemią, jak w czasie wojny. Przed realizacją tego pomysłu powstrzymała ją jedynie trzeźwa myśl, że i tak nie pamięta, gdzie w okolicy znajduje się wejście do kanału. Ostrożnie, bez mała na palcach, wyszli z budynku. Właśnie zamykały się za nimi drzwi, kiedy Kasia przypomniała sobie, że jej portfel wcale nie został w samochodzie Danusi, bo przecież wyjęła go po powrocie z warsztatu. Mogliby się jeszcze po niego wrócić! W końcu gotówka i karty zawsze się im przydadzą. Odwróciła się do

Darka, żeby mu to oznajmić i w tym momencie zobaczyła w szybie, jak stojący tuż przed nimi samochód włącza długie światła. Odruchowo spojrzała w jego stronę i w tym momencie, oślepiąca, straciła na chwilę kontakt z rzeczywistością...

Mary była wściekła jak osa. Sama nie wiedziała na kogo najbardziej. Czy na Alnę, za jej ośli upór co do wyboru rodzaju broni, którą się posłużą, czy na Patricka, który ściągnął im na kark swoją świętojebliwą cioteczkę, która zaczęła ich oboje umoralniać z gorliwością godną kaznodziei na misji w afrykańskim buszu, czy też w końcu na samą siebie za pomysł przyjazdu do Polski. Nie, pomysł sam w sobie nie był taki zły, gorzej im poszło z jego realizacją. Ale z drugiej strony, kto mógł przewidzieć, że samochodem spadkobierców będą jeździły jakieś postronne osoby, a ruski granatnik okaże się złomem, nadającym się do obsługi jedynie przez dwustukilogramowego Kacapa? Szlag by to... Mary popatrzyła na urządzenie, które przytomnie zabrała ze swojego samochodu, a które teraz służyło jej już jedynie jako nawigacja, bo oba śledzone wcześniej za jego pomocą auta przestały mieć znaczenie. Do domu spadkobierców miała jeszcze pół kilometra. Może cholerna cioteczka nie zdąży ich uprzedzić o jej przyjeździe? W końcu ma przy sobie jej komórkę. Ile numerów, które są tam zapisane, idzie spamiętać? Dwa? Trzy? Mary rzuciła okiem na lusterko i z zaskoczeniem odnotowała, że dogania ją jakiś pojazd. Sama miała na liczniku stówę, więc tamten wariat z pewnością ją przekraczał i to, sądząc po tempie, w jakim zmniejszał się między nimi dystans, dość mocno. Mary zjechała odrobinę na prawo, żeby go przepuścić. „Szybki i wściekły”, jak go w myślach nazwała, minął ją błyskawicznie, nawet na moment nie zwalniając. Po chwili zniknął jej z oczu. Mary podjechała pod dom Donków i zaparkowała w tej samej uliczce, co parę godzin wcześniej. W mieszkaniu jej potencjalnych ofiar paliło się światło. Doskonale! W takim razie będzie można ich zaskoczyć. Pytanie tylko, jak ich wywabić z domu? Mary na chwilę popadła w zadumę, a potem nagle doznała olśnienia. Sięgnęła po swoją torbę i wyciągnęła z niej dwa podarowane jej przez sprzedawcę jajka-granaty. Po co wyciągać z domu spadkobierców, skoro można po prostu złożyć im niespodziewaną wizytę? Mary obejrzała jajka, usiłując sobie przypomnieć, które do czego służy. Te złote na czubku miały wybuchać, a te czerwone wypuszczać gaz obezwładniający? A może odwrotnie? Cholera by wzięła jej sklerozę... Nie, chyba jednak właśnie tak. Mary schowała z powrotem do torebki jedno jajko, a drugie wsunęła do kieszeni kurtki. Wzięła w rękę Glocka i już miała wysiadać, kiedy zauważyła, że światło w oknach spadkobierców zgasło. Poszli spać? Nie, zdecydowanie nie. Kto chodzi spać o dziewiątej wieczorem?! Wygląda na to, że postanowili zrobić jej przyjemność i wyjść z domu. Pytanie tylko, czy oboje? Mary odpaliła silnik i podjechała kilkanaście metrów. Teraz stała vis a vis wyjścia z bloku Donków. Odbezpieczyła Glocka i w tym momencie zobaczyła, jak w drzwiach wejściowych pojawiają się dwie postaci. Przez cały dzień, oglądając co parę minut wydrukowane przez sprzedawcę zdjęcia Kasi i Darka, nauczyła się już na pamięć, jak wyglądają jej ofiary. Nie chcąc znów ryzykować pomyłki i tego, że wyśle na lepszy padół nie te osoby, co trzeba,

włączyła długie światła. W ich blasku zobaczyła jak na dłoni dwie osoby, które stały jej na drodze do majątku i świętego spokoju...

Tygrys Żłocisty grzał swoim mercedesem ponad sto trzydzieści na godzinę, przepełniony z jednej strony żądzą zemsty, a z drugiej niepokojem. Żądza wynikała z tego, co zobaczył kilkanaście minut wcześniej w szpitalu. Jego kruszynka, jego aniołek, jego skarb leżał tam nieprzytomny z zabandażowaną głową, podłączony pod kroplówkę. Początkowo Tygrys nie wiedział, kto jest sprawcą tego nieszczęścia, a zarazem żywym trupem, który jeszcze nie wie, że niebawem trafi sześć stóp pod ziemię. Wszystko jednak przez przypadek wyjaśniła mu pielęgniarka, czuwająca nad jego maleństwem, o ile oczywiście to określenie pasowało do osoby ważącej tyle, co mały słonik.

– Pana córkę przywieziono tutaj z jakimś mężczyzną – poinformowała Tygrysa. – Dostaliśmy anonimowy telefon. Ktoś poinformował, że oboje leżą nieprzytomni w Lasku Bielańskim.

– A ten mężczyzna – zaciekawiał się Tygrys – gdzie teraz jest?

– Piętro niżej, na chirurgii – powiedziała pielęgniarka. – O ile dobrze pamiętam w sali piętnastej...

Tygrys posiedział jeszcze moment przy swojej córce, porozmawiał chwilę z opiekującym się nią antypatycznym lekarzem, hamując się co kilkanaście sekund, żeby tego naburmuszonego konowała, traktującego go jak jakiegoś robala, nie przycisnąć do ściany i porządnie nie skopać, po czym zszedł na dół. Jeden rzut oka na mężczyznę leżącego na łóżku pod oknem w sali z numerem 15 pozwolił mu się zorientować, kto był towarzyszem jego córki. Nie za bardzo rozumiejąc, jakim sposobem Kazik wylądował w Lasku Bielańskim obok jego córki, Tygrys wykorzystał moment, że pozostali pacjenci siedzą w sali telewizyjnej i pokój jest pusty. Przywróciwszy Kazika równie szybko, co brutalnie do przytomności, wyciągnął z niego najważniejszą wiadomość, a mianowicie to, dzięki komu ów znalazł się wbrew własnej woli pod opieką publicznej służby zdrowia. Wystarczyło jedno nazwisko, aby Tygrys zrozumiał, co mogło się wydarzyć parę godzin wcześniej i podjął decyzję, co robić dalej. Zrobiwszy Donkowi piekielną awanturę przez telefon i narażając się przy tym obserwującemu go personelowi szpitala na podejrzenia, że jest niezrównoważony psychicznie, pospiesznym krokiem udał się szpitalnym korytarzem do wyjścia. Był już prawie przy nim, kiedy nagle zrobiło się tu spore zamieszanie. Drzwi otworzyły się z impetem. Najpierw pojawił się w nim szalenie zaaferowany zwalisty stary pielęgniarz, trzymający nad swoją głową butelkę z kroplówką, a potem wózek szpitalny z dziwaczną zawartością, która Tygrysowi skojarzyła się z półtuszami wieprzowymi zwalonymi jedna na drugą. Pojazd pchany był przez równie przejętego, acz nieco mniej korpulentnego i o wiele młodszego sanitariusza.

– Pani Basiu, niech pani zawiadomi doktora Strzeleckiego, że już jesteśmy – powiedział starszy sanitariusz, zwracając się do pielęgniarki w rejestracji. – To ta babka z miejsca wybuchu, ma w żebrach i na twarzy chyba z pół karoserii samochodu. Bierzemy ją

natychmiast na operacyjną...

Tygrys odsunął się pod ścianę, robiąc im miejsce. Kiedy wózek przejeżdżał obok, z ciekawości zerknął na osobę, która się na nim znajdowała, i poczuł, jak w środku robi mu się zimno. Choć twarz, która mignęła mu w oczach, była zmasakrowana, rozpoznał ją od razu. Diana. Kobieta, którą wysłał na przeszpiegi do Donka. Co ten kretyń dzisiaj takiego narozrabiał, że wszystkich wokół niego trafił szlag?!

Tygrys doszedł do samochodu, wsiadł, ruszył i zaczął dumać nad sytuacją. Ochłonawszy nieco po niedawnych emocjach, nie za bardzo wiedział, jak ma teraz postąpić. Z jednej strony karą za zamach na jego aniołka mogła być tylko jakaś wymyślna forma śmierci. Z drugiej – czuł się niespokojny, bo ten cholerny Donek wisiał mu kupę szmalu. Zabicie go oznaczałoby automatyczne anulowanie długu, a na to Tygrys nie mógł sobie pozwolić, zwłaszcza teraz, gdy większość interesów i tak szła dość parszywie. Hmmm... Może zamiast pozbawiać Donka życia, lepiej go porwać i odrobinę potorturować? Rozkoszując się w wyobraźni obrazem Darka, wiszącego do góry nogami, z głową w wiadrze z zimną wodą, skutego łańcuchami, oblanego gorącą smołą i spranego wcześniej na kwaśne jabłko, oraz mając niejasne wrażenie, że chyba jednak powinien oglądać więcej seriali, których akcja nie toczy się w średniowieczu, Tygrys zadzwonił do swojego kolegi.

– Tak, jest pod wskazanym adresem – poinformował go ten kilkadziesiąt sekund później.
– A przynajmniej był kilka minut temu. Jego komórka zalogowała się do stacji BTS. Współrzędne odpowiadają lokalizacji.

Tygrys chciał podziękować i się rozłączyć, ale usłyszał, jak jego kolega wydaje z siebie jakieś dziwaczne pufnięcie.

– Coś nie tak? – zapytał.
– Mówisz, że jak się ten facet nazywa? – zapytał kolega dziwnym tonem. – Donek?
– Tak – potwierdził Tygrys. – Dariusz Donek.
– To zdaje się, że nie jesteś jedynym, który chce go dzisiaj sprzątnąć z tego świata – oznajmił kolega. – Po południu w hangarze były u mnie dwie Amerykanki i jakiś frajer. Też chcą się go pozbyć...

– Serio? – Tygrys aż gwizdnął z przejęciem. – Dlaczego?
– Nie wnikałem – powiedział kolega. – One są znane. Te Amerykanki. Głównie z obrabiania banków, ale biorą też różne drobne fuchy. Wiesz, morderstwa na zlecenie, kradzieże, porwania dla okupu. Takie tam drobiazgi. Tyle że w tym przypadku chyba chodzi im o coś bardziej osobistego. Spadek...

Tygrys wysłuchał relacji kolegi.

– A skąd ty je wytrzasnąłeś? – zapytał nieco zszokowany.
– Same mnie znalazły w Torze – wyjaśnił kolega. – Nieźle płaciły, a poza tym miały rekomendację od samego Siergieja. Boję się tylko, że trochę przegięły. Słyszałeś o wybuchu na Bielanach?

– Nie – powiedział Tygrys. – Nie za bardzo miałem dzisiaj czas słuchać wiadomości.
– Wszystkie media o tym trąbią – poinformował go kolega. – Że to atak terrorystyczny, że zaczęło się u nas to samo, co we Francji i Belgii. Posłowie w telewizorze postulują już

zamknięcie granic, budowę dokoła Polski drugiego Wielkiego Muru i wygnanie z kraju wszystkich, mających ciemną karnację, łącznie z osobami, które spędziły za dużo czasu w solarium. Tylko czekam, aż któryś dostanie ataku apopleksji na antenie albo przyjadą go zakuć w kaftan bezpieczeństwa. Panika totalna!

– A co do tego mają te Amerykanki? – zdziwił się Tygrys.

– Jedna z nich wypożyczyła ode mnie ten ruski ręczny granatnik, który ci ostatnio pokazywałem – powiedział zrezygnowanym tonem kolega. – Ten, nad którym dumaliśmy, czy zadziała, a jeśli tak, to z jakim efektem, bo przecież kupowałem go jako wadliwy. Jak widać zadziałał i to z całkiem niezłym skutkiem.

– Żartujesz?! – Tygrys poczuł się lekko wstrząśnięty. – Naprawdę użyła broni, której bali się dotykać nawet partyzanci w Somalii? Wariatka?

– Nie, hobbystka – mruknął kolega. – W każdym razie uważaj na nie. Z tego, co o nich wiem, potrafią być naprawdę nieobliczalne. Zdaje się, że nawet tutaj to udowodniły...

Tygrys rozłączył się i dodał gazu. Wyprzedził jakieś auto, które usłużnie zjechało na bok i ustąpiło mu drogi. Był już prawie pod samym domem Donków. Zaparkował kilkadziesiąt metrów za nim, wyjął ze skrytki pistolet, wsadził go sobie za pasek spodni i wysiadł z samochodu. Dochodził do bloku, kiedy w jego drzwiach pojawiły się dwie osoby. Jedną z nich doskonale znał. Wyciągnął zza paska pistolet i odbezpieczył go. W tym momencie samochód stojący vis a vis bloku włączył światła, które niczym reflektor oświetliły dwie wychodzące z bloku postacie...

Mary wysiadła z samochodu, trzymając wycelowanego przed siebie Glocka i zastanawiając się tylko nad tym, kogo zastrzelić jako pierwszego...

Kasia stała jak sparaliżowana, patrząc na zbliżającą się kobietę, mającą w dłoni skierowany w jej stronę pistolet. A więc to tak przyjdzie jej się pożegnać z tym światem. Zawsze myślała, że nastąpi to w jakich bardziej podniosłych okolicznościach, że będzie leżeć na ogromnym łożu, otoczona szlochającą rodziną, wspominającą z żalem, jak znakomitą, niezastąpioną i zadziwiająco młodo wyglądającą mimo podeszłego wieku kobietą była. A tymczasem zaraz jej zwłoki staną się ozdobą osiedlowego trawniczka. I to w dodatku obsranego przez lokalne psy, których leniwym właścicielom nie chciało się sprzątać po swoich pupilach albo chodzić na spacer do pobliskiego parku. Taki będzie jej smutny koniec. Szlag by to trafił...

Stojący z tyłu Tygrys przeżywał coraz większą konsternację. Z jednej strony z chęcią umyłby od wszystkiego ręce i pozwolił tej amerykańskiej lali rozwalić tych cholernych Donków. Z drugiej, nie za bardzo chciało mu się patrzeć, jak ta jankeska kowbojka zabija jego pół miliona złotych. Z jego perspektywy trudno było ocenić, w kogo właściwie ta mała celuje – Darka czy jego żonę. Tygrys wiedział, że czasu na decyzję ma tyle, co kot napłakał. W każdej chwili mógł paść strzał!

Mary skierowała pistolet w stronę stojącego obok Kasi mężczyzny. Jej palec z wolna zaciskał się na spuście...

Kasia zamknęła oczy i w tym momencie usłyszała odgłos wystrzału. Nie był tak głośny, jak się spodziewała. Nie taki jak na filmach kryminalnych. Nie czując bólu i tego, że jej dusza zaczyna się oddalać od ciała w jakieś bliżej nieznanne wymiary, tudzież wciąż czując w swojej dłoni rękę męża, czym prędzej otworzyła oczy. Kobieta, która jeszcze chwilę wcześniej w nich celowała, leżała kilka metrów przed nimi na chodniku, a z jej boku wypływała, tworząc coraz większą kałużę, krew. Nie wiedząc, co się dzieje, Kasia w pierwszym naturalnym odruchu chciała do niej podbiec i wyjąć z ręki pistolet, ale została uprzedzona. Potężna męska postać pojawiła się tuż przy kobiecie i pozbawiła ją broni. Kasia pragnęła rzucić się na swojego wybawcę, ale po krótkiej chwili zrozumiała, że jej kłopoty wcale się nie skończyły, tyle że ich źródło zmieniło płęć. Teraz z wycelowanym w nią pistoletem stał przed nią jakiś paskudny drechol.

– No i co masz mi do powiedzenia, skurwielu? – powiedział gniewnie.

Zaskoczona Kasia poczuła, jak uścisk ręki męża staje się żelazny. Darek zrobił krok do przodu, wysuwając się przed nią.

– Tygrys – usłyszała jego przerażony głos. – To naprawdę nie była moja wina. Twoja córka pojawiła się nagle. Spanikowałem... Nie wiem, jak cię przeprosić...

Tygrys mierzył Donków uważny wzrokiem.

– Należy ci się kara – powiedział. – Spokojnie, nie zabiję cię, bo nie chcę stracić swojej forsy. Oddasz mi wszystko, co do grosza. A nawet z procentami...

– Oddam – powiedział Darek, robiąc jeszcze jeden krok do przodu. – Mogę ci oddać nawet za chwilę. Serio. Nie rób tylko nic głupiego.

– Nic głupiego?! – parsknął Tygrys. – Powiedzmy, że wyrównam tylko rachunki. Ty usiłowałaś zabić moją córkę. Ja zabiję twoją żonę. Wyświadczam ci przysługę. Wiem o waszym problemie ze spadkiem i za chwilę go rozwiążę. Odpalisz mi z tego procent. Tak pół na pół będzie w sam raz. A poza tym i tak przecież jej nie kochasz.

Jego ręka z pistoletem z wolna zmieniła położenie. Teraz celował prosto w Kasię. Gdzieś w oddali rozległ się sygnał syreny.

– Chcesz jej powiedzieć coś na pożegnanie? – zapytał Tygrys. – Masz pięć sekund...

Darek zwrócił spojrzenie w stronę sparaliżowanej ze strachu Kasi.

– Wiesz, że... – powiedział, patrząc jej prosto w oczy i czując, że i tak nie jest w stanie wyrazić wszystkiego, co chciałby teraz powiedzieć.

– Cztery...

– Wiem – wyszeptała Kasia. – Cokolwiek by się nie działo, zawsze wiedziałam.

– Trzy...

– Byłem skończonym debilem... – powiedział Darek.

– Ja nie byłam wiele lepsza – odpowiedziała Kasia.

– Dwie...

– I chyba nadal jestem...

Niespodziewanie zrobił krok w prawą stronę, stając między nią a Tygrysem. Ten dokładnie w tym samym momencie nacisnął spust. Darek jęknął głośno i osunął się na ziemię. Dźwięk syreny z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy.

– Kurwa... – mruknął gniewnie Tygrys, mierząc Kasię gniewnym wzrokiem. – Co za palant. Zebrało mu się na bohaterstwo. Pamiętaj, ty mi spłacisz jego dług. Od tego nie ma odwołania. Znajdę cię!

Schował pistolet i szybkim krokiem oddalił się w przeciwną stronę niż ta, z której dobiegał dźwięk syreny. Po chwili jego sylwetka rozmyła się w ciemnościach. Kasia przyklęła nad Darkiem, położyła jego głowę na swoich kolanach i z całych sił przycisnęła to miejsce na jego klatce piersiowej, z którego wypływała krew. Darek był przytomny, ale jego oczy z wolna gasły.

– Coś ty najlepszego zrobił? – powiedziała z rozpaczą.

– Musiałem – wyszeptał. – Za to wszystko, co ci zrobiłem. Przepraszam...

– Jeszcze zdążysz mnie przeprosić – oznajmiła stanowczo Kasia – i to niejedyn raz. A ja zdążę jeszcze z milion razy się obrazić. Ale teraz nie waż się mnie zostawiać samej. Bo tego ci nigdy nie daruję! Słyszysz?!

– Chyba nie mogę... ci tego... obiecać... – z coraz większym wysiłkiem wyszeptał Darek. Jego oczy zrobiły się szkliste. Wydał z siebie jedno głośniejsze westchnienie, a następnie jego głowa bezwładnie przechyliła się na bok. Kasia wybuchnęła nieopanowanym płaczem...

ROZDZIAŁ XXIII

– Jaki to uroczy chłopak – Kasia poczuła, że słuchawka, którą ściska między głową a ramieniem za moment wpadnie jej do garnka. Kompot, który właśnie gotowała, składał się co prawda z tysiąca ośmiuset składników, ale telefonu komórkowego tam nie było, więc niekoniecznie trzeba było go dodawać. – Miły, kulturalny, szarmancki. No i seksowny. Mówię ci, gdybym tylko była odrobinę młodsza...

– Danusia! – Kasia poczuła, że musi przystopować swoją przyjaciółkę. – Mówisz o chłopaku swojej córki!

– I co z tego? – zdziwiła się Danusia. – Mam z tego powodu oślepnąć i nie zauważać, że jest przystojny? Przecież to nie znaczy, że będę go podrywać! Nie podrywam każdego, kto mi się podoba. No, chyba że się rozstaną z Pauliną, to wtedy się zastanowię...

– Jesteś niemożliwa! – orzekła Kasia, dorzucając do garnka suszone śliwki. – Poza tym jak można być przystojnym z takim kudłatym łbem?!

– Zawsze może iść do fryzjera – podsunęła Danusia. – Koło mnie blisko jest zakład Jagi Hupało.

– Nie wiem, czy będzie mu dobrze z grzywką ciętą pod garnek – mruknęła Kasia. – To już lepiej niech zostanie przy tych kudłach, przynajmniej są charakterystyczne. A co z tą jego narzeczoną...

– Jeszcze długo nie wyjdzie z paki – powiedziała Danusia. – Okazało się, że uratowałyśmy mu nie tylko życie, ale i wolność. Ta jego dziewczyna zorganizowała to bardzo sprytnie. Jej pomagier miał mu odebrać brylanty, a potem ona miała wszcząć alarm, że w czasie jego wizyty u jubilera zostały ukradzione. Policja oczywiście nie dałaby wiary w jego zeznania, tym bardziej, że już poprzednio zdarzały mu się jakieś wybryki i był notowany. Wsadziliby go jak nic! A tamta parka przeczekałaby trochę, spieniężyła łup na czarnym rynku i nawiała. A tak to proszę, zeznałyśmy zgodnie na jego korzyść i ma chłopak po kłopocie. Z tego, co wiem i dziewczyna, i pomagier zostali tymczasowo aresztowani. Nikt im nie wierzy, że nie mają brylantów. Mało tego! Grozi im jeszcze oskarżenie o napaść na Jacka, choć to pewnie umorzą z powodu braku świadków. Rozumiem, że twoja łazienka nie ma już śladów jego działalności?

– Najmniejszych – potwierdziła Kasia. – Powoli robię się całkiem niezła w robotach domowych. Jeszcze trochę i zgłoszę się do Polsatu, żeby mnie wzięli do programu „Nasz nowy dom”. Swoją drogą, nie boisz się, że twoja Paulina chodzi z kimś, kto ma ciemną przeszłość? Ja bym chyba miała pewne opory...

– Przegadaliśmy w szpitalu niejedną noc – powiedziała Danusia. – To rozsądny chłopak, tylko nikt mu nigdy nie dał szansy. Rodzice alkoholicy, środowisko jak to na Pradze, jak nie żule, to drechole. Ale mówię ci, mimo wszystko ma poukładane w głowie. Zapisał się do zaocznej szkoły policealnej na informatykę, wynajął kawalerkę, łapie fuchę za fuchą, a że jest pracowity, to ma spore wzięcie. W sumie wolę dla Pauliny takiego, który już coś w życiu przeszedł i umie docenić to, co ma, niż jakiegoś maminsynka.

– Może i masz rację... – mruknęła nie do końca przekonana Kasia. – A jak tam reszta?

– Ta, której imienia nie wymawiamy, ma się już lepiej – oznajmiła Danusia. – Ale już nigdy nie będzie pięknoscia. Doktor Gniewkowski starał się z całych sił, ale jak ci trzeba odrywać zderzak od twarzy, to raczej potem nie masz już szans na tytuł miss Polonia. I tak zrobił ją nieźle. Tylko w mocnym świetle kojarzy się z Donatellą Versace. W słabszym już tylko z Meg Ryan...

– Ok – mruknęła Kasia, czując, że ma jednak zły charakter, bo informacja o lekkim oszpeceniu byłej kochanki męża sprawiła jej jednak trochę satysfakcji. Nie miała jednak wyrzutów sumienia, bo w końcu to Diana wysłała jej w paczce skorpiona, który w dodatku nie przeżył transportu i którego Kasia jako memento mori kazała zatopić w przezroczystej masie i przerobić na gustowny wisiorek, po czym wysłała tę oryginalną ozdobę jednej z organizacji charytatywnych, aby wystawiła ją na aukcji dobroczynnej. – A bandzior?

– Z rana zabrała go policja – poinformowała Danusia. – Resztę kuracji spędzi w szpitalu więziennym. Ponoć szukali go już od kilku dobrych miesięcy. Twoja mama też za chwilę wyjdzie...

– Wiem, przez dwie godziny opowiadała mi wczoraj o tym, jak tragicznie niedoinwestowane są szpitale, skoro przy jej łóżku nie ma urządzenia do monitorowania pracy serca – zaśmiała się Kasia.

– Po co monitorować jej pracę serca?! – zdziwiła się Danusia. – Przecież stłukła sobie tylko kość ogonową!

– Ona uważa, że mogła doznać skomplikowanych obrażeń wewnętrznych, wstrząsu mózgu i kolejnego, dwudziestego już w tym roku zwału – wyliczyła Kasia. – A wy, bezduszne gady, nie chcecie jej pomóc! Nie macie tam jakiegoś dobrego psychiatry?!

– Jak ty z nią wytrzymałaś w dzieciństwie? – zdziwiła się współczująco Danusia. – Mogę ci załatwić psychoterapię...

– Po tym wszystkim faktycznie by mi się przydała – zgodziła się Kasia. – Kto nam jeszcze został? Harcerka?

– Już wyszła – powiedziała Danusia. – Młody organizm regeneruje się błyskawicznie. Zresztą nie oberwała wcale tak mocno. A co z jej tatą?

– Dostał brylanty, więc się odczepił. W końcu dopiął swego. Odzyskał kasę i się zemścił – oznajmiła z zalem Kasia. – Niby policja depta mu po piętach za postrzelenie tej zakonnicy, ale jakoś jestem pewna, że ostatecznie nic mu nie zrobią. Zdaje się, że tylko w filmach sprawiedliwości staje się zadość. A w rzeczywistości takie typy pozostają bezkarne. Mam szczerą nadzieję, że już go więcej w życiu nie zobaczę na oczy...

W tym samym momencie po drugiej stronie oceanu ksiądz wysłuchiwał długiej i zawilej relacji swojego siostrzeńca, z każdą kolejną chwilą mając coraz większą ochotę sięgnąć po telefon i wykręcić numer pogotowia ratunkowego. Podejrzewał bowiem, że jego krewniak z niewiadomych przyczyn najwyraźniej zniecka oszalał.

– I gdzie one niby teraz są? – zapytał, kiedy Patrick wreszcie zakończył swoją opowieść.

– Ale które? – usiłował sprecyzować jego siostrzeniec. – Te nasze, czy te drugie?

– Nasze – odpowiedział Adam. – Jeśli dobrze rozumiem, to siostry, które miały przyjechać z klasztoru i pomóc nam prowadzić parafię, są w tej chwili w San Francisco. A te nasze podrobione?

– W rękach Interpolu – powiedział Patrick nieco niechętnie, kolejny raz zastanawiając się w duchu, czy podjął słuszną decyzję, gdy zdecydował się wyjaśnić policji, kim są jego towarzyszki, i czy w związku z tym za kilkanaście lat, kiedy te opuszczą już więzienie, nie będzie musiał zmienić swojej tożsamości i ukryć się przed nimi w jakiejś sekcji, gdzie zmuszą go do jedzenia kiełków i oddawania czci Latającemu Potworowi Spaghetti. – Wydano za nimi tyle listów gończych, że podobno nawet do końca nie wiadomo było, za co je aresztować w pierwszej kolejności. Ale, niech wujek patrzy, jakie one były w sumie sprytne. Gdyby nie ta podróż do Polski, nikt nigdy by ich nie złapał, bo nikomu nie wpadłoby do głowy szukać dwóch kryminalistek w kościele. Zawsze mi wujek powtarza takie hasło, że Polak potrafi. Teraz wreszcie poznałem, co ono oznacza w praktyce. Wystarczyło, że jeden z wujka rodaków zataił informację, że wypożycza siostrze Almie nie do końca sprawny granatnik, a drugi okazał się większym bandziorem niż siostra Mary i w ten sposób obie mamy z głowy. Szkoda tylko, że...

– Tak, mój synu – zachęcił Adam, myśląc jednocześnie z niepokojem o tym, czy oboje policja nie będzie chciała jednak przeszukać jego parafii i postanawiając na wszelki wypadek wyczyścić swój komputer ze śladów bytności w nie do końca legalnych internetowych kasynach. – Mów, mów. Czego ci szkoda?

– Że nie uda nam się na czas dostać pieniędzy ze spadku – powiedział Patrick. – I mimo wszystko trzeba będzie zamknąć nasz kościół. Może robię się jakiś sentymentalny, ale trochę mi go szkoda. Liczyłem, że w tym liście od starszej pani coś będzie, a tu takie rozczarowanie.

– A nie, nie, wcale nie rozczarowanie! – wykrzyknął Adam. – I nic nie zamykamy.

– Jak to? – Patrick zrobił ogromne oczy. – Czy o czymś nie wiem?

– Gdy leciałeś do Polski i nie było z tobą kontaktu, jeszcze raz wczytałem się w list od pani Klementyny – powiedział tajemniczym głosem Adam, który zdążył przeczytać siostrzeńcowi dość oryginalną wiadomość z zaświatów, zanim ów wsiadł do samolotu.

– Przecież to były jakieś totalne brednie – przypomniał Patrick. – Bez składu i ładu! Coś o jakichś sznurach miłości i małych izdebkach. Bredzenie starego, chorego umysłu...

– Niekoniecznie! – bez mała wykrzyknął triumfalnie Adam. – Wszystko, co tam znalazłem, wpisałem do Internetu. I voilà! Okazało się, że to są to fragmenty różnych wierszy. I że łączy je jedna rzecz. Wszystkie w tytule miały różaniec!

– I? – Patrick rozłożył pytająco ręce. – Co z tego?

– Pamiętasz, że na łożu śmierci pani Klementyna podarowała mi pamiątkę, którą przywiozła z jednej ze swoich pielgrzymek – przypomniał Adam. – Stary różaniec. Na szczęście go zachowałem. Myślę, że to była moja próba, test, jakiemu mnie poddała. Czy go wyrzucę, czy też, tak jak jej obiecałem, zatrzymam.

– I co z tym różańcem? – zniecierpliwiał się Patrick.

– Długo go oglądałem – powiedział Adam, otworzył szufladę i wyjął podarunek od starszej pani. Ku zdziwieniu Patricka, który poprzednio widział kilka razy ów przedmiot, tym razem prezentował się on nieco inaczej. Każda kuleczka została pozbawiona tandetnej plastikowej masy – Proszę, sam zobacz...

Patrick przybliżył różaniec do oczu i popatrzył uważnie.

– Fiu, fiu... – powiedział z uznaniem dla pomysłowości starszej pani. – Czy to jest...?

– Dokładnie – potwierdził Adam. – To jest numer konta bankowego, a pod medalikiem ukryte jest hasło dostępu do niego.

– Chce wujek powiedzieć, że starsza pani zostawiła mu jakieś pieniądze? – zapytał Patrick, po czym nie mogąc się pohamować, dodał: – Ile?!

– Ujmę to tak – powiedział Adam z uśmiechem. – Dostatecznie dużo, aby nie tylko starczyło na opłacenie do końca twojego college'u, spłatę długów i utrzymanie kościoła przez najbliższych kilka lat, ale i doprowadzenie księdza biskupa do zawału. Myślę, że nowy bentley, jaki sobie kupię, z pewnością to sprawi...

ROZDZIAŁ XXIV

– Dolać ci jeszcze kompotu? – zapytała Kasia, mieszając ogromną łyżką w garnku. – Wiesz, co mówi Madzia Karwowska w „Czterdziestolatku”? Jak w domu jest choroba, to się zawsze gotuje kompot.

– Ale ja już prawie jestem zdrowy – zaprotestował z całą stanowczością Darek. – I w ramach szczerości, którą sobie obiecaliśmy, powiem ci, że już mi ten kompot wychodzi nosem. Przez cały miesiąc wszyscy w szpitalu poili mnie kompotem. Jak nie ty, to pielęgniarki. Jak nie pielęgniarki, to moja mama. Jak nie moja mama, to twoja mama. Myślałem, że chociaż koledzy ze studiów poratują mnie piwem albo czymś mocniejszym, ale też przynieśli kompot, bo im żony kazały. Miałem ochotę im go wylać na głowę. Składałem się w stu procentach ze śliwek, truskawek, jabłek, gruszek i malin. Jakby ktoś mi robił teraz sekcję, to by pomyślał, że umarłem w wyniku zjedzenia sadu owocowego. W całości!

– Już tak nie narzekaj – Kasia obdarzyła go uśmiechem. – I zapal świece na stole, zaraz podam obiad. Comber z sarny w twoim ulubionym sosie kurkowym. Zaczynam robić się całkiem niezłą kucharką...

– Moja ty Nigello – Darek pocałował ją w szyję i posłusznie udał się do salonu. Zapalił świece i z rozrzewnieniem popatrzył na stół. Pierwszy obiad po powrocie ze szpitala. Wreszcie!

Kasia wniosła dania. Comber, opiekane ziemniaczki, sałata i ulubione darkowe ogórki kiszzone, jedyny poza dżemem mirabelkowym wyrób jej mamy, do którego miał słabość.

– Otworzę wino – zaproponował Darek. – Wypijemy za mój szczęśliwy powrót do domu i za stracone miliony dolarów.

Podszedł do barku, wyciągnął butelkę i napełnił kieliszki.

– Za twój powrót z miłą chęcią – powiedziała Kasia, odbierając od niego jeden z kieliszków. – Ale z tym drugim jeszcze się nie pogodziłam...

– Pieniądze to nie wszystko – uśmiechnął się Darek. – Ostatnie wydarzenia mi to uświadomiły.

– Owszem – zgodziła się Kasia. – Ale potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby oswoić się z myślą, że jesteśmy biedakami.

– Bez przesady – zaprotestował Darek. – Jesteśmy ciągle młodzi, teraz już w miarę zdrowi...

– A poza tym prawie do końca spłukani – dokończyła Kasia. – Siadajmy i jedzmy ten comber. To ostatnie ekskluzywne jedzenie, na jakie nas stać. Od jutra będę ci gotowała kaszanke na zmianę z ziemniakami.

– Swojsko – powiedział optymistycznie Darek. – W sumie to ja lubię takie proste jedzenie. Poza tym po kanapkach z salcesonem ozorkowym, jakie serwowano mi w szpitalu, wszystko będzie smakowało jak delicje!

Usiedli przy stole i zaczęli jeść.

– Faktycznie robisz się w tym dobra – potwierdził z uznaniem Darek. – Comber wyszedł ci pierwsza klasa!

– Tia, szybko w czas. Do czego ja to teraz wykorzystam? Do ogrzewania parówek w wodzie? – mruknęła Kasia, sięgając po ogórka. Odkroiła z niego plasterk, wzięła do ust, pogryzła i przełknęła. Nie zdążyła nawet nabić na widelec kolejnego kawałka combu, kiedy poczuła, jak robi jej się niedobrze. Przyłożyła rękę do ust, wstała, po czym biegiem udała się do łazienki. Wyszła, blada po kilku minutach. Darek patrzył na nią przestraszonym wzrokiem.

– Źle się czuję, nawet bardzo... – powiedziała nieco bezradnie. – Wciąż jest mi niedobrze i boli mnie brzuch. Chyba coś jest nie tak...

– Dasz radę dojechać ze mną do szpitala? – spytał Darek – Czy mam wezwać pogotowie?

– Dam, dam... – odpowiedziała Kasia. – Tylko błagam, pospiesz się. Wyprowadź jeepa z garażu, podjedź, a ja za chwilę wyjdę.

Darek założył kurtkę i wybiegł z mieszkania. Kasia przysiadła na moment na kanapie, usiłując się jakoś zmobilizować. Jej wzrok padł na butelkę z winem i kieliszek. Nagle w jej głowie narodziło się pewne podejrzenie. Czyżby...? Nie, to niemożliwe. Przecież Darek uratował jej życie, bez mała sam nie tracąc przy tym swojego. To bez sensu, żeby teraz... Kasia czuła, że wbrew logice i temu, co podpowiadało jej serce, na dnie jej duszy kołatała się jednak niepewność. Wstała z kanapy, czując, że znów ma ochotę skorzystać z łazienki. Powstrzymała się ostatkiem sił i wolnym krokiem wyszła przed dom. Darek już czekał w jeepie. Trasę do szpitala przemierzyli w takim tempie, jakby goniło ich stado Tygrysów Złocistych i amerykańskich podrabianych zakonnic. Trzymająca się za brzuch i z trudem hamująca podchodzący jej pod gardło przegląd dań z ostatnich kilkunastu godzin, Kasia została z miejsca przyjęta przez lekarza. Błady Darek został wyproszony z gabinetu i skierowany do poczekalni, skąd zobaczył, jak po kilku minutach jego żona wyjeżdża na wózku i znika gdzieś w głębi szpitala. Jego zaniepokojenie z wolna zaczęło zamieniać się w panikę.

Minęło pół godziny, które dla Darka ciągnęło się tak, że gotów był przysięgać, iż siedzi w poczekalni już tak najmarniej ze trzy lata, kiedy Kasia pojawiła się w drzwiach. Darek chciał zapytać, co powiedział jej lekarz, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku, zaskoczony zagadkowym wyrazem twarzy swojej małżonki, w którym wyczytał tylko bezbrzeżną radość.

– Zdaje się... – powiedziała wolno Kasia – że jednak niebawem będziemy bardzo bogatymi ludźmi!

(czego sobie i wszystkim Czytelnikom serdecznie życzę!)

PODZIĘKOWANIA

Tym razem chciałbym podziękować kilku osobom, które nawet nie wiedzą, że pomogły mi w czasie pisania tej książki. I będą miały niespodziankę! Dziękuję więc:

– Małgosi Szeroczyńskiej, która mimo bolesnych dolegliwości (mam nadzieję, że nie ma już po nich śladu!) popracowała w pocie czoła nad moją książką, wykreślając z niej co większe kretynizmy, tudzież zmuszając mnie, żebym choć na kilka godzin włączył w swojej głowie funkcję myślenia, skoro uprzednio nie raczyłem z niej skorzystać ani razu w czasie pisania powieści,

– trzem paniom, które pomagają mi w utrzymaniu jako takiej formy fizycznej – pani doktor Alinie Ou za to, że dzięki niej przeszedłem śpiewająco (acz i drugi raz w życiu) ospę wietrzną i szlag mnie przy tym nie trafił, choć teoretycznie mógł, pani doktor Beacie Stasiak-Chojnackiej, która czuwa nad moim wzrokiem oraz mojej nieocenionej pani fizjoterapeutce Beacie Pecarz za to, że ile razy mój kościotrup chce wyjść na zewnątrz, to potrafi go z powrotem wepchnąć do środka,

– Irence za regularną dostawę ze Śląska ciepłych słów i przepysznych konfitur (od razu spieszę donieść, że Irenka nie była dla mnie natchnieniem do stworzenia postaci Basieńki, ale jej konfitury, owszem, nieco mnie zainspirowały, tym bardziej, że są rewelacyjne!),

– Magdzie Witkiewicz, Nataszy Sosze i Lilce Fabisińskiej za to, że poznały mnie z przesympatycznymi ludźmi z wydawnictwa Filia,

– wszystkim z wydawnictwa Filia za anielską cierpliwość,

– Maniucie za przepyszny Chai Masala (jak wiadomo, każdy pisarz musi być od czegoś uzależniony, ja wybrałem właśnie tę indyjską herbatę) oraz Pawłowi za parzenie go w ilościach hurtowych, wicie Esy, że was uwielbiam,

– Dorocie Lińskiej-Złoch, Agnieszce Kalus, Ani Karowicz, Wioli Umeckiej i Ani Piotrowskiej za ich miłość do książek (nie tylko moich), Grażynie Strumiłowskiej, Ani Klejzerowicz i Małgorzacie Kursie za to, że nauczyły mnie, że najlepszym prezentem jest Książka Zamiast Kwiatka oraz Piotrowi Sternalowi za to, że zawsze mogę liczyć na jego inteligencję (jak się nie ma własnej, to trzeba kraść innym),

– Blogerom i Bloggerkom, którzy pomagają dotrzeć moim książkom do Wszystkich Was oraz „last but not least”:

– Wszystkim Moim Czytelnikom i Czytelniczkom za codzienne wsparcie – nawet nie wiecie, jak jest ono dla mnie cenne!



REMIGIUSZ MRÓZ

SERIA Z KOMISARZEM FORSTEM

FILIA MROZNA
STRONA

mrocznastrona.pl

SPIS TREŚCI

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

OŚWIADCZENIE

POSTACIE

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

ROZDZIAŁ XVIII

ROZDZIAŁ XIX

ROZDZIAŁ XX

ROZDZIAŁ XXI

ROZDZIAŁ XXII

ROZDZIAŁ XXIII

ROZDZIAŁ XXIV

PODZIĘKOWANIA

Reklama

Karta redakcyjna

ALEK ROGOZIŃSKI

„Nie potrzebujesz nic więcej
do szczęścia – nawet randki
z Ryanem Goslingiem”.
Monika Finotello, *Cosmopolitan*

„Księżę komedii kryminalnej
wraca w wielkim stylu!”
Paweł Płaczek, *Flesz*



**JAK CIĘ
ZABIĆ,
KOCHANIE?**

FILIA
MROČNA
STRONA